MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 03 (172) Marzec 2019

Renata Przemyk – o piosence, Krakowie i o sobie

Pamięć Zagłady krakowskich Żydów

Bereś / Głowacki – dwugłos o *Kabarecie* Jasińskiego

Felietony Ewy Lipskiej, Magdy Miśki-Jackowskiej i Jerzego Pilcha

9 771733 045903 03

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Moc natury. Power of nature. **Henry Moore w Polsce** in Poland

Working Model for Upright Internal/External Form, 1951, bronze. Photo: Henry Moore Archive

MNK MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

HENRY MOORE FOUNDATION

Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku

Muzeum Narodowe we Wrocławiu

PZU

Mecenas Muzeum Narodowego w Krakowie
Patron of the National Museum in Krakow

LOTTO

Partner Strategiczny Muzeum Narodowego w Krakowie
Strategic Partner of the National Museum in Krakow

do / till 30.06.2019

Gmach główny | Main Building | al. 3 Maja 1

Pierwszy komiks *Konie*, w jaskini Pont d'Arc, znanej jako Grotte Chauvet-Pont d'Arc w Ardèche, około 31 tysięcy lat temu. Obiekt z listy światowego dziedzictwa UNESCO, fot. HTP/domena publiczna (Wikipedia)

Kreska i dymki. Historia komiksu

Tekst: Rafał Kołsut

Począwszy od górnego plejstocenu poprzez starożytnych Rzymian, oświeceniowe opowiastki umoralniające aż po Supermana złotej ery komiksu i starzejącego się Batmana wieku XXI – człowiek od zawsze szukał sposobu na narrację obrazem.

Prapoczątki

Dzieje narracji wizualnej rozpoczynają się zaledwie 30 tysięcy lat przed naszą erą, gdy prehistoryczni artyści w jaskini Chauveta w dolinie Rodanu uwiecznili grupę galopujących zwierząt – dla stworzenia złudzenia ruchu kończyny koni, lwów i nosorożców zostały namalowane w kilku różnych momentach biegu równocześnie. To odkrycie przez człowieka pierwotnego nowej techniki obrazowania rzeczywistości zapoczątkowało długi ciąg poszukiwań i eksperymentów, które u progu wieku XX zaowocowały stworzeniem zupełnie nowych form narracji: kina i komiksu. Lista komiksowych „prototypów" jest długa, wciąż budząc liczne spory historyków medium: znajdują się na niej między innymi relief z Kolumny Trajana z roku 113, upamiętniający dwie zwycięskie kampanie Cesarstwa Rzymskiego podczas wojny z Dakami, tkanina z Bayeux – ręcznie haftowane, długie na ponad 70 metrów płótno z 1080 roku, na którym przedstawiono w formie kilkudziesięciu scen podbój Anglii przez Wilhelma I Zdobywcę, czy podzielone na czternaście kadrów (stacji) wizerunki Drogi Krzyżowej. Prawdziwy przełom nastąpił jednak dopiero w 1733 roku, gdy William Hoghart – angielski malarz, miedziorytnik i rysownik satyryczny rozpoczął wydawanie rycin układających się w cykle o wspólnym tytule *Progresses*. Artysta stworzył w ten sposób siedem różnych opowiastek o charakterze umoralniającym, z których najbardziej znana jest *Kariera rozpustnika*, czyli *Rake's Progress* (rozsławiona przez operę Piotra Czajkowskiego na jej podstawie). Wszystkie ryciny w cyklu prezentują kolejne etapy upadku bohatera, który po odziedziczeniu pokaźnej sumy rzuca się w wir wielkomiejskich rozrywek, ostatecznie zaś kończy jako bankrut i degenerat w zakładzie psychiatrycznym. Chociaż poszczególne grafiki nie zawierają dialogów ani opisów, oglądane w odpowiedniej kolejności umożliwiają prześledzenie konkretnej historii – dokładnie tak jak w niemym komiksie. XIX wiek przyniósł kolejne kamienie milowe: w 1826 roku pojawia się szkocki periodyk „Glasgow Looking Glass", będący jedną z najwcześniejszych gazet ilustrowanych na świecie. To właśnie na jego łamach doszło do pierwszego w historii użycia symbolicznych „dymków" w celu przypisania wypowiedzi rysunkowej postaci.

Narodziny

Jednym z ojców współczesnego komiksu jest Rodolphe Töpffer, szwajcarski nauczyciel, karykaturzysta, grafik i pisarz, który w 1837 roku stworzył swoją pierwszą „opowieść rysunkową", narysowaną dla rozrywki „dzieci i klas niższych". *Histoire de Monsieur Vieux Bois*, opowiadająca o nieudanych próbach zdobycia wybranki serca przez podstarzałego fajtłapę, po raz pierwszy ukazała pełną współzależność tekstu (w formie podpisów pod kadrami) i obrazu. Töpffer zrewolucjonizował narrację wizualną, dzięki zmiennym ujęciom i montażowi kadrów nadając historii niespotykaną wcześniej ciągłość. Za nim poszli liczni naśladowcy i uczniowie, jak Gustave Dore (autor „żartu graficznego" – *Historii Świętej Rusi*) czy Wilhelm Busch, tworzący wierszowane satyryczne opowiastki dla dzieci i dorosłych w formie historii sekwencyjnych: do jego najsławniejszych tworów należą Max i Moritz, para urwisów, która szybko zdobyła popularność w Europie i Stanach Zjednoczonych. Chociaż bowiem sztuka komiksowa bierze swoje początki ze Starego Kontynentu, to właśnie w Ameryce nastąpił jej rozkwit. Tam też pojawia się nazwa „comics" – skrót od „comic strip", czyli „pasek komiczny", bo właśnie w formie pasków gagowe historyjki pojawiają się na łamach gazet. Uwielbiał je William Randolph Hearst, magnat prasowy, uważający się za mecenasa nowego medium. Czytelnicy gazet z początku XX wieku mogli znaleźć w „stripach" zarówno społeczno-polityczną satyrę *Yellow Kida* Richarda Outcalta i oniryczne eksperymenty graficzne pioniera animacji Winsora McCaya w jego *Małym Nemo w Krainie Snów*. Początkowo komiksy ograniczały się do formy gazetowej, jednak w latach 30., gdy poza historyjkami humorystycznymi pojawiły się opowieści awanturnicze, narodziły się magazyny zeszytowe. To właśnie w jednym z takich pism, „Action Comics", w czerwcu 1938 roku pojawił się Superman, zmieniając na zawsze oblicze kultury popularnej. Chociaż nie był pierwszym superbohaterem w historii, stworzony przez Jerry'ego Siegela i Joego Shustera nadczłowiek w kostiumie zdobył ogromną popularność, powodując istny wysyp zamaskowanych obrońców sprawiedliwości.

Cztery ery

Debiut Supermana historycy określają jako symboliczny początek złotej ery komiksu amerykańskiego. Amerykanie pokochali superherosów rozprawiających się nie tylko z pospolitymi przestępcami, ale również szpiegami hitlerowskiej Rzeszy. Część bohaterów została wówczas otwarcie wykorzystana w celach propagandowych dla poprawy morale żołnierzy – do najsławniejszych należy Kapitan Ameryka, niepowstrzymany patriota z komiksów Jacka Kirby'ego i Joego Simona. Złotą erę zakończyła antykomiksowa krucjata psychiatry Frederica Werthama, który w (nie) sławnej książce *Uwiedzenie niewinnych* dowodził, że lektura komiksów powoduje u młodych czytelników zaburzenia osobowości, wywołuje skłonność do przemocy, a nawet nakłania do homoseksualizmu i pedofilii (czego dowodem miała być „niezdrowa" relacja Batmana z jego nastoletnim pomocnikiem Robinem). Jego badania wywołały liczne komentarze, debaty i manifestacje, podczas których dochodziło nawet do rytualnego palenia „niemoralnych zeszytów" na stosach. Era srebrna (trwająca od 1956 do 1973 roku) przyniosła nowe pokolenie superbohaterów, przede wszystkim pochodzących z wydawnictwa Marvel Comics: Fantastyczną Czwórkę, Niesamowitego Hulka, Iron Mana, Spider-Mana czy drużynę X-men. Za sukcesem większości z nich stał Jack Kirby, twórca Kapitana Ameryki, oraz dialogista i redaktor Stan Lee. Bardziej ludzcy, borykający się z codziennymi problemami herosi na nowo rozbudzili zainteresowanie czytelników, przyciągając także starszych odbiorców – studentów i hipisów. Na początku lat 70. w komiksach zaczęły pojawiać się coraz częściej aktualne problemy społeczne: rasizm, bezrobocie, zanieczyszczenie środowiska, rozwarstwienie ekonomiczne, wojna w Wietnamie, a także narkomania. Moment tragicznej śmierci dziewczyny Spider-Mana – Gwen Stacy – w roku 1973 stał się granicą między erą srebrną i brązową. Nowe pokolenie twórców chętniej sięgało po kolejne tematy, będące dotychczas tabu. Szukające nowych rozwiązań wydawnictwo DC Comics zaprosiło wówczas do współpracy artystów z Wielkiej Brytanii, którzy podeszli do wiekowych już superbohaterów ze świeżym spojrzeniem. Jednym z członków brytyjskiej inwazji był Alan Moore, scenarzysta dystopijnej *V jak Vendetta*, który w przełomowym roku 1986 zaprezentował komiks *Watchmen*: *Strażnicy* z rysunkami Dave'a Gibbonsa. Jego poruszająca wizja Ameryki lat 80., w której herosi wykorzystywani są przez armię jako element wyścigu zbrojeń zimnej wojny, stanowi jedną z najważniejszych dekonstrukcji mitu superbohatera. Szerokim echem odbił się również *Powrót Mrocznego Rycerza* Franka Millera – przeznaczona dla dorosłych historia o ostatniej bitwie starzejącego się Batmana, który po latach emerytury powraca do swojej roli zamaskowanego mściciela, zdruzgotany stopniem demoralizacji USA. Te dwie historie, wydane równolegle, zapoczątkowały trwającą do dziś erę nowoczesną, której początek bywa również niekiedy nazywany erą mroczną ze względu na duże nagromadzenie brutalności i ponury klimat.

Inne drogi

Chociaż przez lata komiks postrzegany był jako medium dla dzieci i niedojrzałej młodzieży, twórcy (zwłaszcza niezależni) nieustannie poszukiwali nowych dróg i tematów. Obsceniczny *underground* Roberta Crumba, obyczajowe „powieści graficzne" Willa Eisnera, melancholijne *Fistaszki* Charlesa M. Schulza, postmodernistyczny *Sandman* Neila Gaimana czy emancypacyjne *Persepolis* Marjane Satrapi przekonywały kolejne pokolenia czytelników, że narracja rysunkowa może służyć poruszaniu złożonych kwestii i nie musi ograniczać się do humoresek czy historyjek akcji. Ogromne poruszenie opinii publicznej wywołało uhonorowanie Nagrodą Pulitzera politycznego cyklu prasowego *Doonesbury* Gary'ego Trudeau (w 1975 roku) oraz autobiograficznej historii *Maus. Opowieść ocalałego* Arta Spiegelmana o jego relacji z ojcem – byłym więźniem obozu koncentracyjnego w Auschwitz (w 1992 roku). Obecnie na rynku wydawniczym czytelnik w każdym wieku może znaleźć coś dla siebie, bez jakichkolwiek ograniczeń w zakresie tematyki i treści.

Chociaż przez lata komiks postrzegany był jako medium dla dzieci i niedojrzałej młodzieży, twórcy (zwłaszcza niezależni) nieustannie poszukiwali nowych dróg i tematów.

Komiks w Krakowie

Założone w 2012 roku Krakowskie Stowarzyszenie Komiksowe zrzesza autorów, kolekcjonerów, badaczy i krytyków sztuki komiksowej z całej Małopolski. Naszym głównym celem jest popularyzacja komiksu i dziedzin pokrewnych, edukacja dzieci, młodzieży oraz osób dorosłych w zakresie wiedzy o komiksie, a także organizacja corocznych wydarzeń o tematyce komiksowej: wiosną Krakowskiego Festiwalu Komiksu, a jesienią Salonu Komiksu przy Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie. Ponadto Stowarzyszenie opiekuje się Małopolskim Studiem Komiksu (działem wewnętrznym Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie), a także działa na rzecz utworzenia w Krakowie Muzeum Komiksu. W ciągu siedmiu dotychczasowych edycji Festiwalu odbyło się ponad 60 spotkań autorskich, 30 wykładów i dyskusji, 25 warsztatów tworzenia komiksów (skierowanych do dzieci i młodzieży). Gościliśmy ponad 50 twórców, w tym międzynarodowe gwiazdy: Anouk Ricard (Francja), Tony'ego Sandovala (Meksyk), Uliego Oesterle (Niemcy), Stephena Collinsa (Wielka Brytania), Nicolasa Wilda (Francja), Sørena Mosdala (Dania), Bédu (Belgia), Maxa Anderssona (Szwecja), Larsa Sjunnessona (Szwecja), Willema De Graeve (Belgia) oraz Grażynę i Zbigniewa Kasprzaków (mieszkających na stałe w Brukseli). Nieodłącznym elementem imprezy jest giełda wydawców, którzy specjalnie na nasz festiwal przygotowują premierowe publikacje.

Mamy nadzieję, że nasz Festiwal na stałe wrośnie w kalendarz imprez kulturalnych Krakowa.

Rafał Kołsut – historyk komiksu i filmu animowanego, nauczyciel akademicki, autor artykułów z zakresu literaturoznawstwa i *cartoon studies*, recenzent komiksowy. Członek Krakowskiego Stowarzyszenia Komiksowego.

TEMAT MIESIĄCA: NIE TYLKO KOMIKS

Krajoznawstwo komiksowe Jan Bińczycki s. 13

Niedawno niemal każdy popularyzatorski artykuł o komiksie zaczynał się zapewnieniem, że jest on sztuką i warto się nim interesować. W ciągu kilkunastu lat polski rynek komiksowy rozwinął się tak bardzo, że od narzekań na niedobory należy przejść do lęku przed klęską urodzaju.

Kreska i słowo Jan Barański s. 28

ESEJ

Kreska i dymki Rafał Kołsut s. 2

KRAKÓW MÓWI

Akustik andergrant
— z Renatą Przemyk / Jakub Wydrzyński s. 20
Anchois z kaparami pod szczytem
— z Adamem Bieleckim / Majka Lisińska-Kozioł s. 31

KRAKÓW W MOIM SERCU

Jacek Cygan s. 80

LUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA

Marsz solidarności i pamięci Jacek Balcewicz s. 37
80 lat Anny Polony Ewa Lipska s. 43
Planty – fenomen Krzysztof Burnetko s. 44
Planty, czyli wizja Krzysztof Jakubowski s. 45
Jonasz Stern i Grupa Krakowska
Lucjan Orzech s. 56
Kronika kulturalna s. 88
Krakowski łącznik s. 90
Kraków (Główny) s. 91
Linia A–B s. 92

OBYWATELE KRAKOWA

Odnaleziona w przekładzie (Scotia Gilroy)
Jakub Wydrzyński s. 8

HISTORIA

BYŁO, NIE MINĘŁO Jan Pieszczachowicz s. 10
FOTO-RETRO Krzysztof Jakubowski s. 11
KALENDARIUM KRAKOWSKIE Marzec 1919
Krzysztof Jakubowski s. 61
Chaja z Kazimierza, czyli Helena Rubinstein
Ewa Danowska s. 64

TEATR

Ciemność w śliniaku Paweł Głowacki s. 68

FILM

Nasze piękne zamieszanie Maria Malatyńska s. 76

LITERATURA

Nigdy nie jest za późno
– z Maciejem Kozakiewiczem / Witold Bereś s. 72
Urodzony w getcie
Maciej „Ossian" Kozakiewicz s. 74

KSIĄŻKI

Książka do czytania. Do miłości Witold Bereś s. 53
Nasza biblioteka s. 84

GALERIA „KRAKOWA"

Artur Trojanowski Jakub Wydrzyński s. 50
Kwestionariusz Prousta.
Odpowiada Artur Trojanowski s. 52

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska s. 5
OKIEM BERESIA Witold Bereś s. 6
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko s. 7
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma s. 81
W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska s. 82
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz s. 83
PASY PANY Jerzy Pilch s. 96

OKŁADKA

Renata Przemyk Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Szanowny Panie Redaktorze,

miałam okropny sen. Śniły mi się sterty zepsutego mięsa. Mięso leżało gdzieś pomiędzy Rosją i Niemcami. Krążyły bezpańskie psy, a wynędzniały starzec powtarzał: był tu kiedyś kraj...
Na szczęście w porę się obudziłam.

Ze znużonymi wyrazami poważania

Ewa L.

Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Willkommen! Wejdź, zobacz siebie

Tekst: Witold Bereś

To marzenie znają wszyscy twórcy i menadżerowie kultury – od Władywostoku do La Manche: Ach, zrobić choć raz coś, co będzie się zaliczało do kultury ambitnej, odczytywanej poprzez doświadczenie narodowe, ale co jednocześnie będzie mocno siedziało w światowej kulturze masowej.
I żeby mądre to było i kasę dawało.

A jeśliby udało się i to, by komentowało współczesność, było zrozumiałe dla każdego odbiorcy żyjącego tu i dzisiaj, niezależnie od jego wieku... O, oddanie duszy w zamian za taki sukces to byłaby cena najniższa.

1.

„Nie siedź samotnie, bo muzyczka fest, zaczęła właśnie grać – bo życie kabaretem jest i tak je trzeba brać!" – ten szlagwort znają wszyscy.

Ale choć każdy wie, o czym jest *Kabaret*, jak się kończy, kto ginie i kto zabił, to na tym konkretnym *Kabarecie* w Teatrze STU od pierwszych minut czujemy się inaczej, acz dziwnie znajomo.

Bo gdy gaśnie światło i Konferansjer wyskakuje jak Diabeł z pudełka, w ułamku sekundy łapiemy, że już nie odtwarzamy czasów takich czy siakich, tylko jesteśmy tu i teraz, w Polsce. Ba – w Krakowie.

Bo czyż dzisiejszy świat wielkich miast nie jest z ducha jak świat miejski sprzed upadku w 1939 roku? Syty, nerwowo goniący za jakimkolwiek sensem, ale i za szumem, pustotą zabawy. Gdy androgyniczny Konferansjer ślisko i agresywnie wciąga publikę w zabawę, czujesz się jak w środku krakowskiej nocy, gdy w którejś z knajp na Kazimierzu czy Zabłociu natykasz się na parę niekoniecznie różnej płci uprawiającą seks w toalecie.

Czy w Krakowie kogoś to dziwi? Takie czasy, taki klimat, taki schyłek epoki. Po niej coś nastąpi, ale co – nie wiadomo. Wiemy tylko, że wcale nie będzie fajnie.

I ten niedoprecyzowany lęk towarzyszy nam przez całe sto dwadzieścia minut spektaklu, a pewnie i później, jeszcze jakąś chwilę.

2.

Kabaret znają wszyscy. Wystawienie więc tego dzieła rozsławionego przez filmową klasykę Boba Fosse'a zrazu przyjąłem i ja jako pomysł, owszem, na hit, ale odgrzewany. Będzie muzycznie, będzie zjawiskowo, będzie śmiesznie.

Nic bardziej mylnego.

Nie trafiacie bowiem do Republiki Weimarskiej tuż przed dojściem faszystów do władzy. Trafiacie do pewnego kraju środkowoeuropejskiego wchodzącego w nową epokę.

Lecz wątek współczesny jest prowadzony przez reżysera z niezwykłym taktem, nienachalnie. Ot, gdzieś zatańczy ksiądz, gdzie indziej w odległym tle usłyszymy znajome, radosne pohukiwanie „raz sierpem, raz młotem, czerwoną hołotę", jeszcze gdzieś pojawi się opowieść o Krakowie.

Lecz tak naprawdę, dzięki tej inscenizacji widz z dowolnego kraju nie ma poczucia, że ogląda coś tutejszego. Dostaje historię tak samo czytelną w Wenezueli jak nad budapesztańskim Dunajem.

Co takiego się dzieje, że tak pusto się bawimy? Dlaczego tak łatwo dajemy się uwieść łajdactwu? I czemu milczymy?

Niech nikt jednak nie myśli, że spektakl oszałamia tylko kontekstem politycznym. Nie mnie wysilać się na uczone analizy czy pisać o grze aktorskiej. O jednym tylko muszę wspomnieć. Otóż spektakl ma niemal w całości dublowaną obsadę. I w obu wersjach Łukasz Szczepanowski / Krzysztof Kwiatkowski, odtwórcy roli Konferansjera, po prostu oszałamiają grą. To oni podnoszą wszystkim poprzeczkę i dzięki nim wszyscy ją przeskakują.

W filmie Fosse'a rolę tę grał genialny Joel Gray. Wiecie co? Wcale nie był lepszy.

*

Nie chcę spoilerować, zdradzać zaskoczeń, ale uderza naturalność łamania przez Jasińskiego granicy między sceną a widownią. Są chwile, w których porwani feerią gagów wchodzimy w zabawę.

Ale są też chwile straszne.

Jak choćby ta, gdy Konferansjer tańczy z Małpą, apelując do widowni, by dała mu prawo kochania, kogo chce („Spróbujcie widzieć ją jak ja..."), widownia tarza się ze śmiechu, choć każdy już właściwie czuje, że tu do śmiechu nie będzie. Lecz gdy pada złowróżbna pointa: „I wcale nie wygląda jak Żydowica", śmiechom nie ma końca, a sympatyczny pan z elegancką panią zarykują się z radochy.

I od tej chwili przestałem się śmiać i patrzyłem po widowni. Świetnie się bawi.

Willkommen! Bienvenue! Welcome!

Panie i Panowie! Oto *Kabaret* Krzysztofa Jasińskiego – jeszcze jeden punkt *must-see* w Krakowie.

Zobaczcie, jak Polska zdycha fajnie.

Witold Bereś – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Jan Józef miałby sto lat

Tekst: Krzysztof Burnetko

„Nie napisał w życiu ani jednego słowa, którego musiałby się wstydzić...". Trudno wyobrazić sobie lepszą dla pisarza recenzję. Zwłaszcza jeśli przyszło mu tworzyć głównie w niełatwym okresie komunizmu.

Na dodatek tę krótką, ale jednoznaczną ocenę wydał o Janie Józefie Szczepańskim sam Jerzy Turowicz, mający nosa nie tylko do wyborów politycznych, ale i literackich.

Kogo jak kogo, ale Jana Józefa można sobie wyobrazić jako stulatka. I to o wciąż krępej, wyprostowanej sylwetce, zdradzającej sportową przeszłość. O nadal przenikliwym spojrzeniu, wynikającym z rozmaitych biograficznych doświadczeń. I oczywiście z nieodłączną fajką z zacnym tytoniem. Ku chwale buddyjskiego, ale i conradowskiego podejścia do życia.

*

Urodził się w 1919 roku w Warszawie, ale potem większość życia spędził w Krakowie. Jesienią 1939 jako podchorąży rusza na front. Wzięty do niewoli ucieka z transportu i zamieszkuje w Krakowie oraz nieodległej Kasinie Wielkiej (w lesie nad wioską ojciec wybudował dom letniskowy). Wstępuje do ZWZ, a potem AK. W czerwcu 1944 trafia do partyzantki pod Włoszczową. Gdy na zimę dostaje wolne z lasu, ląduje w podkrakowskich Goszycach, majątku teściów Turowicza. Dekuje się tam jakieś 40 osób – wśród nich Czesław Miłosz. Szczepański poznaje wtedy krewną gospodarzy Danutę Wolską. To z nią po wojnie żeni się i osiądzie już na stałe w Krakowie.

*

W zasadzie o podejściu do pisarstwa (czy szerzej: odpowiedzialności polskiego inteligenta i twórcy) wszystko mówi jego debiut. Opowiadanie *Buty*, ogłoszone w 1947 roku w założonym przez Turowicza „Tygodniku Powszechnym", jest wspomnieniem okupacji i... przyczyną wielkiej awantury. To opis rozstrzelania przez oddział AK grupy Ukraińców, którzy chcieli przejść na stronę polskich partyzantów. Egzekucja odbywa się bez sądu, a decyduje o niej zarówno niepewność, co do rzeczywistych zamiarów nieoczekiwanych sojuszników, jak pogarda dla „kałmuków" i zamiar przejęcia ich mundurów, koców, a zwłaszcza butów.

Redakcja dostanie pełne inwektyw listy. Historia narusza przecież rodzący się narodowy mit – nieskazitelnych, bo kierujących się honorem „chłopców z lasu". Na dodatek AK jest w tym czasie celem ataku propagandy komunistów, a wielu żołnierzy podziemia siedzi w więzieniach.

To dlatego czytelnicy uznają młodego pisarza (który przecież niedawno też wyszedł „z lasu") za zdrajcę.

U samego Szczepańskiego też potęgują się wątpliwości („W co ja się pcham? Jakieś kaznodziejstwo niemożliwej moralności. Ponury purytanizm, praktyczna apologia abstrakcyjnego rycerstwa"). Lecz właśnie wtedy formułuje etyczne *credo* pisarza i intelektualisty, któremu będzie wierny do końca życia.

„Godzenie się na dwoistość etyczną doprowadza do zupełnego zaniku zmysłu moralnego, stwarza rosnącą coraz wyżej drabinę usprawiedliwień, na której zaciera się stopniowo ważność popełnianych czynów; zegarek, para butów i życie ludzkie stają się ostatecznie kategoriami bez znaczenia. Wszystkie niemal listy, określające *Buty* jako ohydę moralną, są protestami w imię niebezpiecznej etyki pozorów »co wypada i co nie wypada«. Powtarzam: wiem z własnego doświadczenia, jak kruchą podstawą w momencie prób i kataklizmów jest taka etyka pozorów i szablonów. Wiem, z jaką przerażającą łatwością przedzierzgnąć się może w takiej chwili tak zwany »porządny człowiek« w człowieka wykolejonego moralnie".

*

Potem Szczepański narodowe mity będzie burzył jeszcze wiele razy (choćby powieścią *Polska jesień*, jednym z najprawdziwszych obrazów kampanii wrześniowej). Zdobędzie uznanie również jako recenzent filmowy, tłumacz (m.in. Conrada, Huxleya i Greene'a), scenarzysta (*Westerplatte*, *Na melinę*), reporter. Będzie kierował literacko Teatrem Groteska. Jeździł na nartach w Tatrach oraz podróżował po świecie na statkach handlowych. I sprzeciwiał się systemowi: podpisując antyreżimowe petycje, pisząc do podziemnych wydawnictw, szefując Związkowi Literatów Polskich (także pomimo zawieszenia organizacji w stanie wojennym).

W 1989 roku bierze udział w obradach Okrągłego Stołu i zostaje wybrany prezesem nowo tworzonego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Równocześnie cały ten czas intensywnie chłonie współczesną kulturę. Jego *Dziennik* jest pasjonującym zapisem refleksji z lektur czy obejrzanych filmów, ale też detalicznym obrazem ówczesnego niezależnego życia Krakowa. Spektakle w Starym Teatrze i Cricotece Kantora, bale w Piwnicy, happeningi w Krzysztoforach, Konfrontacje w Kijowie, mówione wydania „Na Głosu", ale też kolacje ze Stanisławem Lemem i Janem Błońskim czy sylwestry u Woźniakowskich.

*

Choć żył ideowo, nie pisał o ideach. Pisał o ludziach.

Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego", później tygodnika „Polityka" (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

Odnaleziona w przekładzie

Tekst: Jakub Wydrzyński **Zdjęcie:** Alicja Rzepa

Przygrywała mimowi na ulicy, dziś koncertuje z własnym zespołem. Na co dzień tłumaczka literatury polskiej, która przeprowadziła się do Krakowa aż zza oceanu.

Pierwsze krakowskie lokum znalazła na Podgórzu, dziś mieszka w sąsiedztwie Plant. Przytulne domostwo Scotii Gilroy zapełniają książki oraz instrumenty, nic więc dziwnego, że inspiracje do piosenek często czerpie z literatury. Tak było z napisanym dla zespołu Vladimirska utworem *Werewolf*, którego bohaterem jest Jan Potocki. Jak mówi: „Muzyczność jest dla mnie zawsze ważna w tekstach, które piszę lub przekładam". Jako dziecko szukała dróg twórczej ekspresji. Dziś skutecznie łączy obie pasje: literaturę i muzykę.

Polska literatura jest dla niej wyjątkowa, bo nie da się jej łatwo zgeneralizować. Stworzyło ją wielu autorów o silnym indywidualnym stylu. Kiedyś jako studentka buszująca w antykwariatach Scotia natknęła się na wydania dzieł Schulza, Gombrowicza i Witkacego. Lektura ich utworów skłoniła ją by nauczyć się polskiego w stopniu pozwalającym czytać dzieła w oryginale. Najwłaściwszym do tego miejscem była Polska. Świeża absolwentka postanowiła ruszyć w świat i żyć, nauczając angielskiego. Tak z Vancouver trafiła do Krakowa. Planowała wyjechać na jeden rok, a mieszka tu już od dziewiętnastu lat. Śmieje się, że tak mocno wrosła w to miejsce, że zdarza jej się opowiadać Polakom o ich własnej kulturze.

Artystycznie w Krakowie zaistniała najpierw jako uliczny muzyk, gdy przez całe lato 2006 roku na Rynku Głównym akompaniowała na akordeonie występom berlińskiego mima. Projekt się skończył, lecz została muzyka. Skomponowane dla aktora utwory Scotia przearanżowała i zaproponowała muzykom poznanym podczas sceny otwartej w Cafe Szafe. Tak zrodził się zespół Vladimirska. Próby do debiutanckiej płyty *Night Trains* muzycy prowadzili w mieszkaniu Scotii przy ulicy Blich, z którego okien widać było przejeżdżające pociągi. O ile pierwszy album miał jeszcze retro-cyrkowe brzmienie, to już materiał *Paper Birds*, nagrany na żywo w Lasku Wolskim, prezentuje alternatywny folk-pop. Wśród kompozycji znalazły się między innymi trzy kompozycje poświęcone Krakowowi i jego atmosferze.

Jedno z ostatnich odkryć Scotii to Józef Czapski. Nosi się z zamiarem przekładu jego *Wyrwanych stron*. Jednak największym marzeniem wciąż pozostaje spotkać cudownie ożywionego Brunona Schulza, który powierzy jej przekład swego najnowszego dzieła. Kto powiedział, że marzenia muszą być realistyczne?

Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.

W Gołębniku (1)

Tekst: Jan Pieszczachowicz

Gołębnik. Instytut Filologii Polskiej UJ. Lubiliśmy mniej lub bardziej tych naszych belfrów, także ich dziwactwa i anegdoty o nich.

W czasach mojej młodości kandydowanie na studia i związane z tym egzaminy były już swojego rodzaju nobilitacją, zwłaszcza w przypadku liczących się uczelni, takich jak Uniwersytet Jagielloński, na który się wybierałem. Oczywiście na polonistykę. Po marzeniach o tym, żeby zostać strażakiem lub dyplomatą, ten kierunek został i się umocnił, zwłaszcza że mój kolega Tomasz Burek poszedł na polonistykę warszawską i został znanym krytykiem literackim (zmarł niedawno). Mnie się to też roiło. Dostać się na studia nie było łatwo, polonistyka na UJ była wręcz oblężona. Byłem nieźle przygotowany, nie miałem większych kompleksów, bo wprawdzie Sandomierz mniej okazały niż Kraków, ale piękny i historyczny, kiedyś był nawet stolicą księstwa, uczęszczany przez pisarzy, artystów i naukowców.

W tłumie kandydatów zalegających korytarze i sale polonistyki przy ul. Gołębiej (zwanej Gołębnikiem) nie byłem jednak pewny siebie. Egzamin był z mojej ulubionej historii, w której byłem obkuty, i oczywiście z polskiego. Pytał sympatyczny, jak się później okazało, asystent, przysłuchiwał się prof. Kazimierz Wyka, którego nazwisko jako czytelnikowi prasy literackiej dobrze mi było znane. Asystent postanowił mi dać nauczkę, bo byłem pewny siebie. Zaczął wypytywać kpiąco, czy w tym Sandomierzu ludzie słuchają muzyki, oczywiście tej „poważnej". Mieliśmy w domu bakelitowe radio marki Pionier, za pośrednictwem którego zapoznałem się z Chopinem, Mozartem, Beethovenem i innymi, bo to lubiłem, więc wymieniłem parę nazwisk i autorów. Żeby się popisać, zaznaczyłem, że nazwisko tego ostatniego wskazuje („van", a nie „von"), iż jego rodzina była pochodzenia holenderskiego, z czym asystent się nie zgodził. Bezczelność kandydata rozbawiła prof. Wykę, który chichotał. Byłem pewien, że oblałem, ale okazało się, że znalazłem się w czołówce zdających.

Do Wyki nabrałem sympatii. Jego sposób prowadzenia zajęć mnie ujął, na przkład poprosił nas, żebyśmy sobie wybrali jakąś książkę z okresu międzywojennego i ją zrecenzowali. Wyszperałem sielankową powieść historyczną Anieli Gruszeckiej *Nad jeziorem*, pod której urokiem znajduję się nadal, i dość obszernie ją opisałem. Wyka musiał dokładnie przeczytać, bo powiedział, że można by wydrukować. Zrobiłem to wiele lat później, w kolejnym zbiorze moich prac.

Ale prawdziwym wyczynem profesora, z którym się z latami zaprzyjaźniłem, było wydelegowanie mnie jako studenta ostatniego roku do odpytywania z literatury współczesnej młodszych o rok kolegów, z obowiązkiem zaliczania i oceniania w indeksie, co było dość niezwykłe. Byłem trochę zakłopotany, kiedy przyszło mi pytać przyjaciela Staszka Balbusa, więc zagadnąłem go o jego ostatni artykuł w „Życiu Literackim" i wpisałem mu „bardzo dobrze". Potem mi wymawiał, że przeczytał wszystkie obowiązujące lektury, a ja tego nie wykorzystałem.

Dostać się na studia nie było łatwo, polonistyka na UJ była wręcz oblężona. W tłumie kandydatów zalegających korytarze i sale polonistyki przy ul. Gołębiej (zwanej Gołębnikiem) nie byłem pewny siebie.

Po nagłej śmierci powszechnie szanowanego i lubianego profesora już jako prezes krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich wystąpiłem z inicjatywą powołania ogólnopolskiej nagrody jego imienia dla wyróżniania osiągnięć krytyki i eseistyki literackiej. Nagroda osiągnęła niemały prestiż, a ja do dziś jestem przewodniczącym jury.

Ostatnio poinformowano mnie, że liczba profesorów Wydziału Polonistyki UJ przekroczyła podobno 30 osób! Mój Boże, my mieliśmy kilkoro nie byle jakich profesorów, takich jak Stanisław Pigoń, Maria Dłuska, Wacław Kubacki czy Henryk Markiewicz i właśnie Wyka, ale były to wielkie indywidualności jako uczeni i osobowości. Zacznijmy jednak od spotkania wprowadzającego pierwszego roku. Stłoczonych pierwszoroczniaków witali profesorowie Zenon Klemensiewicz, budzący pewien lęk swoją wyniosłą postawą gramatyka, i bardziej przystępny Henryk Markiewicz. Pierwszy surowo napominał, żebyśmy nie liczyli, że zostaniemy pisarzami, krytykami, redaktorami itp., bo mamy być nauczycielami, drugi zachęcał do szerszych zainteresowań. Słuchała tych pouczeń gromadka przyszłych profesorów uniwersyteckich z przyszłym rektorem UJ Frankiem Ziejką, literatów, wydawców, redaktorów i krytyków. Siedzący obok mnie sympatyczny chłopak uśmiechnął się i machnął ręką, jakby jego to nie dotyczyło i żebym się tym nie przejmował. Wkrótce się zaprzyjaźniliśmy. To był Michał Sprusiński, który i wiersze publikował, i dla „Tygodnika Powszechnego" pisywał artykuły krytycznoliterackie.

Wiedziałem – wbrew ostrzeżeniom profesora Klemensiewicza – że chcę być krytykiem literackim i już w czasie studiów zacząłem to realizować.

Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student" i miesięcznik „Pismo", był w redakcji miesięcznika „Literatura" i tygodnika „Przekrój", twórca miesięcznika „Kraków" i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.

Pamiątka z letniego spaceru

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcie:** NN, archiwum autora

Zainteresowanie fotografią amatorską zauważalnie wzrosło u progu XX wieku, jednak zdecydowany przewrót w tej dziedzinie nastąpił dopiero w połowie lat 20., kiedy rozpoczęto produkcję pierwszego aparatu małoobrazkowego Leica. Wkrótce ulice zaroiły się od fotografów zwanych „leikarzami", którzy wykazując się niemałym sprytem – działali nierzadko z zaskoczenia – robili tanio całkiem przyzwoite zdjęcia. „Upolowanym" wręczali wizytówkę z adresem, pod którym można było je odebrać. Podobnie było w Krakowie, gdzie „leikarze" walczyli o klienta zwłaszcza na Rynku Głównym i pod Wawelem.

Nie inaczej było w przypadku prezentowanej tu fotografii, choć za scenerię wybrano nie sam Wawel, ale oryginalną, imponujących rozmiarów willę na dębnickim brzegu. Format, użyty do odbitki papier firmy Agfa i staranna obróbka zdradzają rękę fachowca.

Willa stanęła na dębnickim cyplu w 1891 roku, a inwestorem była rodzina Rożnowskich. Utrzymana w modnej wtedy manierze neogotyku wyróżniała się malowniczą wieżą i elewacją z surowej cegły. Trudno dociec, dlaczego zlokalizowano kosztowną budowlę na terenie zalewowym. Być może to kaprys zamożnej ziemiańskiej rodziny. W 1924 roku willa przeszła na własność skarbu państwa, stając się siedzibą Dyrekcji Dróg Wodnych. Po wielkiej powodzi w 1934 roku zapadła decyzja o jej rozbiórce. Równocześnie, aby uniknąć niebezpiecznych dla żeglugi zawirowań rzeki i podmywania wawelskiego brzegu, ścięto sam cypel o około 40 metrów.

Do rozbiórki przystąpiono jesienią 1937 roku i jest to wskazówka do datowania. Z kolei, w prawej części kadru majaczy kamienica u zbiegu al. Krasińskiego i ul. Kościuszki, ukończona w 1931 roku. Mamy zatem daty graniczne. Teraz pora przyjrzeć się bohaterom fotografii.

Prezentują się jak szczęśliwa rodzina. Bliźniacy w zawadiackich kaszkietach i smukły chłopiec z tyłu, zapewne ich starszy brat. Obecność pieska pozwala przypuszczać, że to mieszkańcy Krakowa. Chłopiec założył tamtego dnia pumpy – bufiaste letnie spodnie zapinane pod kolanami – popularne wśród elegantów w latach 30. No i wreszcie mama. W wieku balzakowskim, ubrana elegancko i modnie. Jej fikuśny kapelusik jest niemal identyczny z lansowanym przez Jadwigę Smosarską w komedii *Jadzia*. Ponieważ film wszedł na ekrany latem 1936 roku, wnioskować można, że to wtedy bądź następnego roku wykonano to pamiątkowe zdjęcie.

Krzysztof Jakubowski – krakus, działacz samorządowy, miłośnik i popularyzator historii miasta. Od lat działa w Obywatelskim Komitecie Ratowania Zabytków Krakowa, jest też członkiem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Napisał m.in. *Przy stoliku – czyli o najstarszych krakowskich kawiarniach*.

Katarzyna Babis, *These Times*

Krajoznawstwo komiksowe

Tekst: Jan Bińczycki

Niedawno niemal każdy popularyzatorski artykuł o komiksie zaczynał się zapewnieniem, że jest on sztuką i warto się nim interesować. W ciągu kilkunastu lat polski rynek komiksowy rozwinął się tak bardzo, że od narzekań na niedobory należy przejść do lęku przed klęską urodzaju.

Niełatwe zadanie

Rzetelne *vademecum* współczesnego polskiego komiksu przerosłoby ramy artykułu prasowego, a poruszane w nim zagadnienia byłyby ciekawe pewnie tylko dla zagorzałych fanów historii obrazkowych. Dlatego pozwoliłem sobie wytyczyć kilka „szlaków turystycznych". Zastosowane typologie i perspektywy są subiektywne, a dobór przykładów z konieczności przyczynkarski. Z żalem rezygnuję z opisywania komiksu dziecięcego (to zostawmy specjalistom od literatury dziecięcej), komiksów historycznych wydawanych przez muzea czy IPN (stale podnosi się ich jakość) i eksperymentów artystów wydawanych w komiksowej serii Korporacji Ha!art – esejów wizualnych Jakuba Woynarowskiego, antykomiksów Bolesława Chromrego czy mocnego debiutu Ali Flory.

W zamian wybór tytułów, które mogą stanowić przykłady najważniejszych tendencji. To atrakcyjne lektury nie tylko dla miłośników komiksu, ale i przygodnych czytelników.

W odróżnieniu od turystycznych szlaków górskich, ze „szlaku komiksowego" można korzystać z pewną dezynwolturą i bezpiecznie zbaczać ze ścieżek.

Dla dorosłych i dorastających

Zacznijmy od tytułów, które na księgarskich półkach stoją pomiędzy opowieściami o superbohaterach tylko ze względu na rysunkową formułę, a tak naprawdę powinno się je umieszczać obok beletrystyki lub literatury faktu.

Jednym z największych komiksowych przebojów ostatnich lat okazał się album *Totalnie nie nostalgia – memuar* z rysunkami Jacka Frąsia i scenariuszem Wandy Hagedorn. To historia rodzinna o doświadczeniach trzech pokoleń kobiet w opresyjnym społeczeństwie oraz trudnym dorastaniu w końcowych latach PRL. Wątki feministyczne łączą się z opowieścią historyczną widzianą z dziecięcej perspektywy. To rozliczenie z wątkami niedawnej przeszłości, których nie da się wpisać w prostą narrację historyczną.

Ogromne sukcesy na polu komiksowej literatury faktu odniósł Marcin Podolec. Rysownik o delikatnej, poetyckiej kresce ma szczęście do scenarzystów. Wraz z Marcinem Kołodziejczykiem, znakomitym reporterem, wydał *Morze po kolana*, opowieść o prowincjonalnym życiu i meandrach ludzkiego losu. Ze specem od rapu Marcinem Flintem stworzył *Dym* – czyli „wywiad graficzny" z Pablopavo, muzykiem, pisarzem, bardem Warszawy. Ma dobrą rękę do rysowania muzyki i muzyków. Wcześniej zasłynął albumem *Fugazi Music Club* o dziejach legendarnego warszawskiego klubu.

Warto zwrócić uwagę także na prace muzyków-rysowników, którzy obalili słynny aforyzm Franka Zappy, wedle którego opowiadanie o muzyce przypomina taniec o architekturze. Maciej Pałka, muzyk zespołu Songs from the Womb, zawarł w albumie *Najgorszy komiks roku* blaski i cienie losu muzyka, koncentrując się na tych drugich. Ten projekt powstał jako odprysk prac nad znakomitym tomem *Jak schudnąć 30 kg? Prawdziwa historia miłosna* ze śmieszno-gorzkim scenariuszem Tomasza Pstrągowskiego. Wątki okołomuzyczne poruszał Krzysztof Ostrowski, rysownik i wokalista Cool Kids of Death. Wywołał skandal, gdy na zamówienie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego stworzył *Chopin New Romantic*. Ze względu na wulgarny język ministerstwo wycofało się z pomysłu, najpierw zapowiadając zniszczenie nakładu, a później usunięcie godła oraz informacji o swoim patronacie. To najgłośniejszy jak dotąd skandal w historii polskiego komiksu.

Frankenrocker & The Jailbait Punks. Scenariusz Roel Torres, rysunki Łukasz Kowalczuk; tytuł planowany na drugą połowę tego roku

Satyra polityczna to jeden z fundamentów opowieści rysunkowych, zwłaszcza w wydaniu gazetowym. Tymczasem przez wiele lat w prasie panowała tu posucha (z chwalebnymi wyjątkami).

Zamykając wątek rysunkowych interpretacji muzyki, należy wspomnieć o rewelacyjnej opowieści *Będziesz się smażyć w piekle* autorstwa jednego z klasyków rodzimego undergroundu Krzysztofa „Prosiaka" Owedyka. Napisał i narysował potężną powieść graficzną o perypetiach gitarzysty metalowego. Wątki muzyczne, tak jak u Pałki czy Podolca, są dla Owedyka pretekstem do opowieści o przyjaźni, dorastaniu i życiu rodzinnym.

Szlak literacki warto zamknąć najlepszą jak dotąd komiksową adaptacją prozy *Ja, Nina Szubur* narysowaną przez Daniela Chmielewskiego na podstawie powieści *Anna In w grobowcach świata*.

Depresja w kadrze

Polskie rysowniczki wzięły na warsztat życie wewnętrzne, koncentrując się na trudnych doświadczeniach i depresji.

Weź się w garść Anny Krztoń to bodaj pierwsza tak pełna, rozległa i kompletna odpowiedź na zagraniczne powieści graficzne w rodzaju *Lighter than My Shadow* Katie Green czy *Rycerzy św. Wita* Davida B. Osobista, ciepła, wręcz intymna fabuła dotyczy dziewczęcych przyjaźni, dorastania, zmagania z depresją i różnymi życiowymi problemami. Krztoń, rysowniczka i autorka zinów, dotąd specjalizująca się w krótkich formach, dzięki stypendium Gildii Komiksu mogła się skupić na pracy nad potężnym dziełem (ponad 240 stron!). Jej powieść koresponduje z dziełem Małgorzaty Kulig, innej stypendystki Gildii. *Ta małpa poszła do nieba* to surrealistyczna, wysmakowana formalnie opowieść o stracie dziecka, walce z bólem i nieżyczliwością otoczenia. W tej kategorii należy też wspomnieć o *Obiecankach* Agnieszki Świętek, opowieści o problemach rodzinnych ukazanych z perspektywy dziecka.

Książki Krztoń, Świętek i Kulig to przełom na polskim rynku, a zarazem udany plon widocznej od kilku lat ekspansji artystek na komiksowe łamy.

Komiks koedukacyjny

Kilkanaście lat temu środowisko komiksowe (fandom) uważano za typowo męską społeczność. Stereotyp głosił, że twórcy i odbiorcy to starzejący się mężczyźni, niepotrafiący wyrosnąć z dziecinnych zainteresowań. Podobnie jak wiele innych uogólnień, jest to pozbawione podstaw. Bo, jak w wypadku innych dziedzin sztuki, w opowieściach rysunkowych ostatnie lata należały do kobiet. Polskie autorki rozwijają konwencje plastyczne i fabularne. Odgrywają też znaczącą rolę w nurcie komiksu zaangażowanego społecznie. Szlak przetarła Katarzyna Kiciputek Babis – malarka, ilustratorka, animatorka postaci w grach wideo, autorka książek dla dzieci (świetna, choć niekomiksowa *Maja z księżyca*) i aktywistka polityczna. Podbiła internet krótkimi komiksami i rysunkami dotyczącymi spraw politycznych, ale też zabawnymi obserwacjami obyczajowymi. Jej internetowa publicystyka wzbudza żywe dyskusje, a pojawiające się w komentarzach „hejty" są dowodem na celność jej publicystyki. Od kilku miesięcy facebookowy fanpage Kiciputka nieco przycichł na rzecz publikacji w międzynarodowym portalu The Nib. Publicystyczną robotą zajęła się też Aleksandra Herzyk, która koncentruje się zwłaszcza na walce z postprawdą i antynaukowymi uprzedzeniami części internautów. W podobnym duchu, choć zupełnie inną kreską, przemawia Marta Zabłocka, autorka tomów *Znamy się tylko z widzenia* i *Sierstka*.

Szlak feministyczny byłby niepełny bez wspomnienia o Beacie Sosnowskiej, rysowniczce, performerce i artystce multimedialnej. Sosnowska zwykle konstruuje opowieści dotyczące niewidocznych w publicznym odbiorze aspektów kobiecości takich jak „niewidzialna" praca, intymność ukrywana za publicznym wizerunkiem, nieheteronormatywna erotyka.

Choć artystki chętnie zabierają głos w sprawach politycznych, należy też zwrócić uwagę na albumy, które opowiadają osobiste historie, okazujące się ważne także dla zbiorowości. Wzmacniają empatię, pomagają spojrzeć na pozornie oczywiste sprawy z nowych perspektyw. Najlepszym przykładem jest *Ciemna strona księżyca* – autobiograficzny pamiętnik Olgi Wróbel. Autorka opisała w nim doświadczenia „stanu błogo-

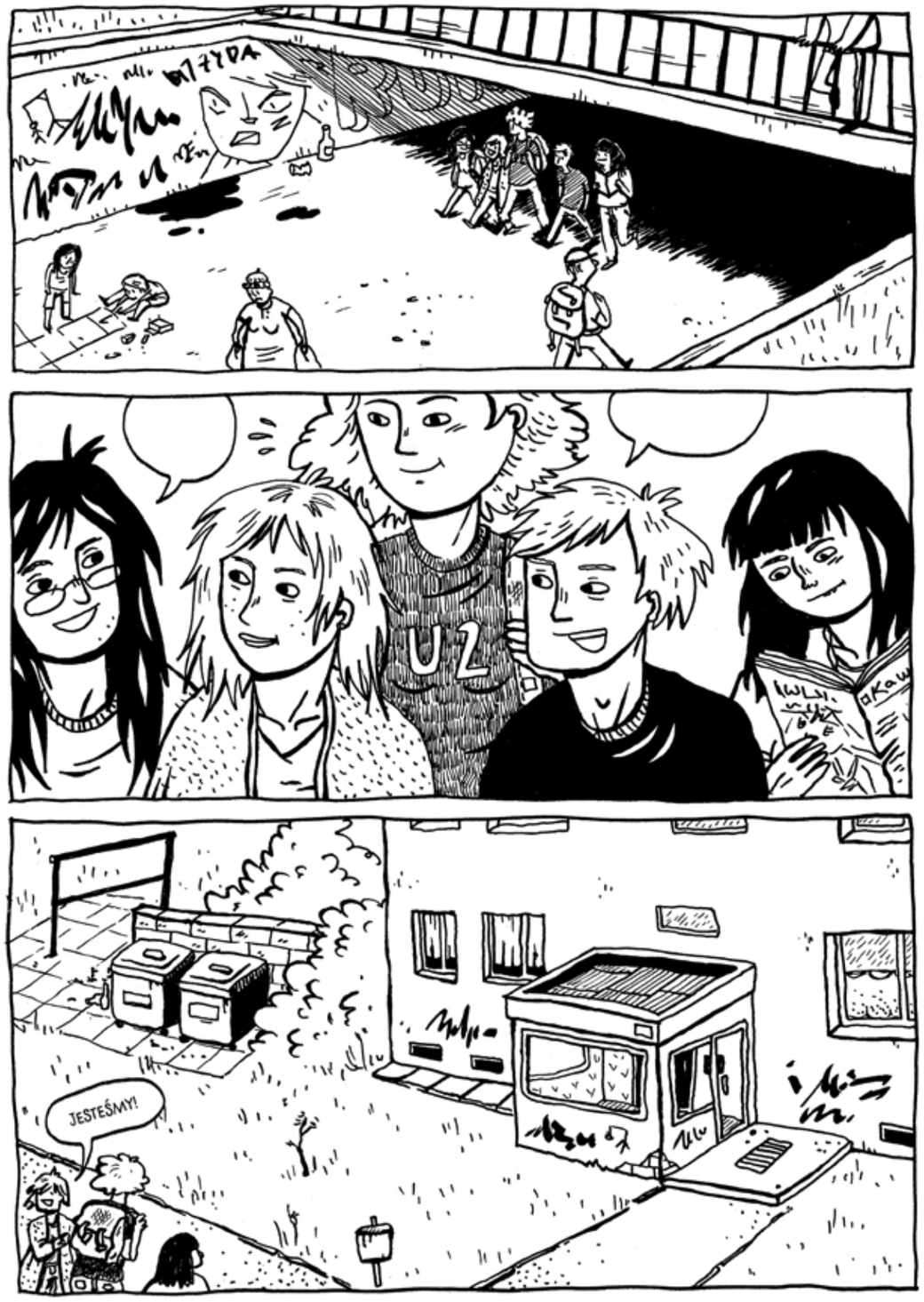

Anna Krztoń, plansza z albumu *Weź się w garść*, Wydawnictwo Komiksowe, 2018

sławionego". „*Ciemna strona księżyca* to pamiętnik ciążowy, który obiecałam sobie narysować, konfrontacja popkulturowych klisz, ludowych mądrości i zbiorowych wyobrażeń z moją codziennością trzech trymestrów, zbiór impresji ułożonych luźno" – wyjaśnia Wróbel.

Wątki feministyczne zawierają też almanachy, między innymi „Polski komiks kobiecy", „Krew", „Zin antyprzemocowy" „Prace i robótki".

Jak o polityce, to na ostro

Satyra polityczna to jeden z fundamentów opowieści rysunkowych, zwłaszcza w wydaniu gazetowym. Tymczasem przez wiele lat w rodzimej prasie panowała pod tym względem posucha z chwalebnymi wyjątkami w postaci Marka Raczkowskiego, Jana Kozy, Ryszarda Dąbrowskiego i nestora polskiego komiksu Andrzeja Mleczki (pamiętny *Pan Zenek, wesoły sanitariusz*). Raczkowskiego, autora słynnych *Przygód Stanisława z Łodzi* nie trzeba przedstawiać, czytelnicy chcący obcować z jego purnonsensowym humorem, powinni sięgnąć po któreś ze zbiorczych wydań rysunków i krótkich pasków. Z kolei Dąbrowski osiągnął miano klasyka dzięki radykalnej, odwołującej się do amerykańskiej szkoły komiksu kontrkulturowego serii o Likwidatorze. Jej bohater, wiecznie uśmiechnięty terrorysta w glanach i kominiarce, kieruje się ideologią anarcho-indywidualistyczno-ekologiczną i… likwiduje bliźnich, którzy w jakikolwiek sposób zaszkodzili przyrodzie lub ludziom. Obrywa się księżom, policjantom, politykom z pierwszych stron gazet, ale także nihilistom, bigotom, turystom śmiecącym w Tatrach. Likwidator nie poprzestaje na rodzimym podwórku. Niekiedy podróżuje w czasie. Odwiedza Hiszpanię w 1936 roku, by wspomóc antyfaszystów, oraz wcieloną do ZSRR Ukraińską SSR w 1920 roku, by ramię w ramię z kozackimi anarchistami Nestora Mahny siać spustoszenie w szeregach czerwonych i białych. Obrywa się nawet samemu Włodzimierzowi Iliczowi! Humor Dąbrowskiego jest przewrotny. Rysownik często łamie tabu (zarówno po prawej, jak i lewej stronie barykady) i przekracza granice debaty, ale poprzez groteskowe wykrzywienie rzeczywistości i spotęgowanie komiksowej przemocy oferuje odtrutkę na wszystkie bar-

Nadwiślańskie próby naśladowania wzorców zza oceanu miały zwykle wymiar pastiszu.

wy politycznej poprawności, zarazem prowokując czytelników, którzy podczas lektury zostają zmuszeni do refleksji nad własnymi antypatiami politycznymi.

Koza, na co dzień rysujący między innymi dla „Polityki", znany jest z turpistycznej kreski i abstrakcyjnego, czasem obrazoburczego poczucia humoru. Bohaterowie jego krótkich opowieści to ludzie z pozoru przeciętni, czasem odstawieni na boczny tor, zagubieni wśród pseudomądrości, komunałów, własnych wyobrażeń i uprzedzeń. Brną przez życiowy banał, tocząc absurdalne rozmowy, potykając się o ostre krawędzie rzeczywistości. Ten sam rodzaj humoru, choć podany zdecydowanie mniej brutalną kreską, można znaleźć w zestawieniu prasowych pasków *Polska mistrzem Polski* Tomasza Leśniaka i Rafała Skarżyckiego, jednego z najsłynniejszych duetów na polskiej scenie komiksowej. Podążając tym szlakiem, warto też zahaczyć o ubiegłoroczny hit *Nacjolove* Jakuba Topora, choć mniej w nim pastiszu, a więcej celnych obserwacji społecznych. Bohaterowie bez perspektyw na znalezienie partnerek i stabilizacji życiowej zwracają się z gorącym afektem ku ideologii nacjonalistycznej, a następnie ku sobie samym. Zakazana miłość dwóch narodowców staje się metaforą życia w dzisiejszej Polsce, w której coraz trudniej być kimś innym, niż nakazują utrwalone wzorce.

Dla zabawy

Czas odwiedzić panteon rodzimych superbohaterów. Nadwiślańskie próby naśladowania wzorców zza oceanu miały zwykle wymiar pastiszu. Styl rysowania łatwo naśladować (a nawet twórczo rozwinąć), zdecydowanie trudniej przenieść całą resztę kodu kulturowego, z którego wyrosły historie „trykociarzy". Najodważniej do twórczego zapożyczenia konwencji podeszli Maciej i Adam Kmiołkowie – twórcy *Białego Orła*, polskiego odpowiednika Kapitana Ameryki, oraz Dariusz Stańczyk i Jakub Oleksów, którzy powołali do życia mrocznego *Lisa*. Żaden z tych bohaterów nie może się równać ze wspaniałym koturnowym kiczem amerykańskich opowiastek, ale warto docenić konsekwencję

Krzysztof Hain, *War Master*, 2017

w adaptowaniu klasycznych wzorców do rodzimych realiów.

Najdoskonalsza polska seria superbohaterska to bez wątpienia *Bler* Rafała Szłapy. Wpisuje się w swojskie realia, najnowszą historię i jarzmo polskich losów. Bler jest ofiarą wypadku, który daje mu nadludzką moc, manipulacji tajemniczych opiekunów oraz... transformacji ustrojowej. W odróżnieniu od większości amerykańskich protoplastów komiks Szłapy posiada pewną głębię i eksponuje dylematy etyczne protagonisty.

Obiecująco zapowiada się także seria *Wydział 7* Tomasza Kontnego i Krzysztofa Budziejewskiego, która stanowi polską odpowiedź na horrory rodzaju *Archiwum X*. Zamiast amerykańskiej mrocznej prowincji mamy Szczecin w latach 60. XX wieku, w miejsce pary agentów FBI funkcjonariuszy tajnego wydziału SB powołanego do walki ze zjawiskami paranormalnymi.

Trudno zliczyć mniej lub bardziej udane próby trawestacji amerykańskich wzorów. Najlepiej udało się to Łukaszowi Kowalczukowi i Krzysztofowi Hainowi. Zdecydowali się na konwencję pulp. Lubują się w kiczu, którym operują tak przesadnie, że traci swój obciachowy wymiar, a staje się czymś wspaniałym. Kowalczuk to w świecie kultury trash prawdziwa instytucja. Prowadził serwis internetowy „Tak złe, że aż dobre", niebawem ukaże się redagowany przez niego magazyn „Szlam". W Gdańsku organizuje Szlamfest, gdzie spotykają się miłośnicy punk rocka, metalu, popkultury oraz wrestlingu, którego jest Kowalczuk niestrudzonym promotorem. Zasłynął, także poza polskim fandomem, serią *Wreckles Wrestlers* zaludnioną przez wojowników w rodzaju Krymskiego Kraba. Chyba dotąd nikt z grona polskich autorów tak umiejętnie nie bawił się kiczem. Za przykład niech posłuży opis wydawniczy jednej z jego prac: „*Cut & Stab in VideOlympics* to adaptacja adaptacji adaptacji adaptacji. Komiks oparty na kreskówce opartej na grze video opartej na kreskówce opartej na grach video".

Z kolei *Hain nad wrestling* przedkłada estetykę okładek starych płyt heavymetalowych, zapomnianych filmów *science fiction* i patosu literatury *fantasy*. Publikuje w internecie i fanzinach. Własnym sumptem wydał dwie krótkie historie: *The Last Robot* i *War Master* oraz *Autopilot,* zbiór rysunków i „shortów".

Polskie rysowniczki wzięły na warsztat życie wewnętrzne, koncentrując się na trudnych doświadczeniach i depresji.

Szlak komiksowych rozrywek warto podsumować niezwykle atrakcyjnym, choć nienowym albumem *Pierwsza brygada. Warszawski pacjent* ze scenariuszem autorstwa Krzysztofa Janicza i Tobiasza Piątkowskiego oraz rysunkami Janusza Wyrzykowskiego. To steampunkowa historia alternatywna, w której pierwsze skrzypce grają między innymi marszałek Józef Piłsudski oraz... Staś i Kali z *W pustyni i w puszczy*.

Czytać czy oglądać?

„Najpierw mam czytać dymki czy oglądać obrazki?" To jedno z pierwszych pytań, które zadają laicy skonfrontowani z komiksowym medium. Nie ma na to odpowiedzi, bo lektura komiksów trochę przypomina oglądanie filmów: trzeba śledzić fabułę, dialogi, pozwolić się wciągnąć do świata uwiecznionego na ekranie. Może być jednak pomocne przy ustalaniu osobistych preferencji. Jeśli wolimy śledzić fabuły, chętniej sięgniemy po rozbudowane, wielowątkowe powieści graficzne, nawiązujące do gatunków literackich. A tych, którzy chcą podziwiać rysownicze rzemiosło, warto odesłać do komercyjnych, dopieszczonych publikacji.

Najważniejszym kryterium przy wyborze lektury powinna być jednak przede wszystkim oryginalność stylu autorów i emocjonalny efekt, jaki wywołuje w nas ich opowieść. Bo skoro artyści rysują dla nas światy, to musimy wybrać te, w których możemy się całkowicie zatracić.

Jan Bińczycki – doktorant na Wydziale Filologii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, bibliotekarz i dziennikarski wolny strzelec. Członek zespołu Korporacji Ha!art.

Akustik andergrant

Wysłuchał Jakub Wydrzyński
Zdjęcia: Danuta Węgiel i Grzegorz Kozakiewicz

Renata Przemyk: Przecież prawa kobiet to nie jest nowa kwestia. Wydawało mi się, że to naturalna rzecz, że każdy człowiek posiadający elementarne poczucie sprawiedliwości będzie się opowiadał za wyrównaniem praw kobiet i mężczyzn.

Jakub Wydrzyński: Początki twojej kariery to festiwale muzyki studenckiej i rockowej. Zaczęło się w Krakowie czy w Jarocinie?
Renata Przemyk: Początek to wiosna i lato 1989 roku. W maju ze Sławkiem Wolskim wygraliśmy Studencki Festiwal Piosenki w Krakowie i stworzyliśmy Ya Hoznę. Jako laureaci dostaliśmy zaproszenie na Festiwal Artystyczny Młodzieży Akademickiej. To był niesamowity trzytygodniowy czas warsztatów i wczasów nad morzem zakończonych występem uczestników. Podczas FAMY potwierdziło się zaproszenie do Jarocina. Jeszcze w tym roku zaproszono nas na koncert debiutów do Opola. Ale doświadczony Sławek uznał, że to nie dla nas i bardziej pasujemy do Kabaretonu, w którym wystąpiliśmy z piosenką *Tortury*.
Nie wystąpiliście w Debiutach przez tremę?
Wtedy nie do końca doceniałam decyzje Sławka. Uważał, że już nie jesteśmy debiutantami, to znaczy on nie jest, i powinniśmy startować w kategoriach „dla dorosłych". Ya Hozna

---

Renata Przemyk – wokalistka, kompozytorka, autorka muzyki teatralnej, aktorka, interpretatorka utworów Cohena, Przybory i Wasowskiego, magister bohemistyki (UŚ). Pochodzi z Bielska-Białej. Od początku lat 90. ubiegłego wieku artystycznie związana z Krakowem. Laureatka m.in. Fryderyka za płytę Andergrant (1996) oraz Grand Prix i nagrody dziennikarzy na XXV Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie (1989), nagrody im. K. Musioła na KFPP w Opolu (1991), Brązowego Mikrofonu na Sopot Festival (1990) i tamże Bursztynowej Płyty (1992). Znana z ekspresyjnego głosu, mieszająca style i konwencje muzyki alternatywnej, rocka, jazzu, piosenki aktorskiej. Akordeon i gitarę, kiedyś kojarzone głównie z graniem klubowym, uczyniła elementem instrumentarium rockowego, tworząc unikatowy styl muzyki autorskiej. Mieszka pod Krakowem.

Teatr Słowackiego, grudzień 2018.
Jubileuszowy, 600. Krakowski Salon Poezji,
fot. Grzegorz Kozakiewicz

dała mi szansę mocnego startu. Po czasie widziałam to wyraźniej. Wtedy szłam na żywioł. Niewiele ponad rok później działałam już jako artystka solowa.

Rodzina nie protestowała, że grasz, zamiast się uczyć?

Raz wzięłam dziekankę, raz poprosiłam o powtarzanie roku, potrzebowałam czasu na napisanie pracy magisterskiej. Ale tak naprawdę delektowałam się młodością. Rodzice martwili się, czy sobie poradzę samym śpiewaniem. Muzyka jako sposób na życie to loteria. Już wtedy widziałam kolegów, którzy naginali ambicje do oczekiwań wytwórni fonograficznych i cierpieli przez takie kompromisy. Gdy jesienią 1992 roku odbierałam dyplom, miałam już wydane dwa albumy i trzeci w produkcji. Nagrody na festiwalach, sprzedające się płyty i przychylność publiczności

O ile na krakowskim Festiwalu Piosenki Studenckiej wyglądaliśmy jak rebelianci, to w Jarocinie prezentowaliśmy się jak szkółka niedzielna.

utwierdziły mnie w decyzji, by zająć się już tylko muzyką.

Jak odbierałaś Kraków z przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku? Jako mekkę artystyczną, krainę hipisów, do której chciałaś trafić od czasów licealnych?

Wtedy byłam dość zielona. Nie wyrosłam w środowisku artystycznym. Zabrakło mi też odwagi, żeby zdawać na UJ, i na studia poszłam do Katowic. Mimo to z każdym przyjazdem na Studencki Festiwal Piosenki moje kroki coraz bardziej zmierzały w stronę Krakowa. Pamiętam pierwszy Festiwal Kultury Żydowskiej w 1988 roku. Tamten Kazimierz w niczym nie przypominał tętniącej dziś życiem dzielnicy. Atrakcje festiwalu ograniczały się do zwiedzania cmentarza żydowskiego i dwóch koncertów w synagodze Tempel, ale to był rodzaj czarodziejskiego ogrodu, który wciągał właśnie dlatego, że był dziki.

Jakie były wtedy Twoje fascynacje muzyczne?

Rock. Słuchałam Maanamu i Republiki. Chociaż miałam otwartą głowę. W latach 80. jeździłam do Jarocina. Byłam tam w 1983 oraz 1984, więc kiedy w 1989 roku zaproszono tam nasz zespół, to Sławek nie miał pojęcia, na co się porywamy. A ja tak.

Podobno oberwaliście kiełbasą...

Nie do końca. Wylądowała mi u stóp... Tamtego Jarocina nie da się porównać z żadnym obecnym festiwalem. To była absolutna bezkompromisowość. Na zasadzie: „Jesteś z nami albo przeciw nam". Jednocześnie było to chyba jedyne miejsce, gdzie wszystkie młodzieżowe subkultury mogły się czuć swobodnie. Wyglądało to niesamowicie. Inaczej niż szary komunistyczny świat na co dzień. Ludzie z fantastycznymi fryzurami, makijażami, irokezy, przy stawianiu których zużywano spore ilości cukru i piwa. Łańcuchy, ćwieki, skóry, agrafki, a obok ludzie kwiatowi, hipisi, poppersi z długimi grzywkami, metale. Zdarzały się niesnaski, ale nie było agresji. Dużo świetnej muzyki i emocji. Gdy padł cień podejrzenia, że jakiś zespół sprzedał się reżimowi i wystąpił w telewizji, to ta kapela nie miała szans. I tu dochodzimy to tego, co leciało na scenę ze strony widowni. Gdy przyjechaliśmy zagrać z Ya Hozną, mleko sprzedawano już w plastikowych woreczkach i takie otwarte, napoczęte, mogło polecieć. Tego się bałam. W kilku budach można było kupić grubą parówkę, przy kościele dostać pomarańczowy ser z darów z Holandii i to właściwie było całe jarocińskie „menu", którym też rzucano w grających, którzy nie zdobyli serca publiczności.

W Jarocinie publiczność albo kochała, albo nienawidziła. Podjęliśmy ryzyko, mając w głowie to, jak mogą na nas zareagować ludzie z uwagi na to, jak różnimy się od innych wykonawców. U nas kontrabas, akordeon, perkusja, ironia i czysty wokal, a tam szarpidruty, chrypa i punkowy wrzask oraz słowo o prawdzie tego kraju i świata. O ile na festiwalu studenckim wyglądaliśmy jak rebelianci, to tam prezentowaliśmy się jak szkółka niedzielna.

Ale udało się.

Udało, a nawet zostało zapamiętane. Może właśnie przez kontrast i odwagę. Do dziś zdarza się mi spotykać ludzi, którzy mówią, że byli w tamtym tłumie punków i nagle zgłupieli. Na scenę wyszła gładko uczesana dziewczyneczka w żakieciku lila-róż, miniówce i z długimi fioletowymi paznokciami. Ekscentryczna pensjonarka. Byłam wtedy małomówna i nieśmiała. Z SFP wyjechałam z naręczem nagród, a po FAMIE w jedynej recenzji zostałam zrównana z ziemią. Tekst o mnie zatytułowano *Dziewczyna z kamienną twarzą*, bo ze stresu stałam jak słup soli. Wiedziałam, że nie zmienię się nagle w showmankę, ale jeśli nie pójdę na żywioł, to taka szansa się nie powtórzy. Trzeba było jeszcze widzieć wzrok Sławka – amatora piosenki literackiej, który nagle zobaczył jarociński tłum freaków. Dla kurażu wlałam sobie rum do buteleczki po syropie Tussipect. Zespół, który miał grać przed nami, nie wystąpił. Nasza menedżerka wyciągnęła mnie z polowej toalety, dokąd wybrałam się przekonana o zapasie czasu. Wypiłam duszkiem alkohol i pobiegłam na scenę. Z instrumentów mieliśmy kontrabas, saksofon i akordeon. Na perkusji przygrywał Fala wypożyczony z zespołu IRA. Najpierw konsternacja, przy drugim kawałku coś się już kotłowało pod sceną, a przy trzecim punki tańczyli regularne pogo, a pod koniec skan-

Ya hozna (1989) MJM Music, muzyczne początki w zespole Ya hozna, którego nazwę zaczerpnięto od utworu Franka Zappy, autorem muzyki oraz tekstów był Sławomir Wolski, eklektyczny album na pograniczu piosenki kabaretowej, jazzu, rock and rolla zawiera legendarne hity: *Babę zesłał Bóg* oraz *Protest dance*.

Blizna (2001) Sony Music Polska, najostrzejszy w całej dyskografii album Przemyk, powrót do rocka i rebelianckich protest songów, stylistycznie zbliżony do *Guano Apes* i *Skunk Anansie*.

Mało zdolna szansonistka (1992) MJM Music, pierwszy solowy album Renaty Przemyk oraz początek wieloletniej współpracy z Anną Saraniecką – autorką tekstów; kompozycje bliskie piosence francuskiej i miejskiej balladzie w jazz-rockowych aranżacjach.

Unikat (2006) Sony BMG, sentymentalna i balladowa płyta, przeważają brzmienia gitary akustycznej, akordeonu i fortepianu; słychać wyraźne inspiracje tradycyjną muzyką Południa: fado, flamenco oraz tangiem.

Tylko kobieta (1994) Sony Music Polska, kompozycje muzyków zespołu Voo Voo (trzech braci Pospieszalskich oraz Wojtka Waglewskiego) zapewniły artystce kolejne przeboje, takie jak ballada *Ten taniec* oraz energetyczny manifest życiowego optymizmu, czyli przebój *Ostatni z zielonych*.

Panienki z temperamentem (2010) QM Music, spotkanie dwóch osobowości, Kayah i Przemyk biorą na warsztat klasyczne piosenki Kabaretu Starszych Panów i robią to w mistrzowskim stylu, jazzowo i swingowo odświeżają brzmienia *Romea* czy *Do ciebie szłam*.

Andergrant (1996) Sony Music Polska, przełomowa płyta, ostry zwrot estetyczny doceniony przez krytyków oraz publiczność, poetyckie teksty połączone z metalowym brzmieniem oraz punkowym wokalem; przeboje *Zero (Odkochaj nas)*, *Bo jeśli tak ma być* i *Zmrok* stały się klasykami polskiego rocka.

Akustik Trio (2012) Impres Art, nowa koncertowa odsłona artystki w wydaniu „bez prądu", akustyczne wersje utworów z poprzednich płyt w wersji na dwie gitary i instrumenty perkusyjne, album *live*.

Hormon (1999) Sony Music Polska, najmocniej elektroniczna płyta pełna utworów o odwiecznym konflikcie płci, po raz pierwszy w całości skomponowana przez artystkę, refleksyjna i drapieżna muzyka alternatywna.

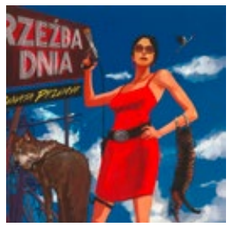

Rzeźba dnia (2014) Universal Music Polska – ostatni autorski album, debiut wokalistki w roli autorki tekstów, eklektyczna podróż przez etno, electronic body music, rock. Od utworów tanecznych po liryczne ballady. Przemyk do tańca i do różańca.

Koncert, Kraków 2007, fot. Danuta Węgiel

dowali „Re-na-ta!". Był to rodzaj błogosławieństwa. Jakby ten tłum powiedział: „OK. Nadajesz się. Jeśli to przeżyłaś, to już nic cię nie zabije".

Pierwszy album *Ya Hozna* to czyste szaleństwo. Jak odbierali was wtedy słuchacze? Byliście dziwakami, kimś z podziemia czy trafiliście na swój czas?

Wzięliśmy ich zapewne z zaskoczenia. Chyba udało nam się oswoić ludzi z akordeonem i niekonwencjonalnym podejściem do muzyki. To nie było wtedy popularne. Gdy ktoś grał na akordeonie, słyszało się, że to „kaloryfer". A na mnie ten instrument zawsze robił wrażenie, pogłębiał nastroje. Razem ze Sławkiem mieliśmy też dość odwagi, aby przełamywać przyzwyczajenia słuchaczy. Sławek był tym rozważnym, ja byłam romantyczna. Dla mnie liczyły się przede wszystkim emocje i bycie pod prąd.

Ludzie nie umieli nas umiejscowić na mapie tamtej muzyki. W jednej recenzji mogłam

Jestem ostatnią osobą, która by wyrywała mężczyźnie łopatę z ręki, a zapalonej hafciarce igłę. Ale do tej pory zdarza się, że w jednej firmie na stanowisku wymagającym tych samych kwalifikacji kobiety zarabiają mniej niż mężczyźni.

o sobie przeczytać porównania z Ewą Demarczyk, Niną Hagen i Edith Piaf. U jednego krytyka mieściłam się w kategorii punk, u innego w piosence poetyckiej czy aktorskiej. Przez lata ciągnęła się za mną metka piosenki studenckiej, jakby bycie studentką predestynowało do grzeczności. Fryderyka w kategorii piosenka poetycka dostałam za *Andergrant* pełen gitarowego rockowego grania. Dziennikarze nie wiedzieli, co ze mną zrobić.

Jak funkcjonowaliście na scenie Krakowa? Były jakieś podziały na wysublimowanych artystów „piwnicznych" i zbuntowaną młodzież?

Graliśmy głównie w klubach studenckich. Czułam się wtedy częścią tego zjawiska, czyli kultury, która jest ambitna, nawiązuje do innych dzieł, dba o poziom tekstu, ale lubi też eksperymenty z formą. Oczywiście, istniała opozycja, której teraz nie ma: podział na mocne granie rockowe i to poetyckie. Określenie „piosenka poetycka" w środowisku rockowym wzbudzało politowanie wobec wrażliwych „swetrowców" z akustyczną gitarą. A w drugą stronę padały zarzuty, że bez prądu by nie przetrwali. To oczywiście krzywdzące stereotypy. Piwnica pod Baranami była ikoną, ale każdy wyrażał bunt przeciw brakowi wolności w inny sposób. My braliśmy z obu stron to, czego potrzebo-

waliśmy. I za ten eklektyzm płaciliśmy czasem pochopnymi ocenami.

Ale kiedyś pomylono cię z Korą.

Tak, i to właśnie w Jarocinie. Fascynowała mnie, była magnetyczna i silna, a przy tym kobieca. Pochlebiały mi te porównania, ale chciałam mieć coś swojego, nie być niczyją kopią.

Jeden z największych twoich hitów *Babę zesłał Bóg* długo traktowany był jako hymn polskiego feminizmu. Czy to był dla ciebie problem, że tak cię zaszufladkowano?

Gdyby te szuflady były pootwierane, to nie byłby problem. Wielu osobom pasowało, żebym była wizytówką jakiegoś ruchu, ideologii. Było to trochę ograniczające, bo jeśli organizator koncertów rockowych słyszał, że uprawiam piosenkę studencką, to był uprzedzony, nim mnie posłuchał. Taki opis kojarzył się z czymś nudnym, mimo że na koncertach ludzie żywo się bawili. Sam feminizm był w Polsce wtedy jeszcze zjawiskiem młodym.

A jeśli mamy jakiś talent, to nie powinno nas ograniczać to, że urodziliśmy się jako ludzie jednej czy drugiej płci. Na kilku późniejszych albumach, jak *Blizna*, śpiewałam o różnicach, na które nie mamy wpływu, więc nie powinniśmy być przez nie wartościowani.

Jestem ostatnią osobą, która by wyrywała mężczyźnie łopatę z ręki, a zapalonej hafciarce igłę. Ale do tej pory zdarza się, że w jednej firmie na stanowisku wymagającym tych samych kwalifikacji kobiety zarabiają mniej niż mężczyźni. I oczywiście, po tej piosence mówiono: „Aha, ona jest feministką, czyli nienawidzi mężczyzn". Bzdura. Gdy ktoś przeprowadzał wywiad i stwierdzał: „Bo ja myślałem, że jesteś taką ostrą s..ą i nie lubisz mężczyzn", to mogłam tylko odpowiedzieć, że jeśli czegoś nie lubię, to głupoty.

Jeśli cokolwiek mogłoby właściwie dookreślić to, co robię, to „alternatywa". Ta pomieści wszystko.

Płytę *Andegrant* ty i Anna Saraniecka, autorka tekstów, nazwałyście i zapisałyście prześmiewczo przez „a" i „nt".

Bo taki to właśnie był ten „underground".

Parę lat później Maciej Maleńczuk stwierdził, że w Polsce nie ma muzycznego undergroundu, a są jedynie ci, którzy zrobili karierę, i ci, którzy jej nie zrobili. Miał rację?

Z nim nie wchodziłabym w polemikę, bo te wszystkie definicje uszyte są na jego użytek. Nawet gdyby Maleńczuk sam nie zrobił kariery, to underground, któremu zaprzecza, pewnie by istniał. A ludzkie gusta zawsze były podzielone. Niezależnie od polityki. Kiedyś liczono, że w Polsce tak zwanej inteligencji jest do 10 procent. A wtedy do tej grupy wliczano również ludzi ze średnim wykształceniem. To przynależenie do inteligentów powinno implikować ambitniejszy gust, szukanie konotacji kulturowych, nawiązania do literatury chociażby przez fakt, że się ją czyta. Wiadomo, że miłośników każdego gatunku muzycznego jest inna liczba. Czasem mała, ale to nie znaczy, że jakiś gatunek nie ma racji bytu. Oczywiście duża liczba fanów ułatwia istnienie na rynku, również w wymiarze finansowym. Istnieje ambitniejsza literatura, muzyka poważna wymagająca przygotowania, ale czy są one są undergroundowe czy niszowe dlatego, że mają mniej odbiorców niż pop? Można polemizować, czy niszowość i underground są zbieżne.

W PRL underground był odbierany jako nurt antyrządowy. Pokolenie Maleńczuka i moje pamięta, że wtedy była cenzura i podziemie. I to, paradoksalnie, wytworzyło snobizm na underground. Tak zwany drugi obieg kultury był jak owoc zakazany. To wypadało znać, każdy świadomy człowiek powinien się tym interesować. Czytaliśmy wydawane w podziemiu książki, zniszczone od kartkowania przez dziesiątki osób i pożyczane dalej. Był to odruch, który procentował wzrostem czytelnictwa. W księgarniach schodziła na pniu literatura iberoamerykańska i inne, nie tylko zresztą zachodnie, pozycje, które niosły powiew wolności, a ludzie stali w kolejkach, by je zdobyć. Jeśli ktoś coś kradł w akademiku, to przede wszystkim książki. Znajomości nawiązywało się przez wspólne lektury i słuchanie nielegalnych nagrań, a nie przez podobny model iPhona czy liczbę lajków na fejsie.

Komponujesz muzykę do spektakli, zagrałaś w musicalu. Czy to jest coś, co zawsze cię kusiło, czy zaproszenie do świata teatru wyszło od innych artystów?

To była konkretna historia. W 2002 roku na mój koncert w Koszalinie przyszedł Bogusław Semotiuk, dyrektor artystyczny Bałtyckiego Teatru Dramatycznego. Zaproponował współpracę. Przygotowywał z Janem Machulskim *Balladynę*, do której marzyła mu się muzyka mojego autorstwa. Miałam dla nich skomponować cztery pieśni na koniec każdego aktu oraz dużo muzyki ilustracyjnej. Olbrzymie wyzwanie, zwłaszcza że pozostały cztery tygodnie do premiery. Nie miałam wtedy komputera z programem muzycznym. Maciej Aleksandrowicz, współproducent płyty *Hormon*, zgodził się sprzedać mi swoje atari, do którego klawiatury wsuwało się dyskietki. Tak to stałam się posiadaczką jednego z trzech atari w Krakowie. Nauczyłam się obsługiwać program, ale zestaw był stary i ciągle się zacinał. Miałam mnóstwo wpadek przy przegrywaniu materiału z mojego sprzętu na komputery w studio, a czas biegł nieubłaganie. Spałam po cztery godziny, nagrywałam kolejne ścieżki, wsiadałam w auto i jechałam do studia w Nowej Hucie, żeby to wygładzić z Maćkiem. W ostatniej chwili na wariata dogrywaliśmy wokalizy. Całą gażę z teatru wydałam na produkcję. Nagle okazało się, że pozostały cztery dni do premiery i aktorzy muszą nauczyć się poruszać w tej muzyce, a nie znają jeszcze żadnego utworu. Menadżerka zawiozła mnie nocą do Koszalina swoim maluchem. Na miejscu rano puściłyśmy aktorom nagranie i... zapadła cisza. Myślałam, że im się nie podoba, a faktycznie to nie wiedzieli, co począć. Podobało się, ale przewróciłam im do góry nogami całą wizję spektaklu. Jak się okazało, dyrektor oczekiwał muzyki w stylu Ya Hozna. Znał tylko mój album, a tu dostał utwory, które mają po 80 śladów. Reżyser przemodelował niektóre sceny, aktorzy mówili, że ta muzyka ich poniosła. Po pierwszym szoku rzucili się w wir pracy, a ja z nimi. Na premierze czułam się jakby mi się rodziło dziecko. Cieszyłam się też bardzo, gdy się okazało, że zostanie wydana płyta z tą muzyką.

Jak się potem układały zadania teatralne?

Przychodziły od ludzi, którzy obejrzeli lub usłyszeli *Balladynę*, a potem kolejne sztuki. Na premierze był Fred Apke, późniejszy reżyser spektaklu *Odjazd* w chorzowskim Teatrze Rozrywki. I jak nabrałam wokalnego rozpędu po Jarocinie, tak po *Balladynie* uwierzyłam w swoje miejsce w świecie muzyki teatralnej. Przy komponowaniu *Odjazdu* miałam też więcej czasu, a muzyka była już grana i śpiewana na żywo. Odległość na Śląsk była mniejsza, więc mogłam też pracować z aktorami podczas prób. W Chorzowie grałam też w *Terapii Jonasza*. W Krakowie przez dziesięć lat występowałam w *Tramwaju zwanym pożądaniem* w Teatrze Bagatela, a dla Teatru Barakah skomponowałam muzykę do *Szyca* i od sześciu edycji tworzę muzykę do *Nocy Waniliowych Myszy*, gdzie mogę pójść na żywioł i eksperymentować, ile zapragnę, a wszystko to w konwencji zwariowanej czarnej komedii.

A największe zadanie aktorskie?

Terapia Jonasza dała mi możliwość poczucia się aktorką. Pracowałam tam ze wspaniałą ekipą profesjonalistów, którzy przyjęli mnie jak swoją i uczyli fachu. To był przełom. Miałam się wcielić w wulkan kobiecości – Hortensję, francowatą żonę głównego bohatera. Dostałam kostiumy z push-upami, uczyłam się chodzić w trenie i na obcasach. W liceum doznałam kontuzji stawu skokowego, po której lekarz kazał mi się pożegnać ze szpilkami, a teatralny szewc dokonał cudu, szyjąc mi najwygodniejsze szpilki świata. Musiałam jeszcze nauczyć się ruchu scenicznego, bo wcześniej scena była dla mnie tylko przestrzenią do śpiewania. I okazało się, że jestem w stanie jednocześnie tańczyć, śpiewać, dialogować, wychodzić do publiczności, zmieniać w locie kostiumy za sceną pośród biegających tancerzy. Dostałam taki zastrzyk wiary w siebie, że poczułam się gotowa do projektu Akustik Trio, w którym zmniejszam dystans między sobą a widownią, stwarzając przestrzeń niemal intymną. To był moment, kiedy z osoby małomównej przeobraziłam się w Renatę gadatliwą, otaczającą się instrumentami, rekwizytami, butami. Od Akustik Trio zaczął się dla mnie inny rodzaj funkcjonowania na scenie. Poczułam się tak dobrze w mojej nowej kobiecości, że w ciągu miesiąca kupiłam kilka par szpilek i nowe sukienki. Oczywiście tłumacząc, że to wszystko na potrzeby sceny.

Czy jest jakiś gatunek, którego chciałabyś spróbować?

Dwa lata temu podjęłam się zaśpiewania pieśni Leonarda Cohena, który wydawał mi się nie do dotknięcia dla mnie przez zbyt wielkie różnice. Daniel Wyszogrodzki, tłumacz Cohena, wykorzystując moją skłonność do karkołomnych wyzwań, przekonał mnie do udziału spektaklu *Boogie Street* w Teatrze Starym w Lublinie. Gdy usłyszałam, że aranżer to Krzysztof Herdzin, pomyślałam: „To urodzony optymista! Ja się w tym nie odnajdę". Na szczęście udało mi się „umrocznić" niektóre aranżacje. Przekonała mnie postać reżyserki, szalonej performerki Iwony Jery, i to, że sztuka oparta jest w dużej części na tekstach mówionych i scenkach z udziałem znakomitego Wojtka Leonowicza. I tu otworzyła się dla mnie nowa przestrzeń w repertuarze, który funkcjonował jako męski, w piosence country, śpiewaniu w harmonii z innymi wokalistkami.

Czego byś sobie najbardziej życzyła w tym roku?

Zdrowia, siły, energii. Miałam przez lata szczęście do świetnych współpracowników i takich samych życzyłabym sobie cały czas. Zarówno tych z zaplecza organizacyjnego, jak i muzyków czy innych artystów przychodzących z pomysłami, zaproszeniami i prowokującymi kolejne wyzwania. A przede wszystkim tak wiernej publiczności jak do tej pory, bo to dzięki niej funkcjonuję.

Od *Akustik Trio* zaczął się dla mnie inny rodzaj funkcjonowania na scenie. Poczułam się tak dobrze w mojej nowej kobiecości, że w ciągu miesiąca kupiłam kilka par szpilek i nowe sukienki. Oczywiście tłumacząc, że to wszystko na potrzeby sceny.

Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.

Kreska i słowo

Tekst: Jan Barański **Ilustracja:** Iwona Siwek-Front

Komiks – rysunek i tekst: połączenie dwóch mediów o niełatwej do zdefiniowania historii, trudnym do wskazania początku.

Opowieść utrwalona

Kiedyś ludzie zapragnęli przekazywać dalszym pokoleniom swoje opowieści. Obecnie wiemy, że można to robić na wiele sposobów. Zapewne najstarszy z nich jest do dziś jednym z najważniejszych – to ustny przekaz międzypokoleniowy. Dziś jednak różnych mediów, za pomocą których można dzielić się narracjami, jest bez porównania więcej niż u zarania ludzkości.

Choć to prehistoria, nasze domysły, analizy ubogich pozostałości, możemy w jakimś stopniu poczynić założenia na temat najdawniejszych ludzkich metod przekazywania treści. Jedną z pierwszych, obok równie, czy bardziej nawet starożytnego języka mówionego, jest rysunek. Jedne z najstarszych prób odwzorowywania zwykliśmy nazywać raczej malowidłami.

Z początku był kształt – może bez sensu – stworzony, by zobaczyć, że się da coś zostawić na czymś. Może następnym razem był już próbą zobrazowania czegoś. Kolejne próby przynosiły nowe formy. Przez przypatrywanie się, naśladowanie, może przez mowę, dalsze pokolenia kontynuowały ten konkurencyjny dla słowa sposób zachowania historii.

Wynalezienie materiałów, na których można zaznaczyć coś na dłużej – utworzyć trwały znak – pozwoliło rysunkom niemal na zawsze odgrywać kluczową rolę w przekazywaniu różnych treści kolejnym pokoleniom. Kod się zróżnicował: coraz więcej można było przedstawić za pomocą rysunków – zwierzęta, ludzi, umarłych, herosów, bogów, symbole, mity i tak dalej. Gdzieniegdzie rysunki zaczęły krzepnąć w powielane formy, by z czasem przekształcić się w coraz bardziej powtarzalne znaki. Rodził się alfabet.

Opowieść kodowana

Starożytni Egipcjanie – dzięki swojej pasji do pozostawiania po sobie jak najbardziej trwałych znaków – dali światu bardzo piękne i interesujące świadectwo o przeradzaniu się rysunków w alfabet. Opowieść o tworzeniu hieroglifów jest bardzo rozciągnięta w czasie – dwukrotnie dłuższa niż choćby historia Kościoła katolickiego i czterokrotnie wytrzymalsza niż ponad tysiącletnie Państwo Rzymskie. Sam zaś owoc, zapis hieroglificzny, jest wyjątkowo wprost trwały. Hieroglify przetrwały bez niczyjej opieki do naszych czasów. Choć nikt już nie używał tej formy zapisu w czasach przed przyjściem na świat Jezusa z Nazaretu. Synowie i córki faraona wynaleźli sposób, by trwale zostawiać po sobie swoje historie, opowieści, mity czy osiągnięcia naukowe lub administracyjne.

Gdy w 1822 roku Jean-François Champollion złamał tajemnicę kamienia z Rosetty i rozpoczął długi proces rozszyfrowywania hieroglifów, umożliwił równocześnie wgląd w swoistego rodzaju przeplatanie się dwóch mediów, z których jedno wydało na świat drugie – z rysunku narodził się alfabet i podążył swoją ścieżką. A cierpliwi i pracowici Egipcjanie przez tysiąclecia wykuwali w murach, wieżach i kolumnach niesamowitych budowli świadectwo czasu, gdy sprawa nie była jeszcze całkiem oczywista: rysunki przeplatały się z literami. Zapisywali swoje myśli w kamieniu, być może dając nam – pewnie niechcący – marne resztki wglądu w ich sposób postrzegania i interpretowania świata.

Znaki, jedne z najdłużej stosowanych na świecie, wyryte w ich świątyniach i pokrywające grobowce ich władców są intrygującą mieszanką rysunków i alfabetu. Te same emblematy znaczyć mogą litery lub sylaby, ale też całe byty: zwierzęta, ludzi, bogów czy wręcz idee – co wiemy dzięki pracy językoznawców. Dzięki nim rozumiemy również, że nie znamy fonetyki języka hieroglificznego. Oto jeden z tych semickich języków, w których nie zapisuje się samogłosek – obok choćby hebrajskiego czy współczesnego arabskiego.

Zapis, stosowany przez milenia, ulec musiał pod naporem bardziej dynamicznej greki, a potem łaciny, które – wraz z napływem posługujących się nimi elit – wyparły hieroglify z powszechnego, aż w końcu niemal jakiegokolwiek użycia. Podobnie stało się z innymi

Fragmenty komiksów z cyklu *Miastonotatki*

alfabetami, które jak hieroglify w wieloznaczny sposób kodowały przekazy. Tego rodzaju splot rysunków z pismem przestał być stosowany. Lecz związki rysunku z literami ewoluowały, znów pączkując, zmieniając się i dając życie kolejnym sposobom przekazywania narracji, by w końcu – stopniowo – mógł narodzić się komiks.

Oddzielenie – zróżnicowanie – poetyka

Zarówno w średniowieczu, jak i w dalszych epokach występowały związki między przedstawieniami graficznymi (rysunkami, rzeźbami itd.), a tekstem. Jednak kwestię tego, co uznamy za początek komiksu, pozostawiam historykom sztuki – choć dla antropologa kultury z pewnością pouczające byłoby prześledzenie samej dyskusji wokół komiksu jako kategorii: ramy definicyjnej. Na potrzeby tego tekstu przyjmę najpopularniejszą wykładnię. Głosi ona, że początki współczesnego komiksu to wiek XIX, rysunkowo-pisana forma ekspresji zaś zawdzięcza swój obecny kształt rozwojowi prasy. Od tego czasu znane ze współczesności powiązanie tekstów (podpisów, opisów, wypowiedzi bohaterów itd.) z sekwencją zazwyczaj oddzielonych od siebie obrazków wykrystalizowało się w osobny sposób opowiadania historii – czy to zmyślonych (chyba częściej), czy historycznych – poddanych komiksowej reinterpretacji.

Komiks urozmaicił poetykę wielu sztuk, otwierając przed nimi nowe pola ekspresji; liczba wydawnictw, twórców i czytelników tej formy narracji jest imponująca, a jej wpływ na inne sztuki – wyrazisty.

Z czasem komiks wytworzył swoją własną poetykę, którą cechuje wielka swoboda w obrazowaniu. Kojarzony bywa często z przesadą i przerysowaniem, promieniując na inne sztuki, a zwłaszcza na film. Znów zostawiam te rozważania specjalistom od sztuki i jej historii, myślę jednak, że cała gałąź sztuki filmowej, którą określamy pastiszem – czyli choćby lwia część twórczości Quentina Tarantino czy Roberta Rodrigueza – nawiązuje bezpośrednio do komiksowej „przesady". Interesujące byłoby również prześledzenie i przemyślenie związków filmu animowanego z drukowanymi historiami obrazkowymi – nie mówiąc już o święcących szczyt popularności filmach o superbohaterach.

Tak czy inaczej komiks – skoro założymy szczególność jego stylu krystalizującego się przez dekady – urozmaicił poetykę wielu sztuk, otwierając przed nimi nowe pola ekspresji. Natomiast liczba wydawnictw, twórców i czytelników tej formy narracji dzisiaj jest imponująca, a jej wpływ na inne sztuki – szczególnie film – równie wyraźna.

Odrodzony kod

Komiks to jednak przecież nie jedyne współczesne powiązanie słów z rysunkiem. XXI wiek przyniósł nam jeden z najbardziej zdumiewających wynalazków w dziejach ludzkości – internet. Jego ogromny wpływ na całą otaczającą nas rzeczywistość nie ulega wątpliwości. Spośród różnych sfer ludzkiej działalności rzecz dotyczy także komunikacji międzyludzkiej. Interesujące, że to właśnie w internecie do łask powróciło powiązanie rysunku z alfabetem – przywodzące na myśl wynalazki wielu starożytnych, w tym wyznawców Słońca z doliny Nilu. Przecież emotikony to skróty znaczeniowe, które można łatwo – choć nie pochopnie! – kojarzyć z pismem hieroglificznym. Za pomocą rysunków oddawane są stany emocjonalne, znaczenia, w końcu symbole czy nawet mity. Proces wydaje się odwrotny od powstawania alfabetów: tym razem to rysunki się różnicują i ewoluują, by znaczyć coraz więcej. Internetowe platformy komunikacyjne tworzą kolejne katalogi kolejnych znaczeniowych emblematów, ustanawiając setki, jeśli nie tysiące nowych znaków – a niektóre z nich stają się ogromnie brzemiennymi w znaczenia ikonami, jak choćby facebookowy „like". Internet to również powstanie memów – kolejnych nowych związków obrazu z tekstem. Nową formą są także bardzo popularne współcześnie gify, które wielokroć powiązane są z tekstem, częściej jednak – znaczą bez niego.

Daleki jestem od diagnozy, jakoby komunikacja międzyludzka powracała do tak zwanego „pisma obrazkowego" – za wcześnie o tym mówić, zbyt banalne i powierzchowne to wnioski. Pozostańmy więc czujni wobec nowych zjawisk, obserwujmy, jak się zmieniają i jak są używane; przemyślmy ich związki z tym, co było, spróbujmy dostrzec ich przyszłość. Myśliciele reprezentujący różne dziedziny wiedzy i nauki mają bardzo wiele do powiedzenia na ten temat. Ja postawię na koniec swoich rozważań pytanie: Jaki jest związek tych form komunikacji, na nowo splatających słowo z rysunkiem, ze współczesnym kryzysem popularności poezji?

Jan Barański – antropolog kulturowy i barman. Redaguje czasopismo antropologiczne „Barbarzyńca" i gra w piłkę.

Anchois z kaparami pod szczytem

Wysłuchała Majka Lisińska-Kozioł **Zdjęcia:** Jan Wierzejski

Adam Bielecki, himalaista: Tam na górze nikt nie stoi i nie bije brawo. Ale gdy wracam, wielu ludzi chce słuchać o górach. Pragną, żebym ich tam w pewnym sensie zabrał. Himalaizmem zainteresowani są też ci, którzy po górach w ogóle nie chodzą.

Majka Lisińska-Kozioł: Czy przerywając projekt Polska Narodowa Zimowa Wyprawa na K2 2017/2018, żeby ratować Tomasza Mackiewicza i Elizabeth Revol spod Nanga Parbat, zmniejszyliście sobie z Denisem Urubką szansę na wejście na wierzchołek Góry Gór, bo zamiast na osaczaniu K2 musieliście się koncentrować na ratowaniu?

Adam Bielecki: Wiedzieliśmy, że na wysokość ponad 6 tysięcy metrów zimą jest w stanie szybko wejść raptem kilkunastu himalaistów na świecie i to pod warunkiem że byliby zaaklimatyzowani i gdyby znajdowali się stosunkowo niedaleko Tomasza i Elizabeth. A zaaklimatyzowani byliśmy tylko ja i Denis.

Uratowaliście Francuzkę. Tomasz Mackiewicz został w górach.

To było trudne doświadczenie. Musiałem sobie to, co się wydarzyło, przepracować. Odpowiedzieć sobie na kilka pytań. Dlatego zaraz po zakończeniu akcji ratunkowej i powrocie do bazy pod K2 chciałem jak najszybciej iść w górę, pobyć sam na sam z przyrodą, spróbować uporządkować kłębiące się w mojej głowie myśli.

Gdy pan odbywał swoje *katharsis*, w Polsce wróciły wspomnienia o zimowym zdobyciu Broad Peaku, 8047 m n.p.m. (5 marca 2013 roku), kiedy to w drodze powrotnej z wierzchołka zginęli Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski. Obwiniano pana wtedy, że nie udzielił im pan pomocy. Powołano specjalną komisję Polskiego Związku Alpinizmu, która opublikowała raport. Zawierał sporo pretensji pod pańskim adresem. W jednej z dyskusji na temat niesienia pomocy partnerom wspinaczki brał udział między innymi Tomasz Mackiewicz. Też był zdania, że powinien pan był wrócić po kolegów. Minęło kilka lat i to jego poszedł pan ratować. Tyko że tym razem himalaiści – nawet ci najbardziej wobec pana krytyczni – doceniali pańską postawę w górach wysokich. Mówiono, że się pan zrehabilitował za Broad Peak.

Nie było powodu, żebym się musiał rehabilitować. I na Broad Peaku w 2013 roku i na Nanga Parbat w 2018 roku byłem tą samą osobą. Tylko że inne były pod każdą z tych gór możliwości. Na Broad Peaku działaliśmy na wysokości 8 tysięcy metrów, umordowani w zejściu ze szczytu; pod Nangą ruszyłem do Elizabeth na 6200 wypoczęty.

To czemu pana zdaniem nie udało się Polakom zdobyć K2 zimą. Wyprawa była dobrze wyposażona. Partnerem ekspedycji zostało również Miasto Kraków.

Najłatwiej byłoby obarczyć winą pogodę, ale ta zawsze jest w Karakorum trudna. Wspinaliśmy się południowo-wschodnim filarem, tzw. drogą Basków, nazywaną też drogą Cesena. Łączy się ona z Żebrem Abruzzi między tzw. Czarną Piramidą i Szyjką. Ale okazało się, że wybór drogi wejścia był niefortunny, bo droga Basków okazała się wyjątkowo niebezpieczna. Spadały na nas niezwiązane śniegiem kamienie. W połowie wyprawy musieliśmy się wycofać i zaczynać wspinaczkę od zera. Gdybyśmy pracę, którą włożyliśmy w przygotowania na drodze Basków, skierowali od razu na Żebro Abruzzich – byłoby więcej czasu i szans na atak szczytowy.

Nie pomógł w zdobyciu wierzchołka konflikt między Krzyśkiem Wielickim a Denisem Urubką, ale też konflikt między Denisem a zespołem. Ani jego samotny atak, ani opuszczenie wyprawy, ani sposób rozwiązywania tego konfliktu nie pomogły wyprawie. Bez niego byłem jedyną osobą, która miała aklimatyzację, więc potrzebowaliśmy dwóch okien pogodowych; jednego, żeby ktoś z moich kolegów mógł wejść wyżej, potem zejść oraz odpocząć – i kolejnego, żebyśmy razem mogli ruszyć w stronę wierzchołka.

A może pojechaliście do Karakorum za późno?

Mogliśmy oczywiście polecieć na początku grudnia i być na miejscu równo z rozpoczęciem zimy, tylko że wtedy ta wyprawa zrobiłaby się bezlitośnie długa. A przebywanie nawet z najlepszymi kolegami w jednym niezbyt komfortowym miejscu przez trzy miesiące generuje dodatkowe spięcia. Nawet drobiazgi zaczynają być irytujące.

Co pan robił w bazie, czekając na pogodę?

Czytałem, surfowałem po internecie. Był telefon satelitarny, można było czasami zadzwonić do domu. Prze te wszystkie lata przyzwyczaiłem się do wyprawowej rutyny. Wpadam w swego rodzaju hibernację i przeczekuję gorsze chwile.

Jak zdefiniowałby pan współczesny himalaizm? Czym on właściwie jest? Fanaberią czy sportem?
Składa się z wypraw komercyjnych, a te charakteryzuje liczna obsługa, dzięki której klienci – słono płacący (cena wyprawy na Mount Everest, 8848 m n.p.m., zaczyna się od 40 tys. dolarów plus koszty podróży – przyp. MLK) – mają swoją przygodę w górach wysokich. Często dzięki dodatkowemu tlenowi i przewodnikom wchodzą na wierzchołki ośmiotysięczników. Nawet na K2. A z drugiej strony są sportowcy profesjonaliści, którzy stawiają sobie ambitne cele, na przykład ustanawiają nowe drogi, odkrywają miejsca dotąd przez człowieka nieodkryte, pobijają rekordy. Oni wspinają się na ogół w stylu alpejskim w małych zespołach, bez tlenu.
Jeszcze niedawno wystarczyło wysłać do pana SMS-a i w parę godzin spotykaliśmy się na Kazimierzu. Teraz nie odbiera pan telefonu i jest, o ile wiem, jedynym himalaistą, z którym trzeba się umawiać przez menedżera.
To konieczność. Dziennie dostaję około czterdziestu maili i telefonów. Gdybym je odbierał, nie miałbym kiedy jeść, spać, trenować, być z rodziną. A jeśli chciałbym na wszystkie odpowiedzieć, to musiałbym się zajmować tylko tym. A ja jestem sportowcem. Moją pracą jest wspinanie, nie ogarnianie kalendarza. Dlatego menedżer pomaga mi załatwić korespondencję, znajduje terminy na spotkania z dziennikarzami, dba, żebym mógł działać profesjonalnie, wywiązywać się z umów, żebym się nie spóźniał na spotkania, pilnuje dat akcji promocyjnych i charytatywnych, w których biorę udział.

Prawdę mówiąc, na to, co dzisiaj robię w górach, pracuje zespół ludzi. Nie znam się przecież na przykład na konstruowaniu umów, dogadywaniu kontraktów.
Trenuje pan tak, jak ordynował to wam swego czasu nieżyjący już Artur Hajzer?
W znacznym stopniu udoskonaliłem metody Artura. Dziś przygotowuję organizm do wysiłku jak każdy współczesny sportowiec. Wiem, że jako wspinacz powinienem mieć silne mięśnie, mocne ścięgna i więzadła. Dlatego trzy razy w tygodniu jestem na ściance wspinaczkowej. Jeszcze częściej biegam. Wykonuję na przykład zaordynowane przez trenera serie skipów (odpowiednie unoszenie kolan – przyp. MLK). Ćwiczę interwały – sprint z tętnem 156–170 na przemian z truchtem, i zestawy tzw. wieloskoków. Jeśli szykuje mi się wymagające pod względem technicznym wspinanie, pracuję nad górnymi partiami ciała i nad stabilizacją. Poza tym buduję wytrzymałość. I biegam też po schodach.
Taszczy pan dziesięciokilogramowy worek na dziesiąte piętro jak kiedyś Wanda Rutkiewicz?

Adam Bielecki (ur. 12 maja 1983 w Tychach) – polski taternik, alpinista, himalaista. Jest członkiem Klubu Wysokogórskiego Kraków. Pierwszy zimowy zdobywca ośmiotysięczników Gaszerbrum I (2012) i Broad Peak (2013) oraz zdobywca K2 (2012), Makalu (2011), Gaszerbrum II (2018). Wielokrotny lider wypraw, m.in. na Szczyt Lenina, Pobiedę Zachodnią, Demawend, Ararat, Kilimandżaro, Ruwenzori, Chimborazo, Cotopaxi, Aconcagua, Denali (McKinley), Dhampus Peak, El Cuerno oraz w Alpach łącznie na 17 czterotysięczników, w tym na Mont Blanc, Dufourspitze, Matterhorn. Autor książki *Spod zamarzniętych powiek*.

Otrzymał nominację do nagrody „Kolosa" 2000 za samotne wejście na Chan-Tengri w Kazachstanie. Portal Explorersweb uznał wejście na Gaszerbrum I zimą – dokonane przez Adama Bieleckiego i Janusza Gołąba – za najważniejsze na świecie wydarzenie w dziedzinie eksploracji w 2012 roku. Absolwent psychologii UJ. Żonaty (Dobrosława), ojciec dwójki dzieci.

Nie, nie... Nie te czasy. Zamontowałem w domu bieżnię w formie schodów.

Podobno idealny himalaista powinien mieć 170–177 cm wzrostu, wysoką wydolność, dużą objętość płuc i serca.

Czy ja wiem? Moim zdaniem istotne jest to, by się szybko aklimatyzował i dobrze się adaptował do warunków niedotlenienia.

Na Gaszerbrumie II, w obozie trzecim jadłem francuskie kiełbaski, oliwki nadziewane papryczkami jalapeño, szwajcarski ser dojrzewający i anchois z kaparami.

Faktycznie pan sobie dogadza.

Na dużych wysokościach brakuje tlenu, więc organizm musi go oszczędzać, żeby zachować funkcje potrzebne nam do życia, a reszta

Jak wygląda Pana odpoczynek po wyprawie?

Na ogół dostaję od trenera dwa tygodnie wolnego. Wtedy spędzam więcej czasu z rodziną. Ale – choć mógłbym – nie odpuszczam ścianki, jeżdżę na rowerze.

Lubi pan dobrze zjeść, a wręcz pieścić swoje kubki smakowe. W górach wysokich też?

tlenu idzie w mięśnie. A że trawienie nie jest tzw. funkcją życiową – zostaje przez mózg „wyłączone". To oznacza, że nie mamy apetytu, a jedzenie na wysokości powyżej siedmiu tysięcy metrów na ogół kończy się torsjami. Żeby cokolwiek przełknąć, trzeba mieć pod ręką coś, co się lubi. Dlatego na każdą wyprawę dietetyczka Marta Naczyk przygotowuje mi torbę frykasów.

À *propos* jedzenia. Nie smakołyki, ale liofilizaty i batony energetyczne miały opanować świat himalaizmu.

Nie opanowały, ale przecież i jedne, i drugie przydają się w trakcie wspinania.

Jak zachowuje się ciało człowieka w górach wysokich?

Organizm na tak dużych wysokościach reaguje ekstremalnie. Powyżej 7800 m n.p.m. zaczyna się tzw. strefa śmierci, w której nie jesteśmy w stanie utrzymać funkcji życiowych dłużej niż kilka dni. Brakuje tlenu, więc organizm wytwarza znacznie mniej energii.

Kolarz podczas normalnego etapu Tour de France zużywa 6 tys. kcal dziennie, pływak Michael Phelps w czasie przygotowań olimpijskich potrzebował dwa razy tyle. Ile potrzebują himalaiści?

W ataku szczytowym na ośmiotysięcznik, czyli w ciągu piętnastu godzin, spaliłem 11 tysięcy kilokalorii. A odrobiłem ich w tym czasie może 300, może 500.

Podczas prelekcji, ale też w mediach społecznościowych pokazuje pan mnóstwo zdjęć i filmów. Robią wrażenie, na przykład te z pokonywania wąskiej grani albo kręcone we wnętrzu lodowej szczeliny. Dokumentuje pan również swoje wejścia na wierzchołki.

W czasach postępu technicznego i miniaturyzacji urządzeń nie ma z tym problemu. Wchodząc w tym roku na Gaszerbrum II (8035 m n.p.m.) miałem ze sobą GPS w zegarku, kamerkę Go Pro, kamerę 360 i zwykły aparat. Zresztą w aparacie też jest GPS; w sumie trzy źródła GPS i trzy źródła fotograficzne. W przypadku wejść o charakterze sportowym – jak na przykład wejście zimowe na Nanga Parbat – dokumentowanie ma znaczenie. Nikt w razie jakichś obiekcji nie zarzuci mi oszustwa.

Słowo himalaisty nie ma dziś znaczenia?

Na ogół ma, ale sam przekonałem się nie tak dawno, iż niektórzy wspinacze – mniejsza z tym którzy – minęli się z prawdą co do tego, czy osiągnęli wierzchołek. Byłem w stanie zweryfikować ich słowa, bo ja na wierzchołek dotarłem. Dlatego uważam, że tylko w sytuacji zagrażającej życiu dokumentowanie wejścia na szczyt jest trzeciorzędną sprawą.

Podczas wyprawy na K2 Denis Urubko informował w internecie, że jest pan oblepiony rozgrzewaczami.

Przesadził. Miałem elektryczne ocieplacze, ale tylko na stopach. Dostaliśmy też na wyposażeniu wyprawy łapawice z ogrzewaczami, ale one się nieszczególnie sprawdzały. Dlatego korzystaliśmy z rozgrzewaczy chemicznych, które zresztą każdy może sobie kupić w sklepie sportowym.

Gdy rozmawialiśmy po zdobyciu przez pana K2 latem, mówił pan, że zimą ta góra jest do zdobycia, pod warunkiem że technika pójdzie na przód.

Dziś to sobie wyobrażam, mimo że wielkiej rewolucji technicznej nie było. Za to himalaiści są coraz lepiej wyszkoleni, a ich doświadczenie górskie – także moje – jest coraz większe. Na K2 dotarłem zimą do wysokości 7400 metrów, wróciłem cały i nie odmroziłem się, a to pokazuje, że o tej porze roku nawet na tej górze da się działać, choć do trudności tech-

Organizm na tak dużych wysokościach reaguje ekstremalnie. Powyżej 7800 m n.p.m. zaczyna się tzw. strefa śmierci, w której nie jesteśmy w stanie utrzymać funkcji życiowych dłużej niż kilka dni. Brakuje tlenu, więc organizm wytwarza znacznie mniej energii.

nicznych, wysokości, długości trwania wyprawy dochodzi jeszcze wiatr i niska temperatura.

Na przełomie 2019 i 2020 roku szykuje się kolejna wyprawa narodowa pod K2. Z pana udziałem?

Tego jeszcze nie wiem, ale konsekwentnie zmierzam w stronę zimowego K2. I mam nadzieję podjąć to wyzwanie, ale mam swoje warunki. Chciałbym mieć wpływ na to, jaka taktyka wejścia będzie obrana. Chciałbym, żeby to był mniejszy zespół i żeby działał w lżejszym stylu. I chciałbym, żeby cały zespół albo jego część aklimatyzowała się w Ameryce Południowej, co pozwoliłoby skrócić czas naszego działania w Karakorum i zwiększyć szybkość działania.

Sprawia pan wrażenie osoby, która decyzje podejmuje po głębszym zastanowieniu. W górach wysokich często trzeba reagować błyskawicznie?

I tam działam szybko. Góry wymuszają dostosowywanie się do dynamicznie zmieniających się warunków. Żeby nie tracić czasu, podczas wyprawy mam w namiocie idealny porządek, zawsze wiem, gdzie znajdują się poszczególne elementy ekwipunku, jestem sumienny i dokładny.

Żona ma z pana wyrękę, gdy pan wraca do domu.

Nie bardzo, bo tu, na dole, wyłazi ze mnie bałaganiarz.

Zdjęcia za wiedzą i zgodą z archiwum fotograficznego – Adam Bielecki

Majka Lisińska-Kozioł – absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi „Złotej Gruszki".

Zdjęcia: Marek Lasyk

„Wiosna, wiosna, wiosna... ach, to ty" – śpiewał Marek Grechuta, a my dziś czekamy, aż zapuka do naszych drzwi. Może choćby symbolicznie w dniu przesilenia?

Marsz solidarności i pamięci

Tekst i **zdjęcia:** Jacek Balcewicz

Od blisko dwudziestu lat, w połowie marca z inicjatywy krakowian setki ludzi idą z placu Bohaterów Getta na teren byłego obozu w Płaszowie, by upamiętnić ofiary Zagłady.

Czoło Marszu Pamięci

Na początku była nas zaledwie garstka, może kilka osób – wspomina pierwszy marsz Halina Wróblewska. Szliśmy w zasadzie prywatnie, w rocznicę pacyfikacji krakowskiego getta w Podgórzu. Nieformalnie. Jakby na spacer „po śladach" – tak jak oni wtedy, jeszcze żywi, ale już umarli. Szliśmy z placu, który wtedy jak na ironię nosił nazwę Zgody, ulicami Józefińską, Lwowską, Limanowskiego, Wielicką, Jerozolimską, mijając Szary Domek obozowych wachmanów, dalej ulicą Heltmana obok wilii komendanta Amona Goetha na teren dawnego obozu w Płaszowie. Jakieś dwa i pół kilometra. Nie więcej. Kiedy to było?

Halina zamyśla się i grzebie w pamięci. Czas zaciera ostrość konturów i zlewa w pamięci przeczytane opowiadania, zasłyszane historie, zobaczone filmy i fotografie w jeden obraz. Prawdziwy i wyimaginowany. Choć ciągle się wydaje, że to wszystko działo się wczoraj. I nie ma pewności, że nie wróci. A historia stanie się teraźniejszością. Chyba były to lata osiemdziesiąte tamtego już wieku... Na pewno przed Spielbergiem i *Listą Schindlera*. Może jeszcze przed Festiwalem Kultury Żydowskiej? To był taki czas, kiedy o wojnie przestało się już mówić.

Hitlerowcy rozpoczęli prześladowanie Żydów zaraz po wkroczeniu do Krakowa. Już we wrześniu 1939 roku nakazano im uczestnictwo w pracach przymusowych, w listopadzie zarządzono noszenie opasek indentyfikacyjnych z gwiazdą Dawida. Programowo i skrupulatnie zaczęto grabić majątki. W pierwszej kolejności wypatroszono sejfy Banku Holzera przy Sarego. Nie było to trudne, bank nie miał klasycznego skarbca, a trezory z kosztownościami stały wprost na korytarzu. Rozpoczęto planową i skuteczną deportację Żydów. Z blisko 70 tysięcy żydowskich mieszkańców Krakowa szybko zo-

Obszar getta wyznaczały ulice o dzisiejszych nazwach: Piwna, Krakusa, Nadwiślańska, Na Zjeździe, Kącik, Traugutta, Dąbrowskiego, Lwowska, Limanowskiego, północny stok Wzgórza Lassoty, Potiebni, Parkowa, wschodnia i północna ściana Rynku Podgórskiego, Brodzińskiego i Józefińska. Mieszcząc w sobie plac Bohaterów Getta, Janową Wolę, Dąbrówki, Limanowskiego, Rękawka, Węgierską, Krakusa, Benedykta, Tatrzańską i Czarneckiego.

Podwórko przy placu Bohaterów Getta, przed wojną Zgody – jeszcze do niedawna na murze można było zobaczyć ślady od kul niemieckiego plutonu egzekucyjnego

Jedno z pustych krzeseł na placu Bohaterów Getta – dawniej Zgody – symbol żydowskiej nieobecności

Młodzież polska i izraelska tworzy wspólny krąg pod swoimi narodowymi flagami – to spontaniczny, niezapowiedziany symbol na zamknięcie Marszu na terenie obozu w Płaszowie

stało ich w granicach miasta ledwie 15 tysięcy. W marcu 1941 po drugiej stronie Wisły w Podgórzu hitlerowcy na powierzchni 20 hektarów obejmującej kilkanaście ulic i 320 domów zarządzili organizację getta, do którego obowiązkowo przesiedlono wszystkich krakowskich Żydów. Obszar getta wyznaczały ulice o dzisiejszych nazwach: Piwna, Krakusa, Nadwiślańska, Na Zjeździe, Kącik, Traugutta, Dąbrowskiego, Lwowska, Limanowskiego, północny stok Wzgórza Lassoty, Potiebni, Parkowa, wschodnia i północna ściana Rynku Podgórskiego, Brodzińskiego i Józefińska. Mieszcząc w sobie plac Bohaterów Getta, Janową Wolę, Dąbrówki, Limanowskiego, Rękawka, Węgierską, Krakusa, Benedykta, Tatrzańską i Czarneckiego.

Początkowo teren ogrodzono drutem kolczastym, a w kwietniu rozpoczęto wznoszenie muru, którego poszczególne sekcje zwieńczone były półkolistymi łukami mającymi przypominać cmentarne macewy. Okna wychodzące na aryjską stronę zamurowano. Zarówno samowolne opuszczenie getta, jak i wszelakie akty pomocy z zewnątrz karane były śmiercią. Karano nie tylko czyny dokonane, ale nawet sam zamiar ich dokonania. Ludność zgromadzona w getcie regularnie nękana była deportacjami, łapankami i wywózkami do obozów koncentracyjnych. W marcu 1943 roku rodowity berlińczyk SS-Sturmbannführer Willi Haase, dowódca SS i policji w Krakowie, nakazał likwidację krakowskiego getta. Wykonawcą tego zadania został znany z wyrafinowanego okrucieństwa komendant obozu w Płaszowie, pochodzący z Wiednia Amon Goeth. W dniach 13 i 14 marca 1943 roku 8 tysięcy zdolnych do pracy Żydów przewieziono ciężarówkami lub pognano do Płaszowa, 2 tysiące najsłabszych zabito na miejscu, a resztę wywieziono do obozów koncentracyjnych, głównie do Auschwitz, gdzie też czekała ich śmierć. Wojnę przeżyło najwyżej tysiąc żydowskich obywateli przedwojennego Krakowa.

Każdego roku, w rocznicę, idziemy, przeważnie w milczeniu, tamtą drogą „po śladach", których już niewiele zostało. Nikt nikogo nie zaprasza, nikt nikogo nie zmusza. Ludzie przychodzą, bo chcą, bo mają taką wewnętrzną potrzebę. Idą też ze strachu, by tamten czas nie wrócił. Nie ma sztywnego protokołu. Krótkie przemówienie, czasem wiersz. Modlitwa za zmarłych, którą odmówi, jeśli tylko zdoła przyjechać, urodzony w Hamburgu, a mieszkający na Brooklynie Edgar Gluck, rabin Galicji, albo któryś z krakowskich rabinów. Wiązanki kwiatów, znicze, chorągiewki... W pamięci mam jezuitę o. Stanisława Musiała, który ciągle powtarzał, że dla Żydów my chrześcijanie zrobiliśmy zdecydowanie za mało. Ale także mojego rodaka z Dolnego Śląska, urodzonego w Świdnicy już po wojnie Zevi Rav-Nera, ambasadora Izraela, który najpierw na obelisku w Płaszowie położył jako żydowski dowód pamięci malutki kamień przywieziony z Masady, a później już w rozmowie prowadzonej dla miesięcznika „Kraków" przypomniał: „W Polsce w czasie II wojny światowej za pomoc Żydom groziła ze strony Niemców bezwzględnie wykonywana kara śmierci. W innych krajach Europy nie było tak ostrych restrykcji. Na przykład w Belgii, Holandii czy Francji. Polska – pamiętajmy – była pod hitlerowska okupacją. Inne europejskie kraje też wprawdzie były pod okupacją, ale działały w nich lokalne rządy. Na Węgrzech Żydów aresztowała i wysyłała do obozów koncentracyjnych nie żandarmeria niemiecka, a węgierska. Takie przypadki nie miały miejsca tu w Polsce".

Pamiętam drobną postać Edwarda Mosberga przemierzającego całą trasę marszu z 200-letnim egzemplarzem Tory, ubranym w kolorową tzw. sukienkę, na której kazał wyhaftować miejsca i daty kaźni wszystkich członków swojej rodziny i rodziny ze strony żony. Gdy po zakończeniu wojny wrócił do Krakowa, okazało się, że został sam... Powtarzał, że póki będzie żył, nie zapomni i nie wybaczy. A do Krakowa wraca choćby po to, by wnukom wyprawić bar micwę. Przejmujące było to, gdy mówił, że w Krakowie czuje się bardziej swobodnie niż w Ameryce. Bo tu, mimo wszystko, jest u siebie, a tam tylko gościem. Albo jeszcze inna postać: Stefan vel Aaron Halberstam, chłopak z Kazimierza, niegdyś ministrant u Bożego Ciała, który patrząc przez okno podstawówki przy Miodowej na cmentarz Remuh, postanowił jako nastolatek wyjechać do Izraela i przejść na judaizm. Nauczył się hebrajskiego, aramejskiego i poznał Torę. To on na pogrzebie o. Stanisława Musiała SJ odmawiał kadisz. Teraz gdzieś znikł, a szkoda... I najnowsza moja znajomość z Marszu: Lili Haber – przewodnicząca Związku Krakowian w Izraelu, której coroczna obowiązkowa wizyta w Krakowie przypada w połowie marca, w dniu Marszu Pamięci upamiętniającego likwidację krakowskiego getta. Setki ludzi, Żydów i nie-Żydów, mieszkańców i przyjezdnych zbierają się na placu Bohaterów Getta i maszerują do Płaszowa, gdzie stoi pomnik pomordowanych tam Żydów.

– Maszerują i pamiętają – mówi Lili Haber. – Liczba uczestników rośnie z każdym rokiem. Nie mogłabym podać lepszego przykładu mojej nadziei na nową wspólną przyszłość niż to właśnie wydarzenie. Jednak, obok nadziei i ciepłych uczuć, jakie żywię w Krakowie i do Krakowa, istnieją inne uczucia. Smutek, złość, gniew, frustracja i okropna tęsknota. Spacerując po odnowionych ulicach Kazimierza, widzę oczami wyobraźni żydowskie dzieci bawiące się na podwórkach, uczniów w drodze do chederu, betmidraszu albo gimnazjum, brodatych kupców i rzemieślników na gwarnych bazarach, synagogi wypełnione ludźmi. Wyobrażam sobie dziadka Icchaka Cwi Lesera w tradycyjnym chasydzkim stroju, z olbrzymią białą brodą spływającą na pierś, jak dyryguje swoimi dziećmi pracującymi w wytwórni lodów i wody sodowej w podwórzu domu rodzinnego na placu Wolnica 10...

Ma rację Lili Haber: ten świat nie wróci. Gorzej, że narodowego socjalizmu, który doprowadził do Holocaustu, nie pogrzebaliśmy na zawsze. Może się odrodzić i wrócić. I o tym trzeba pamiętać.

Jacek Balcewicz – najmłodszy z grona „ojców założycieli" miesięcznika „Kraków". Z wykształcenia inżynier górnik po AGH, z temperamentu i profesji dziennikarz, publicysta i fotografik. Radny Dzielnicy I Kraków Stare Miasto od trzech kadencji. Mieszka na Kazimierzu.

Najważniejsze coroczne uroczystości w Polsce upamiętniające Zagładę

Styczeń. Rocznica wyzwolenia Auschwitz. Bywa, że te uroczystości, zwłaszcza gdy jest okrągła rocznica, są celebrowane na najwyższym szczeblu międzynarodowym z udziałem głów największych państw (np. prezydenta Putina).

Marzec. Rocznica likwidacji getta krakowskiego. Organizowany jest Marsz Pamięci, będący krakowską inicjatywą obywatelską, nad którą patronat objął prezydent Krakowa Jacek Majchrowski.

Kwiecień. Marsz Żywych (w Dniu Pamięci Ofiar Zagłady). Forma edukacji młodzieży, przede wszystkim żydowskiej, organizowany od 1988 roku przez izraelskie ministerstwo oświaty na terenie obozu w Auschwitz. W marszu obok młodzieży izraelskiej i innych uczestników z Izraela udział biorą także obywatele polscy.

Kwiecień. Rocznica wybuchu powstania w getcie warszawskim. Obchodzona pod Pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, często z udziałem delegacji z całego świata.

Lipiec. Marsz Pamięci 22 lipca. Organizowany do siedmiu lat przez Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma oraz Muzeum Polin w Warszawie upamiętnia rozpoczęcie wielkiej likwidacji warszawskiego getta i wywózkę jego mieszkańców do Treblinki. Ta trwająca dwa miesiące brutalna akcja likwidacyjna doprowadziła do śmierci ponad 300 tysięcy Żydów z Warszawy i okolic.

Lipiec. Kielecki Marsz Pamięci i Modlitwy. Prowadzony w rocznicę pogromu kieleckiego, a organizowany przez grupy kielczan oraz Stowarzyszenie im. Jana Karskiego, którego prezesem jest Bogdan Białek.

(red.)

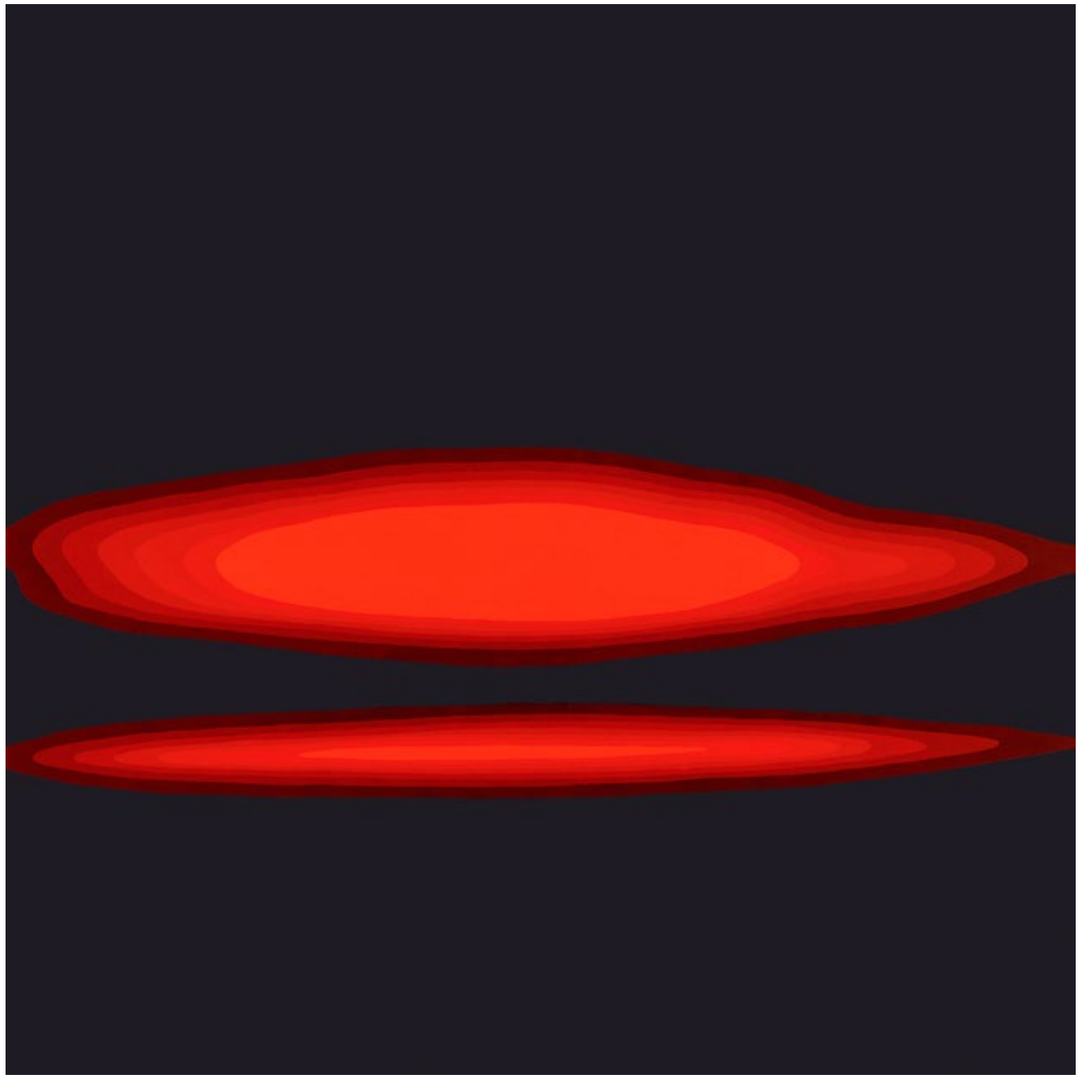

Artur Trojanowski
Początek, 200 x 200 cm, akryl na płótnie, 2016

Kochana, Wielka, Niepowtarzalna Aniu

Tekst: Ewa Lipska **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

OD REDAKCJI: Anna Polony, wielka dama teatru i filmu, w styczniu ukończyła lat 80. Ale nie wiek, którego nie ma co nikomu liczyć, lecz jej niezwykła charyzma sceniczna i wzruszenia, które nam dała i daje, nakazują nam się pokłonić z miłością.

I *ad multos annos* – to zdecydowanie za mało... Najlepszego – od całej redakcji miesięcznika „Kraków" i każdego z nas z osobna!

Stanisław Jerzy Lec napisał kiedyś, że „aktor powinien mieć coś do powiedzenia, nawet jeśli ma niemą rolę". I w takiej roli właśnie spotykam czasami Annę Polony na scenie teatru, który nazywa się Rynek Kleparski, a jest wielkim placem targowym.

Aktorka zbliża się do kalafiora, patrzy na niego oczami figlarnej Claire z *Pokojówek* Geneta i w ostatniej chwili decyduje się na dwie kalarepki. Snuje się po tym teatrze w różnorodnych kreacjach; groteskowa królowa Małgorzata z *Iwony, księżniczki Burgunda*, sfrustrowana namiętnymi borówkami, których nie może jeść, Ciotka Róża z *Wielebnych*, Rachela z *Wesela*. Wściekła Dulska mająca za złe niemoralnie zielonym pomidorom. Na szczęście *Poskromienie złośnicy* przekłada się na dojrzałe truskawki. *Damy i huzary* też w tym gustują... *Sposobem na małżeństwo* bywa duszona cukinia, a *Wyzwoleniem* gotowana marchewka. Podczas *Dwóch księżyców* spotkać można Annę Polony w *Lunatykach* albo we *Śnie nocy letniej*, zawsze z Ofelią białego sera. Aktorka gustuje w dietetycznych, lekkostrawnych, małosolnych, ekologicznych, wyszukanych i wykwintnych *Historiach miłosnych*.

Z biegiem lat, z biegiem dni spotkacie państwo naszego wybitnego Gościa w sklepie PIGI, na małej garmażeryjnej scenie Rynku Kleparskiego (wędliny, naleśniki, pierogi), gdzie można kupić słynną w Krakowie szynkę „Polony". *Na dobre i na złe*, ale na pewno bez tłuszczu i konserwantów. Z własnego doświadczenia polecam *Nie-boską komedię* pasztetu...

Wszystko dobrze, co się dobrze kończy...

*

Kochana, Wielka, Niepowtarzalna Aniu, niech Twój teatr trwa! Życzę Ci dużo zdrowia, nieustannych sukcesów, przyjaciół, miłości, bo jak powiedział Seneka: „Z życiem jest jak ze sztuką w teatrze: ważne, nie jak długo trwa, ale jak jest zagrana...".

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Planty – fenomen

Tekst: Krzysztof Burnetko **Zdjęcie:** Andrzej Nowakowski

Podobnymi w charakterze (i genezie) parkami szczyci się kilka innych starych metropolii Europy. Takich mianowicie, których włodarze postanowili zadośćuczynić życzeniom mieszkańców, by wśród rozmaitych potrzeb życiowych zacząć uwzględniać także rekreację. Tendencja ta (czy moda) zbiegła się z faktem, że fortyfikacje obronne, które dotąd okrążały ścisłe centra niektórych miast, od pewnego czasu (przełomu XVIII i XIX w.) stały się bezużyteczne. Można było je zatem likwidować i zastąpić publicznie dostępnymi ogrodami.

Tak stało się i w Krakowie. Ze względu jednak na specyfikę miejskich fortyfikacji (oraz fakt, że szczęśliwie nie wyburzono ich doszczętnie), jak i styl, jaki nadano Plantom, stały się one jednym z najważniejszych symboli miasta.

Swoje zrobiło i to, że planty w Krakowie nie są jedynie „przestrzenią zieloną". Były wszak też świadkiem zarówno przełomowych wydarzeń w dziejach miasta (i Polski), jak osobistych emocji i czynów („od uniesień miłosnych poczynając, na zbrodniach kończąc") jego mieszkańców. „Słyszały, jak dzwon Zygmunt bił w chwilach podniosłych – i wycie pijaczków, których rozpiera nienawiść lub miłość do Cracovii lub Wisły. Widziały dostojne uniwersyteckie pochody do kolegiaty Świętej Anny, ale i tysiące bezdomnych śpiących na ławkach" – wylicza barwnie Andrzej Nowakowski, *spiritus movens* monumentalnego albumu poświęconego Plantom (wcześniej zaś autor m.in. równie zacnych wydawnictw o ołtarzu Wita Stwosza i Collegium Maius).

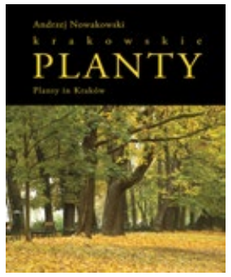

Planty w Krakowie/Planty in Kraków (fotografie wykonał i całość ułożył, wstępem opatrzył Andrzej Nowakowski), TAiWPN Universitas, Kraków.

Album ów to, po pierwsze, fotogramy samego Nowakowskiego pokazujące dzisiejsze Planty włącznie z ludźmi z nich korzystającymi (w tym ze wspomnianymi bezdomnymi). Są jednak też zdjęcia archiwalne, dzięki którym można śledzić zakres zmian, jakie – raz szczęśliwie, a czasem nie – dotykają i tę część miasta. Temu służyć też może kalendarium Plant (z dziejami samego Krakowa w tle). Jest wreszcie zestaw esejów przednich znawców i miłośników Plant, którzy opisują ich rolę w historii miasta, specyfikę w porównaniu z innymi pomnikami sztuki ogrodowej, kulisy prac rewaloryzacyjnych, detale stojących na Plantach posągów i popiersi czy wreszcie wcześniejsze próby uwieczniania piękna tego ogrodu.

Bo, powtórzmy za Nowakowskim, Planty są po prostu piękne.

Planty, czyli wizja

Tekst: Krzysztof Jakubowski **Zdjęcia:** Andrzej Nowakowski oraz archiwum autora tekstu

Planty powstały jako efekt najważniejszej operacji architektonicznej w Krakowie u progu XIX wieku – likwidacji murów miejskich.

Pocztówkowe wydawnictwo Lederer i Popper z Pragi było u progu ubiegłego wieku jednym z najpoważniejszych. Prawdopodobnie jako pierwsze zastosowało technikę kolorowania oraz fotomontażu polegającego na wzbogacaniu widokówek wmontowanymi w kadr postaciami. Z krakowskiej serii pochodzi widokówka (1903 r.) przedstawiająca fragment Plant obok ul. Dunajewskiego z nieistniejącym pomnikiem Chopina.

Długotrwały upadek gospodarczy sprawił, że niespełna 20-tysięczny, prowincjonalny Kraków przełomu XVIII i XIX wieku nie imponował swym wyglądem. Klęski polityczne, przemarsze obcych wojsk i kontrybucje odcisnęły trwałe piętno na wyglądzie miasta. Na każdym kroku widać było zaniedbania i ubóstwo, a rozwój przestrzenny ograniczał dodatkowo zwarty pierścień obwarowań. Kraków przyciągał jednak niespotykaną w innych większych miastach taniością mieszkań i wszelkich produktów z żywnością na czele.

Wolne Miasto Kraków

Cezurą w historii miasta stał się rok 1815. Z chwilą powołania przez kongres wiedeński namiastki państwowego organizmu pod kontrolą trzech zaborców o nazwie Wolne Miasto Kraków (zwanego też Rzeczpospolitą Krakowską) sytuacja powoli zaczęła zmieniać się na lepsze. Organ wykonawczy, jakim był powołany Senat Rządzący, zabiegał o coraz lepszy wizerunek Krakowa jako miasta nie tylko bogatego swą historią, ale i wygodnego do życia. Znacząco ożywił się ruch budowlany, wytyczono i uporządkowano wiele ulic, poprawiono też katastrofalny stan bruków.

Najpoważniejszą operacją była rozpoczęta jeszcze przez austriackie władze u progu XIX stulecia likwidacja mocno nadwyrężonych murów miejskich, służąca przede wszystkim upiększeniu i otwarciu zubożałego, bardzo wówczas zaściankowego Krakowa.

Dla burzymurków koronnym argumentem było to, że rola tego typu obwarowań – bardzo skutecznych w średniowieczu – w ciągu następnych stuleci stopniowo traciła na znaczeniu. Już w XVI wieku udoskonalono artylerię na tyle, że fortyfikacje oparte na prostopadłych murach z wyniosłymi basztami okazały

Na miejscu zajętym dotąd przez pas fortyfikacji rozplanowano i wstępnie urządzono w latach 1822–1830 jedyny w swoim rodzaju ogród. Początkowo nazywano go „Plantacjami", a dopiero od końca XIX wieku upowszechniło się określenie „Planty".

się mocno przestarzałe. Na południu Europy już wówczas budowano mury skośne, znacznie trudniejsze do skruszenia przez żelazne kule. Stosowano też wysunięte potężne bastiony, które można było obsadzić znacznie liczniejszą załogą. Niestety, Kraków nie unowocześniał swych murów i już w XVII wieku nie były one w stanie oprzeć się poważniejszemu oblężeniu, co boleśnie wykazał tak tragiczny w skutkach najazd szwedzki. Jedną z głównych przyczyn upadku miasta w XVIII wieku był właśnie zły stan fortyfikacji, zrujnowanych i zasiedlonych przez najuboższą ludność. Złośliwi krakowianie ukuli nawet dwuwiersz:

„Nie trzeba Moskali, bo samo się zwali,
Przyjedźcie Francuzy, zobaczycie gruzy".

Rozbiórka murów, a wraz z nimi ośmiu bram i 39 baszt, połączona ze sprzedażą odzyskanego materiału budowlanego w drodze licytacji, prowadzona była (z przerwami) w latach 1807–1818. Tylko niezwykłej determinacji senatora Feliksa Radwańskiego Starszego zawdzięczamy ocalenie fragmentu fortyfikacji z Bramą Floriańską, Barbakanem i trzema basztami: najstarszą Ciesielską oraz Stolarską i Pasamoników. Anegdotycznie może zabrzmieć dziś koronny argument senatora, że mury wraz z bramą, zasłaniając miasto od idących z północy wszelkich przeciągów, wiatrów i zadymek, pełnią ważne względy higieniczne...

Plantacje krakowskie

Tenże Radwański był autorem projektu utworzenia w miejscu fortyfikacji jedynego w swoim rodzaju publicznego ogrodu, rozplanowanego i wstępnie urządzonego w latach 1822–1830. Początkowo nazywano go „Plantacjami", a dopiero od końca XIX wieku upowszechniło się określenie „Planty". W pracach tych wspomagał Radwańskiego syn, również Feliks. Podobną rolę w historii Plant odegrał nieco później Florian Straszewski, który w 1830 roku własnym sumptem utworzył fundację na ich utrzymanie.

Wraz z realizacją Plant przystąpiono do wytyczenia ulic biegnących po ich obwodzie. Najpóźniej, bo dopiero w latach 70. XIX wieku uregulowano najsłabiej zabudowaną ul. św. Gertrudy. Tak oto urbanistyczna kreacja w postaci zielonego pierścienia wyznaczyła linię pierwszej obwodnicy, wokół której wytyczano promieniście rozchodzące się ulice rozrastającego się miasta. Wszystko to w zgodzie z zapisami zawartymi w *Ogólnym Planie upięknienia miasta* z 1833 roku, uchwalonym przez Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa.

W XIX wieku powiększano Planty kilkakrotnie, jednak ich najlepszy okres wiąże się z powołaniem na kuratora prof. Maurycego Straszewskiego (1879), syna Floriana, i późniejszą działalnością ogrodnika z duszą artysty Bolesława Maleckiego, długoletniego inspektora ogrodów miejskich. To on przeprowadził stopniową wymianę drzewostanu, zastępując między innymi kruche topole, kasztanowcami i lipami.

Najpóźniej (ok. 1880) urządzono część Plant pomiędzy Barbakanem a wylotem ul. Sławkowskiej, stanowiącą dotąd fragment targowiska kleparskiego, zajmującego zarówno dzisiejszy plac handlowy, jak i pozbawiony jeszcze zachodniej pierzei plac Matejki.

Szczególny stosunek do wagi i roli Plant obrazują perturbacje związane z budową Collegium Novum, najokazalszego gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego, wzniesionego w latach 1883–1887. Skala zamierzonej inwestycji sprawiła, że aby powstał symetryczny czworoboczny plac pod budowę, nie mogło się obyć bez zajęcia niewielkiego fragmentu Plant. Ówczesna Rada Miasta długo deliberowała, czy warto pójść na takie ustępstwo...

Ważnym akcentem stała się tradycja ustawiania na Plantach plenerowych rzeźb i pomników. Pierwszy był obelisk z granitu tatrzańskiego poświęcony Florianowi Straszewskiemu, ustawiony naprzeciw dworca w sierpniu 1875 roku. Ozdobił go medalion z podobizną współtwórcy Plant, autorstwa Edwarda Stehlika, i umieszczona poniżej tablica z napisem „Floryan Straszewski główny uczestnik w założeniu plantacyj". Warto pamiętać, że obelisk poświęcony pamięci Straszewskiego, był pierwszym w Krakowie

pomnikiem, jaki pojawił się w otwartej publicznej przestrzeni.

Wśród akcji porządkująco-upiększających prowadzonych w następnych latach wymienić można ustawienie kamiennych ławek, oświetlenie alejek lampami gazowymi oraz budowę sadzawki (1904) i metalowych ogrodzeń (1906). Charakterystycznym elementem plantowych alejek były ustawiane od końca lat 80. XIX wieku drewniane podpiwniczone kioski, utrzymane w popularnym wówczas stylu szwajcarskim, należące do firmy Rząca-Chmurski fabrykującej wodę sodową. W smutnych – nie tylko dla Plant – czasach PRL-u nikt nie chciał ponosić trudu i kosztów ich odnowienia. Wszystkie usunięto w wyniku bezdusznej decyzji w 1958 roku. Przetrwały natomiast murowane kioski tej samej firmy wystawione w 1930 roku według projektu Stefana Strojka u wylotu ulic Szewskiej i Sławkowskiej. Trzeci, obok Teatru im. Słowackiego został rozebrany, a następnie odtworzony (1990).

Szkody i dewastacje

Sporo szkód w przestrzeni Plant poczyniła okupacja, a najpoważniejszym ciosem był demontaż wszystkich metalowych ogrodzeń przeprowadzony przez hitlerowców latem 1940 roku. Przyczyniło się to wkrótce do postępującej dewastacji zieleni i powstania licznych „dzikich ścieżek", mimo że do połowy lat 60. ubiegłego wieku utrzymywano funkcję plantowego.

Po latach zaniedbań, w 1988 roku rozpoczęto prace przy restauracji Plant według projektu prof. Janusza Bogdanowskiego. Odtworzono stopniowo kompozycję poszczególnych ich partii, nazwanych „ogrodami", a także stylowe lampy, ogrodzenie zdemontowane przez okupantów oraz małą architekturę.

Na koniec warto jeszcze zwrócić uwagę na fragment zwartej zabudowy ingerujący w zieloną strefę Plant przy ul. św. Gertrudy. Do dziś rodzą się zrozumiałe emocje i podejrzenia, jak to się stało, że w takim miejscu mogły stanąć kamienice. Odpowiedź tymczasem nie ma posmaku sensacji i może budzić pewien niedosyt.

Podczas parcelacji jedyną enklawą zabudowy, jaka ostała się na terenie przyszłych Plant, było kilka domów położonych naprzeciw ogrodów ks. misjonarzy i ówczesnej łąki św. Sebastiana. Na taki stan rzeczy złożyło się kilka przyczyn. Po pierwsze zabudowania te stały w pewnym oddaleniu od murów miejskich i nie przeszkadzały w prowadzeniu prac niwelacyjnych, toteż przy wytyczaniu głównej alei Plant usunięto jedynie ich oficyny. Poza tym Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa i kierujący pracami Komitet Ekonomiczny nie wykazały wystarczającej determinacji w definitywnym wywłaszczeniu tych nieruchomości, bowiem ta część Plant traktowana była trochę po macoszemu. Później przylgnęło nawet do tego odcinka nieco pogardliwe określenie „Planty Żydowskie" i tak już pozostało. W latach 80. i 90. XIX wieku niewielkie domy zastąpione zostały przez cztery potężne kamienice, z których trzy przeznaczono na hotele.

*

Dziś Planty, podzielone na osiem ogrodów, mają około czterech kilometrów długości i rozciągają się na powierzchni 21 hektarów. Na ich obszarze podziwiać można 40 gatunków drzew i krzewów, a wśród nich pomniki przyrody, jak 130-letni platan u wylotu ul. Wiślnej.

Krzysztof Jakubowski – krakus, działacz samorządowy, miłośnik i popularyzator historii miasta. Od lat działa w Obywatelskim Komitecie Ratowania Zabytków Krakowa, jest też członkiem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Napisał m.in. *Przy stoliku – czyli o najstarszych krakowskich kawiarniach.*

Sztuka jako afirmacja

Tekst: Jakub Wydrzyński **Zdjęcie:** Alicja Rzepa

Artur Trojanowski z industrialnej Łodzi przewędrował do Lanckorony, gdzie wraz z żoną prowadzi pensjonat Willa „Bajka” i realizuje kolejne projekty artystyczne. Grafik, malarz, twórca instalacji inspirujący się energią miejsc, eksplorujący emanacje rzeczywistości.

Ostatnie cykle jego obrazów to konsekwencja swoistej *via negativa*, którą autor przeszedł w poszukiwaniach nowych motywów i inspiracji. Odchodząc od malarstwa figuratywnego, analizując historyczne i współczesne podejście do pejzażu, w cyklu *Emanacje* artysta dokonał redukcji kompozycyjnej do form podstawowych, jawiących się bardziej jako aura, pole energetyczne niż konkretny przedmiot czy przestrzeń. To, co widzimy, jest elementem percepcyjnej gry. Plamy rozwarstwiają się, sprawiają wrażenie pozostających w ruchu, zatrzymanych w procesie przeobrażania się czy też nieustającej tytułowej emanacji. Możemy próbować zbliżyć się do niej w indywidualnej kontemplacji lub przyjąć, że to, co widzimy, jest tylko jednym z możliwych wymiarów obcowania z formą, której zasadą jest fluktuacja i przepływ energii.

Kantyczka dla Onufrego była wystawą-eksperymentem Trojanowskiego przygotowaną dla Shefter Gallery w Krakowie. Wariacja na temat potrzeby duchowości w czasach postsekularnych interpretowana była jako próba stworzenia świątyni dla niepowstałego jeszcze kultu. Industrialne instalacje zaprojektowane w przestrzeni galerii, wypełnione świecącymi totemami, sreberkami używanymi w krakowskich szopkach, przywodziły na myśl formy ludowej religijności.

W najnowszym, malarsko-filmowym projekcie *Algorytmy analizy wielu zmiennych* Trojanowski inspirację czerpie z teorii cząstek elementarnych oraz badań dr. hab. Marcina Woltera nad zmiennymi w fizyce wysokich energii. Cykl *Diagramy* zapełniają coraz bardziej płaskie i graficznie uproszczone formy przypominające mikroorganizmy oglądane pod mikroskopem. Uchwycone w ruchu, przyłapane w momencie stawania się byty. W projekcjach filmowych artysta za pomocą programu komputerowego dokonuje przetworzenia mimetycznych przedstawień rzeczywistości do geometrycznych form podstawowych. Algorytm uznający obraz świata za błąd, przekształca go w kompozycje z kwadratów i prostokątów. Wizualny żart na temat matematyczności przyrody, produkujący zmienne ruchome abstrakcje, staje się pretekstem do refleksji nad granicami naszego poznania.

Artur Trojanowski (ur. 1968) – absolwent Wydziału Edukacji Wizualnej PWSSP w Łodzi, dyplom w Pracowni Grafiki Warsztatowej prof. Tomasza Chojnackiego w 1993 roku oraz dyplom malarstwa w pracowni prof. Jacka Bigoszewskiego. Zajmuje się malarstwem, filmem, instalacją. Od 2005 roku jako Bob Dewolai tworzy Grupę „Art. Spożywcze” oraz Pracownię Antyreklamy. Mieszka i pracuje w Lanckoronie.

Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.

KWESTIO-
NARIUSZ
PROUSTA

PO KRAKOWSKU

Artur Trojanowski

Główna cecha mojego charakteru.
Trudno mi o tym mówić, bo mam świadomość, że moja ocena siebie jest subiektywna, wolałbym, aby na to pytanie odpowiedzieli inni. Przychodzi mi do głowy pewne zdanie dotyczące właśnie oceny siebie i świata, brzmi ono tak: „Siebie oceniamy po intencjach, innych ludzi po ich czynach. Ale jak powiedziała moja żona, u mnie tą cechą może być konsekwencja".
Co mnie ekscytuje.
Na pewno tworzenie. Jestem raczej osobą zrównoważoną. Staram się zbyt szybko nie ulegać emocjom – ani tym pozytywnym, ani negatywnym.
Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk.
Brak tolerancji, empatii i agresja. Wszelkiego rodzaju radykalizmy. W ostatnim czasie przeraża mnie bezrefleksyjność w przyjmowaniu destrukcyjnych idei, np. nacjonalizmu, ksenofobii
Dar natury, który chciałbym posiadać.
Kiedyś była taka bajka animowana, nazywała się *Zaczarowany ołówek*. Główny bohater miał taki rodzaj ołówka, którym mógł pomagać innym w kłopotach. Nie wiem, czy jest to dar natury, ale taki dar pomagania innym chciałbym posiadać.
Błędy, które najczęściej wybaczam.
Na to pytanie odpowiem trochę wymijająco. Powiem tak, cenię w ludziach otwartość, życzliwość i umiejętność przyznawania się do własnych błędów. Staram się nie nosić w sobie urazy, bo mam świadomość (czysto egoistyczną), że taka postawa ogranicza mnie w uczeniu się i rozumieniu otaczającego świata. Jestem w stanie wybaczyć większość ludzkich przywar czy błędów, jeśli widzę w drugiej osobie refleksję i chęć ich naprawienia.
Ulubieni bohaterowie literaccy.
Tu nie będę oryginalny i nie będę silił się na postać, którą mógłbym zaskoczyć. Lubię pozytywistyczne nastawienie do świata Bogumiła Niechcica z *Nocy i dni*.
Ulubieni bohaterowie życia codziennego.
Oczywiście mógłbym powiedzieć o postaciach ważnych i podziwianych przez większości społeczeństwa: o Jurku Owsiaku, o Annie Dymnej i wielu osobach pomagającym nam odkrywać w sobie człowieczeństwo. One są jak drogowskazy. I są dla mnie bardzo ważne. Chciałbym jednak też zwrócić uwagę na te osoby, które tworzą lepszy świat, ale nie są tak medialne i codziennie wykonują swoją pracę po cichu i z pokorą.

Twój największy sukces zawodowy, niekoniecznie oczywisty i oficjalny.
Teraz, kiedy patrzę na swoje życie z pespektywy przeżytego półwiecza, to myślę, że miałem dwie ważne chwile, które spowodowały, że jestem w tym miejscu. Pierwszy taki moment to czas, kiedy tuż po studiach wyprowadziłem się na wieś i całkowicie przestałem malować. Trwało to około czterech lat. Zająłem się wtedy ciesielką, robieniem instrumentów muzycznych i współtworzeniem muzyki. Około 1997 roku dostałem propozycję pracy z młodzieżą i to było impulsem do powrotu do plastyki. To był punkt zwrotny. Drugim ważnym „sukcesem" była moja wycieczka na wystawę Luciana Freuda do Londynu. Miałem w tamtym czasie duże wątpliwości, czy ścieżka, którą podążałem, była dobrym wyborem. Chciałem porzucić malarstwo i zająć się czymś innym. To spotkanie z twórczością i biografią Freuda było strzałem między oczy, prawdziwym *katharsis*. Wtedy zrozumiałem, że zwątpienie jest naturalnym elementem w życiu twórcy, i kiedy wróciłem do Polski, wiedziałem, że nie można się poddawać i ulegać złym emocjom.
Jak lubisz spędzać wakacje.
Z racji tego, że na co dzień mieszkam na wsi otoczony piękną i monumentalną przyrodą, to na wakacje ciągnie mnie do dużych miast. To bardzo inspirujące pobyć trochę w tłumie, obserwować ludzi w prozaicznych sytuacjach, poczuć inne zapachy, popróbować innych smaków. Wsłuchiwać się w odgłosy, których na co dzień nie mam okazji poznawać. Podczas takich wyjazdów nadrabiam też zaległości wystawowe.
Jakiego artystę XX wieku cenisz najbardziej.
Jest bardzo wielu świetnych artystów, których sztukę bardzo szanuję i którzy w różnych okresach mieli na mnie duży wpływ. Nie będę wymieniał klasyków światowej awangardy początku XX wieku, bo te nazwiska są powszechnie znane i mają już swoje miejsce w historii sztuki. Pozwolę sobie z racji tego, że najbliższym mi kierunkiem w sztuce jest minimalizm, wymienić tu szczególnie takich artystów jak Charles Hillman, John Hamilton, mocno niedoceniona Carmen Herrera, Morris Louis Bernstein, Ellsworth Kelly, Ib Geertsen oraz trochę egzotyczni Sadamasa Motonaga i Hiroshi Kawano. Mógłbym tak wymieniać wielu artystów...

Książka do pisania. Do miłości

Tekst: Witold Bereś **Ilustracja:** Marianna Cielecka

Co dziś czytać? A przede wszystkim – jak? Pod presją bitów i agresywnych form? W zalewie tytułów doskonałych czy choćby bardzo dobrych? Jak mieścić wielką treść w formach lepiej przystających do czasu pospiesznego, nerwowego, kurczącego się z każdym mgnieniem?

Weź tę książkę najpierw do ręki.
Liber ad scribendum. *Biblos graptea*. *Sefer lichtiva*. I estetyczne logo. (A estetyka tej serii to rzecz ważna, kto wie czy nie decydująca. Jak pisze Agnieszka Taborska w jednym z tomów: „Jest tam na tyle pięknie, że prędzej czy później dopada człowieka melancholia"...).

Więc estetyczne logo z tekstem w łacinie, klasycznej grece i hebrajskim oznacza jedno – „Książka do czytania".

Weź i od razu czujesz przywołanie czegoś niewyraźnego, niepoliczalnego. Tylko: jak ta książka ewokuje tę niekwantyfikowalność i idącą za nią melancholię?

Czy może decyduje jej dotyk, szorstkość okładki budząca tęsknotę za prostotą i czystością formy?

Na pewno ważny jest tytuł pojedynczego tomu. Już on osadza czytelnika w konkretnej przestrzeni mitotwórczej. A są tu przestrzenie wielkie i małe.

Jest więc Tadeusz Kantor. Ale i Wajda. Szymborska. Leśmian. Penderecki. Sándor Márai (tak, wielki, Márai, mój ulubiony!). Jest powieść-nie-powieść Moniki Krajewskiej. Jest Arles. Budapeszt. Czapski. Finlandia. Ginczanka. Herbert. Holandia. Kazimierz Dolny. Kielce, ale i Lampedusa. Grecja, ale i Otwock. Korczak. Lublin. Lwów. Rzym. Paryż – lecz tylko surrealistów. Providence. Rabi Mosze Isserles. Siena. Szetejnie – wieś, w której urodził się Miłosz. Szwecja. Toskania. Jest Triest. Turowicz. USA (czy aby nie za dużo?). Warszawa. Jerozolima i Kraków – oczywiście. Włochy. Wyspiański. Zagajewski.

Jest „Notes portugalski", „Prowansalski", „Barceloński", „Amsterdamski", „Andaluzyjski" i „Carnet Arlesiene".

I jest Republika Kreciej Góry – miejsce osobne, nieistniejące, a jakże prawdziwe.

Jak nazwać wspólnotę, w której mieszczą się te tytuły? Agorą ducha? Przestrzenią spotkań śladów przeszłości z naszymi dzisiejszymi poszukiwaniami emocji i jednoczesnymi pragnieniami wyciszenia ich?

„Miejsca i ludzie" – mówi na to Wojciech Ornat, wydawca i twórca wydawnictwa Austeria, który serię tę uruchomił w roku 2014.

Jak nazwać wspólnotę, w której mieszczą się tytuły serii *Książka do pisania*? Agorą ducha? Przestrzenią spotkań śladów przeszłości z naszymi dzisiejszymi poszukiwaniami emocji i jednoczesnymi pragnieniami wyciszenia ich?

Ale przecież to więcej. Są tu i duchy, i powietrze, i emocje. Myśli i idee. Wreszcie miłość. Miłość nie ekstatyczna, euforyczna, oczywista, ale mocniejsza, bo kryjąca się w głębi naszych dusz i serc, gdzie drzemią marzenia o pięknie i spokoju.

Adam Wodnicki, wybitny eseista i tłumacz literatury francuskiej, pisze o tym zjawisku: „Spotykamy się na wielkim obszarze między światem umarłych a światem żywych, między jawą a snem wypełnionym głosami, znakami, gdzie mieści się wszystko, czym jesteśmy, czym moglibyśmy być, gdyby los rozdzielał po równo sprawiedliwą szansę. (...) Ślady, ślady, ślady... Krzyżują się, nakładają, bliskie, dalekie, widoczne i nie – na dziejowych szlakach, rozstajach, pielgrzymich ścieżkach – rozpoznajemy je, gdziekolwiek odcisnęła je stopa, gdziekolwiek na morzu dostrzeżemy spieniony szlak ciągnący się za płynącą do Itaki galerą – możemy powiedzieć: *Hic est locus patriae* – jesteśmy u siebie" (*Tryptyk Oksytański*).

*

Ale i to nie wystarczy za wytłumaczenie – są wszak przewodniki, i to najpiękniej wydawane.

Skąd zatem tak szybko pojawiające się przy serii Ornata uczucie nieokreśloności, tak chętnie, choć nie tak łatwo, budzone przez największą literaturę? Że mgła opadła wcześnie, pracowałem w ogrodzie, kolibry przystawały nad kwiatem kapryfolium? Że są drobne, najpierwsze przyjemności, jak pierwszy łyk piwa, z orzeźwiającą i gorzką rozkoszą, jak u Philippe'a Delerma?

I – ten najsławniejszy – że proustowska magdalenka moczona w herbacie?

„ (...) matka widząc, że mi jest zimno, namówiła mnie, abym się napił wbrew zwyczajowi trochę herbaty. Odmówiłem zrazu; potem, nie wiem czemu, namyśliłem się. Posłała po owe krótkie i pulchne ciasteczka zwane magdalenkami, które wyglądają jak odlane w prążkowanej skorupie muszli. I niebawem (...) machinalnie podniosłem do ust łyżeczkę herbaty, w której rozmoczyłem kawałek magdalenki. Ale w tej samej chwili, kiedy łyk pomieszany z okruchami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrżałem, czując, że się we mnie dzieje coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz (...). Sprawiła, że w jednej chwili koleje życia stały mi się obojętne, klęski jako błahe, krótkość złudna (...). Cofam się myślą do chwili, w której wypiłem pierwszą łyżeczkę herbaty (...). I nagle wspomnienie zjawiło mi się. Ten smak to była magdalenka cioci Leonii".

Na marginesie – moda się robi na owe książki-asocjacje. A to czekolada, a to herbaciarnia, a to smak porto tawny pitego o zmierzchu w ogrodzie. Tyle że jakże łatwo popaść w epatowanie tandetą i łatwym sentymentalizmem.

Jednak w tej książce taniego sentymentalizmu nie ma – głównie dlatego że... jej prawie nie ma.

Bo jej autorem ma być czytelnik.

*

Możesz, mylnie, pomyśleć, że to po prostu notes. Książkowy, elegancki, z pomysłem – ale gadżet. Bo oto dwieście ponad stronic z rzadka zaczernionych minicytatem, krótkim opowiadaniem, spostrzeżeniem. Ilustracją wreszcie. Wszystko odwołuje się do tytułu. Ale... przeważają stronice puste, niezadrukowane.

Tak – puste.

Więc nagle treść staje się tak cenna, że aż niespodziewana.

I pojawia się niecierpliwość, pośpiech wręcz, gdy odwracasz kolejne owe puste stronice, byle tylko dotrzeć do tej kolejnej, już zadrukowanej. Ale jaka ta treść! Te drobne formy literackie przypominające swym brzmieniem japońskie haiku, choć opowiadają dosłownie o sprawach doskonale nam znanych.

A papier jest szorstki, w charakterystycznym kremowym odcieniu. On wręcz prowokuje do wykaligrafowania kilku własnych słów.

(Ot, niedawno, widziałem wzruszającą księgę powstającą w ten sposób, że w *Książce do pisania – Tadeusz Kantor* mozolnie zapisuje swoje przemyślenia Krzysztof Globisz...).

*

Osiemset lat temu w Czechach, w benedyktyńskim klasztorze w Podlažicach, nieznany skryba (legenda chce, że za konszachty z diabłem zamurowany w celi, by opisać wielkość klasztoru) pisze Księgę Jedną Zawierającą Wszystko.

Jest tu mozolnie spisywany przez dziesiątki lat tekst Starego i Nowego Testamentu. Jest wiele pozabiblijnych dodatków, wśród nich dzieła Józefa Flawiusza, *Kronika Czechów* Kosmasa oraz są traktaty medyczne. Ale i jest coś, co w Księdze Świętej by się nie mieściło – ni stąd, ni zowąd wpisany w wolne miejsce, między słowami, potężny wizerunek diabła.

Dopisanie do tekstu czegoś ważnego, a niekoniecznie pasującego, to praktyka popularna w klasztorach, gdzie choćby z racji braku papieru mnisi korzystali z dzieł innych, by tworzyć dzieła własne. (Zresztą, co tam Czechy – *Kazania świętokrzyskie* z przełomu wieku XIII i XIV, uznawane za najstarszy dokument prozatorski stworzony w języku polskim, zostały odnalezione pod koniec wieku XIX w oprawie kodeksu zawierającego Dzieje Apostolskie i Apokalipsę).

Bo średniowieczna książka często powstawała między wierszami. Na marginesach. A włożył to potem na półkę kultury popularnej Umberto Eco w niezwykłym *Imieniu róży*...

Zresztą: jakże i dziś ciekawe są marginesy książek w czytelniach! Fora prawdziwe, niemoderowane przez adminów. Słowo dobre na Franza Kafkę i psioczenie na Stendhala. Dialogi między Ołówkiem Czarnym a Długopisem Czerwonym. Tysiące podkreśleń i wykrzykników, pozwalających czytelnikowi iść / nie iść po cudzych, zapomnianych śladach. Albo po własnych – by prześledzić swoją ewolucję intelektualną.

„Wyczaruj przygody. Załóż dziennik snów. Otwórz się na nową hipotezę lub wiersz, na swój nowy wynalazek, nowy wspaniały pomysł. (...) Wytycz drogę wstecz i drogę naprzód. A potem narysuj mapę, która pozwoli ci tę trasę zapamiętać. No bo do czego jest książka do pisania?" – Michele Root-Bernstein

Owszem, kulturowo to niestosowne kreślić w książce. Ale jeśli książka jest właśnie do tego przeznaczona? Jeśli jej tekst ma cię zainspirować do własnego wpisu?

Wspomniana już owa Republika Kreciej Góry to tom w jakimś sensie sztandarowy dla tej serii. Jego autorka Michele Root-Bernstein, amerykańska profesor teatrologii z Princeton, celnie zauważa: „Podróż przez kraj czy przez krainę umysłu – co to ma za znaczenie? Notuj rzeczy, które widzisz i których nie widzisz. Puste miejsca wypełniaj możliwościami. Szukaj natchnienia w najdoskonalszym świecie wyobraźni, podejmuj pełną głębi grę wędrowca, filozofa i artysty, który żyje w każdym z nas. Ciesz się wyobrażeniem własnego wymyślonego miejsca. Naszkicuj krajobraz, florę i faunę, deklarację własnego najintymniejszego domowego ogniska. Wyczaruj przygody. Załóż dziennik snów. Otwórz się na nową hipotezę lub wiersz, na swój nowy wynalazek, nowy wspaniały pomysł. Niech to będzie coś niezwykłego, coś zaczarowanego, coś, w co się da uwierzyć, coś twojego. Wytycz drogę wstecz i drogę naprzód. A potem narysuj mapę, która pozwoli ci tę trasę zapamiętać. No bo do czego jest książka do pisania?"

*

Piękno tamtych, średniowiecznych ksiąg, z inicjałami, z rozplanowaniem tekstu, z mozolną pracą włożoną w ich powstanie uderza tak, jak piękno książki do pisania. A łączy oba typy owo miejsce na bazgroły, oddające stan twej duszy – nawet, jeśli to będzie Diabeł. :)

Bo najważniejsze zawsze dzieje się w tym, co nienazwane. To, co w pauzach.

To daje oddech.

A najpełniejszy oddech daje dobra książka – na pewno ta z serii *Książka do pisania*.

Książka do miłości.

Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Jonasz Stern i Grupa Krakowska

Tekst: Lucjan Orzech **Zdjęcie:** Magdalena Wyłupek/Muzeum Narodowe, Wrocław

Redakcja: Nie mieli jednolitego programu artystycznego, połączyło ich wspólne studiowanie oraz przekonania: krytyka akademickich metod nauczania, zainteresowanie awangardą i zaangażowanie polityczne. Historię Grupy Krakowskiej – jednego z najciekawszych polskich ugrupowań artystycznych XX wieku przypomina we wrocławskim Pawilonie Czterech Kopuł wystawa Grupy Krakowskiej.

Po wojnie, do pierwszej grupy, czyli Marii Jaremy, Adama Marczyńskiego i Jonasza Sterna dołączyli między innymi Jerzy Bereś, Tadeusz Brzozowski, Tadeusz Kantor, Jan Tarasin, Jerzy Tchórzewski.

Wystawa od września będzie udostępniona w muzeum krakowskim, a my przypominamy sylwetkę Jonasza Sterna, który odszedł 30 lat temu.

W latach 70. ubiegłego wieku na secesyjnych schodach krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych przy placu Jana Matejki można było spotkać charakterystyczną postać starszego mężczyzny o semickich rysach twarzy z papierosem w ustach, który wchodził do gmachu niespiesznie, często w zamyśleniu przystawał i robił wrażenie nieobecnego, czasem nie reagując na mijających go w pośpiechu studentów.

Przed laty przeżył własną śmierć i pewnie nosił wciąż pod powiekami to, co tak sugestywnie przedstawił w opowiadaniu Kornel Filipowicz: „Jakże niewzruszony był krajobraz, gdy rozebrani do naga, kolumnami, po dwustu ludzi, brnęli stromą drogą w kierunku, skąd z nawrotami wiatru dochodził stłumiony szelest strzałów, jak gdyby się tam odbywało polowanie w kocioł”.

Być może nachodziło go wspomnienie owadów łażących po nagim ciele w upale czerwcowego dnia, gdy leżał pośród martwych, niezwykłym trafem nieugodzony śmiertelną kulą? Może powracała do niego owa bosa dziewczynka, która „... biegła skosem przez podwórze, widocznie, aby uwolnić ze stajni piejącego koguta”. Może ciągle na nowo rozchylał gałęzie dzikiego bzu, w którym ukrywał się nagi, wołając zdławionym głosem: „Dziewczynko! – jestem biedny człowiek, rzuć mi jakąś szmatę do ubrania”. Mógł się czuć wykluczony potrójnie, bo jako komunista nie należał do społeczności żydowskiej, a jako Żyd nie był narodowości polskiej, teraz zaś łaskawa ziemia go wypluła jak ryba biblijnego Jonasza.

1 czerwca 1943 roku, podczas likwidacji lwowskiego getta Jonasz Stern tylko dzięki przypadkowi uniknął śmierci w masowej egzekucji – kula go nie drasnęła, a on ocalał, leżąc wśród pomordowanych.

A może stawała mu przed oczami żona, która nie miała tyle szczęścia co on, a którą krok po kroku okrucieństwo i strach zapędziły za obozowe druty?

*

Jonasz Stern, wybitny artysta malarz, jeden z filarów kadry dydaktycznej malarstwa krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, urodził się w Kałuszu koło Stanisławowa w rodzinie żydowskiej. Uczęszczał najpierw do Szkoły Przemysłowej we Lwowie, a od 1928 roku studiował malarstwo w Krakowie i pracował zarobkowo. W 1933 roku był współzałożycielem stowarzyszenia artystycznego pod nazwą Grupa Krakowska. Z powodu przekonań lewicowych został usunięty ze Związku Polskich Artystów Plastyków i w 1937 roku osadzony w obozie w Berezie Kartuskiej. W czasie II wojny światowej znalazł się we lwowskim getcie, skąd został wysłany do obozu zagłady w Bełżcu. Udało mu się jednakże zbiec z transportu i wrócić do Lwowa. Podczas likwidacji getta – 1 czerwca 1943 roku, dzięki nadzwyczajnemu przypadkowi uniknął śmierci podczas masowej egzekucji i przedostał się na Węgry. Znane są z tego okresu skromne akwarele i gwasze. Były to na ogół małe studia pejzażowe. Nie zapowiadają one oryginalnej i wyrazistej twórczości z okresu późniejszego. Były pewnie rodzajem autoterapii, jednym ze sposobów na zachowanie równowagi psychicznej.

Do Krakowa Stern wrócił w 1945 roku i rozpoczął działalność w Grupie Młodych Plastyków oraz w teatrze Cricot u Tadeusza Kantora. Od 1954 roku rozpoczął pracę jako profesor ASP. Współpracował przy reaktywowaniu Grupy Krakowskiej, a przez wiele lat był jej prezesem. To jemu w dużej mierze zawdzięczało to stowarzyszenie otwartość i interdyscyplinarność.

Zwykł powiadać, że nawet jego kot jest abstrakcjonistą, bo nie reaguje na realistycznie namalowaną mysz. Członkami i sympatykami Grupy Krakowskiej byli nie tylko plastycy, ale także literaci i muzycy. W zebraniach Grupy brał czynny udział Artur Sandauer, który oddziaływał na klimat dyskursu o sztuce, a w latach 70. nowatorski kompozytor Bogusław Schaeffer prezentował swoje kompozycje i parateatralne spektakle właśnie w siedzibie Grupy w piwnicy Krzysztofory.

Wędkarstwem zaraził go Kornel Filipowicz, najpierw mąż znakomitej malarki Marii Jaremy, a znacznie później przyjaciel Wisławy Szymborskiej. Pewnego razu namówił Sterna do zarzucenia wędki. Stern zrobił to bez przekonania i jedynie z grzeczności dla przyjaciela. Zaraz jednak złowił rybę, którą dał do rąk synkowi Filipowicza, ten zaś ku niezadowoleniu ojca wypuścił ją do wody. Stern opowiadał: „Ja jednak połknąłem wtedy haczyk wędkarstwa”.

W liście do Szymborskiej Kornel Filipowicz irytuje się z powodu usunięcia historii o rozstrzelaniu Sterna (*Krajobraz, który przeżył śmierć*) z wydawanego wyboru opowiadań. Pisze, że ani cenzura, ani Wydawnictwo Literackie nie uprzedziły go o tym. Pisał: „Cholernie się tym zdenerwowałem. Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale coś zrobić muszę, bo na mendowate chamstwo trzeba odpowiadać szybko i zdecydowanie”. Szymborska współczuje mu, ale zaleca spokój: „Staraj się nie dopłacać do tego nerwicą serca, a po drugie: wywiedz się, kto winien, żeby parę słów prawdy poszło przynajmniej pod właściwy adres. Bardzo to wszystko obrzydliwe – zarówno dlatego, że dotyczy Ciebie, jak i dlatego, że wyraża sytuację ogólną”.

Jest jednak jesień 1968 roku, tuż po wydarzeniach marcowych...

*

W czasie stanu wojennego Jonasz Stern zżymał się na tak zwaną emigrację wewnętrzną artystów, która stawała się coraz łatwiejsza wraz z postępującą erozją ustroju. – Pracować im się nie chce! – mówił, wyrażając tym samym dystans do opozycji. Trudno to wówczas było zrozumieć, ale może wynikało z jego doświadczeń życiowych i przewidywał trudne oswajanie się ludzi, jak to nazwał ks. Józef Tischner, „z nieszczęsnym darem wolności”?

Stern jako człowiek i artysta, który zmagał się z niełatwym losem i przeżył własną śmierć, nie mógł uprawiać malarstwa jedynie jako żonglowania efektami estetycznymi. Malowanie wypływało u niego wprost z potrzeby egzystencjalnej. Chociaż cieszył się jako artysta autentycznym uznaniem, to kariera nie była jego celem. Nie miał bowiem w sobie nic z pięknoducha, a w jego ocenach artystycznych dominowała bezpośredniość.

Jonasz Stern mawiał, słysząc męczące filozofowanie na temat sztuki: „Panie, panie, nie bądź pan taki mądry, bądź pan trochę głupi”.

Celne, czasem dosadne powiedzenia Sterna sprowadzały rzeczy górnolotne do właściwych proporcji. Wyrażał też dezaprobatę wobec artystowskiego narcyzmu i sztuki lukrowanej. Piętnował jej uwikłanie w jakąkolwiek ideologię, także religijną.

Mieszkanie mistrz Jonasz miał skromne – pokoik z kuchnią i chyba coś w rodzaju małego gabinetu, w którym przyjmował gości, a który służył mu pewnie także za sypialnię, bo w saloniku była pracownia. Mieszkanie dzielił z kotem, jako się rzekło abstrakcjonistą, zatem nieliczne meble były naznaczone pazurami ulubieńca. Jeśli Wisława Szymborska mogła napisać w liście do Filipowicza: „Najlepiej w życiu ma twój kot”, to kot mistrza Jonasza miał chyba jeszcze lepiej, bo pan traktował go jak partnera w rozmowie, a jak widać, nawet w rozważaniach o sensie sztuki.

*

Znane są anegdoty, jak władze kusiły malarza. A administracja miała lokale odpowiednie na profesjonalne pracownie artystyczne. Stern jednak nie przyjął oferowanej mu obszernej pracowni – odparł, że dobrze mu się pracuje w tym małym mieszkanku przy ul. Jadwigi z Łobzowa.

Jeszcze jako profesor ASP był kiedyś opiekunem studenckiego pleneru w Sanoku. Przywieziono mu tam jego motorower marki Komar, by mógł dojeżdżać nad San i oddawać się swojemu ulubionemu wędkowaniu. Odwiedził tam wówczas studentów ówczesny rektor ASP Marian Konieczny, który ubolewał, że profesor nie kupił sobie samochodu.

Na co Jonasz Stern odrzekł: „Panie Konieczny, dla pana samochód jest może i konieczny, ale dla mnie nie – konieczny”.

Był ukochanym przez studentów profesorem, zarówno studiujących pod jego kierunkiem, jak i z innych pracowni. Pociągała jego wyrozumiałość, połączona z szacunkiem dla każdego, także młodego człowieka. Przyciągał więc do swojej pracowni także różnego rodzaju hochsztaplerów. Tolerował ich, lecz zachowywał dystans i potrafił zareagować z wyrazistym krytycyzmem. Gdy jego student przekonywał pewnego razu, że fotografia własnego nagiego aktu, wklejona do kompozycji malarskiej ma dawać efekt jakiejś specjalnej emanacji artystycznej, odrzekł swoim zwyczajem: „Panie, panie, czym pan chcesz tu emanować?”. Na zbytnie zaś filozofowanie na temat sztuki reagował swoim charakterystycznym: „Panie, panie, nie bądź pan taki mądry, bądź pan trochę głupi”.

Lucjan Orzech – ukończył studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w 1976 roku. Uprawia malarstwo, rzeźbę i grafikę. Profesor zwyczajny na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie.

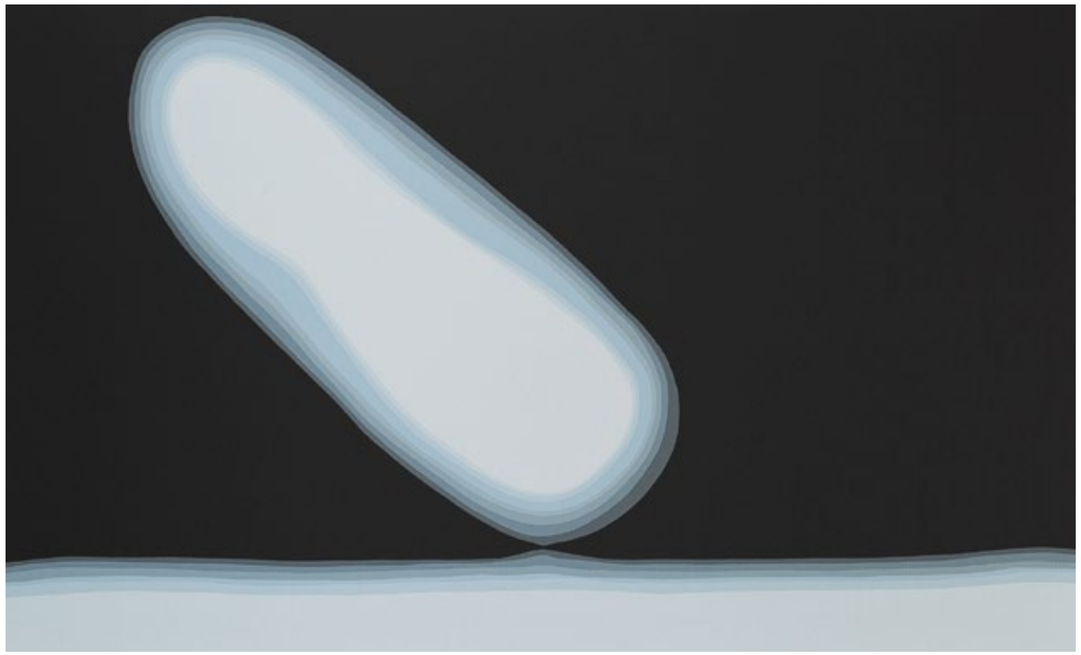

Artur Trojanowski
Upadek, 200 x 120 cm, akryl na płótnie, 2017

Marzec 1919 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

1 marca. Z kroniki „Czasu”: „W niedzielę odbędzie się w salach Grand Hotelu podwieczorek urządzony staraniem Pań Miłosierdzia św. Wincentego à Paulo na rzecz ubogich chorych, zostających pod ich opieką. W czasie podwieczorku odbędzie się loteria spożywcza”.

1 marca. Wiadomość z tej samej kroniki: „Policja aresztowała wczoraj Jana Barana i Apolonię Niemiec, którzy od dłuższego czasu grasowali po targach, kradnąc włościanom konie i wozy. O bezczelności tej spółki świadczy fakt, że przed kilku tygodniami skradli parę koni z wozem, na którym dla pilnowania został kilkuletni syn właściciela. Dziecko zawieźli na Groble i tam płaczące zostawili w szynku, sami zaś odjechali”.

1 marca. „IKC” zamieścił apel: „Do osób mówiących po francusku, angielsku lub włosku zwraca się Komisja Rządowa w Krakowie (Krzysztofory I p.), aby zechciały sekretariatowi podać swój dokładny adres oraz oświadczyć, czy można liczyć na ich współudział w dotrzymaniu towarzystwa przejeżdżającym przez Kraków oficjalnym przedstawicielom państw sprzymierzonych”.

1 marca. Z rubryki ogłoszeń „IKC”: „Koguta żółtego Orpingtona czystej rasy poszukuje do kupna zarząd gospodarstwa domowego ks. Eleonory Lubomirskiej w Przeworsku”.

1 marca. Z tej samej rubryki: „Glińscy z Łańcuta donoszą Glińskim z Tłumacza, że są zdrowi i proszą o wiadomość”.

1 marca. „Nowa Reforma” przypominała: „W myśl rozporządzenia magistratu z dn. 1 kwietnia 1912 r. zakazaną jest w czasie od 1 marca do 1 listopada jazda wszelkimi motorowymi wozami (samochody, motocykle itd.), na całej al. 3 Maja wzdłuż parku Jordana i toru wyścigowego, począwszy od al. Krasińskiego aż do skrzyżowania al. 3 Maja z drogą prowadzącą do Zwierzyńca i Łobzowa”.
Przypomnieć warto, że Tor Wyścigów Konnych czynny był w latach 1891–1913, a w opisywanym okresie był już tylko zarośniętym chwastami nieużytkiem. Dopiero w 1922 roku swój stadion z drewnianą trybuną (przetrwał do początku lat 50.), urządziło tam Towarzystwo Sportowe Wisła.

2 marca. „W aresztach policyjnych przy ul. Kanoniczej są do odebrania dwie pary koni z wozami, z których jedna para jest siwych, a druga gniadych” – donosił „IKC”.

2 marca. Z kroniki „Nowej Reformy”: „Dziś przyjechała do Krakowa misja włoska z kapitanem Guido Accame na czele, w sprawie jeńców włoskich. Misja uda się następnie do Lwowa, a ze Lwowa na Ukrainę, gdzie pertraktować ma z rządem ukraińskim w sprawie opieki nad jeńcami i przewiezienia ich do Włoch”.

2 marca. „Błoto krakowskie ma obecnie tendencję zwyżkującą. Ulica Straszewskiego przybrała już w niektórych miejscach wygląd stawów błotnych przez które nie można się chyba przedostać bez pomocy łódki. Zakład czyszczenia miasta mógłby przynajmniej usuwać błoto i przesypywać szutrem przystanki tramwajowe i przejścia uliczne, które doprowadzają do rozpaczy przechodniów, którzy czują w nieprzemakalnych butach wodę” – utyskiwał reporter „Nowej Reformy”.

5 marca. Dzienniki odnotowały inicjatywę Komisji Miejskiej, która dla uczczenia zasług zmarłego prezydenta uchwaliła przedłożenie Radzie Miasta wniosek o zmianę nazwy części ul. Basztowej – od pomnika Rejtana do pl. Matejki – na ul. Juliusza Lea.
Pomysł ten spotkał się natychmiast z licznymi protestami i inicjatorom przyszło czekać aż do 1925 roku, kiedy to imieniem prezydenta nazwano jedną z głównych ulic w Nowej Wsi, zwaną dotąd Królewską. Ta „odebrana” nazwa powróciła dopiero w 1991 roku, z chwilą przemianowania ul. 18 Stycznia.

7 marca. Z kroniki policyjnej „Czasu”: „W ręce policji wpadł niejaki Emil Piórecki, który od dłuższego czasu sprzedawał zamiast cukru piasek. Osadzono go w areszcie”.

W ręce policji wpadł niejaki Emil Piórecki, który od dłuższego czasu sprzedawał zamiast cukru piasek. Osadzono go w areszcie.

7 marca. Anons z „Nowej Reformy”: „Oddam 7-letnią, zdrową dziewczynkę blondynkę, rzym.-katol., za własną, ale tylko w dobre majętne ręce. Zgłoszenia: Stanisława Kobrzyńska, ul. 5 Listopada 50.

9 marca. Tego dnia wszystkie dzienniki wydały specjalne numery „gdańskie”.
Komitet Odzyskania Gdańska rozpoczął wiec na Rynku Głównym, skąd zgromadzeni przeszli ul. Floriańską pod pomnik Grunwaldzki. Uchwalona rezolucja głosiła, że „Gdańsk musi należeć do Polski”. Rezolucję przesłano do przewodniczącego delegacji polskiej w Paryżu, do Komisji Międzykoalicyjnej w Warszawie i delegatów państw alianckich w Paryżu.

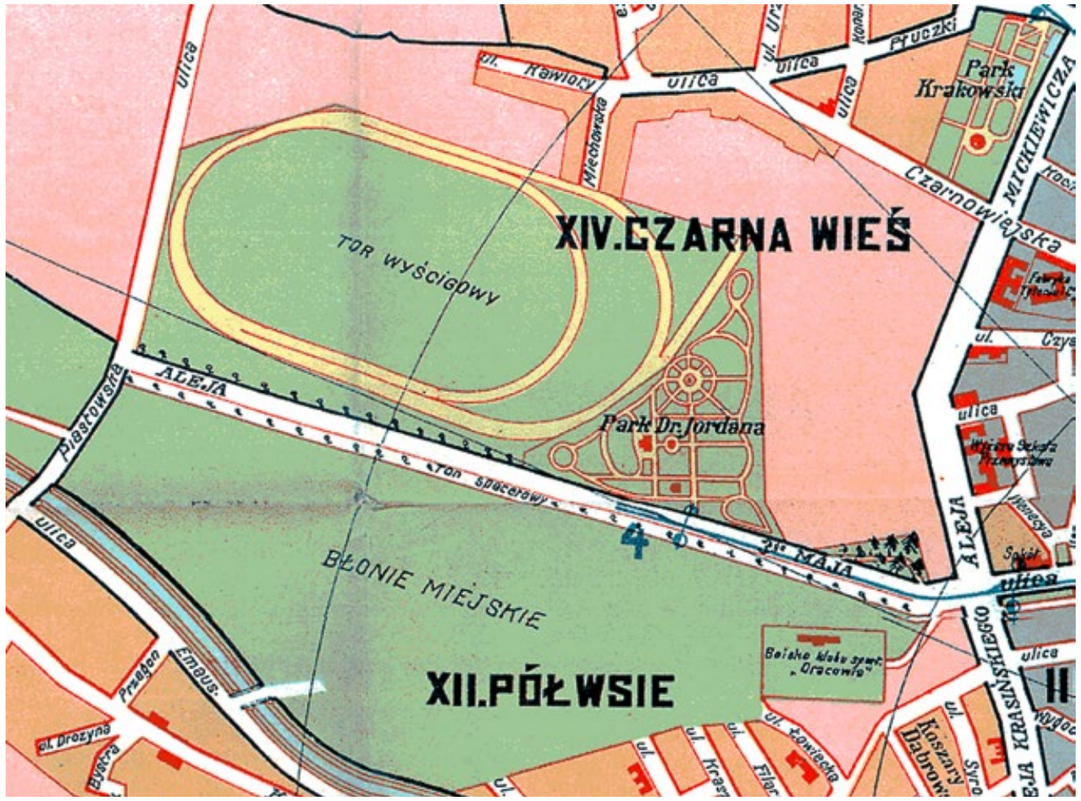

Fragment planu Krakowa (1920 r.) z widoczną ówczesną konfiguracją Toru Wyścigowego i parku Jordana, archiwum autora

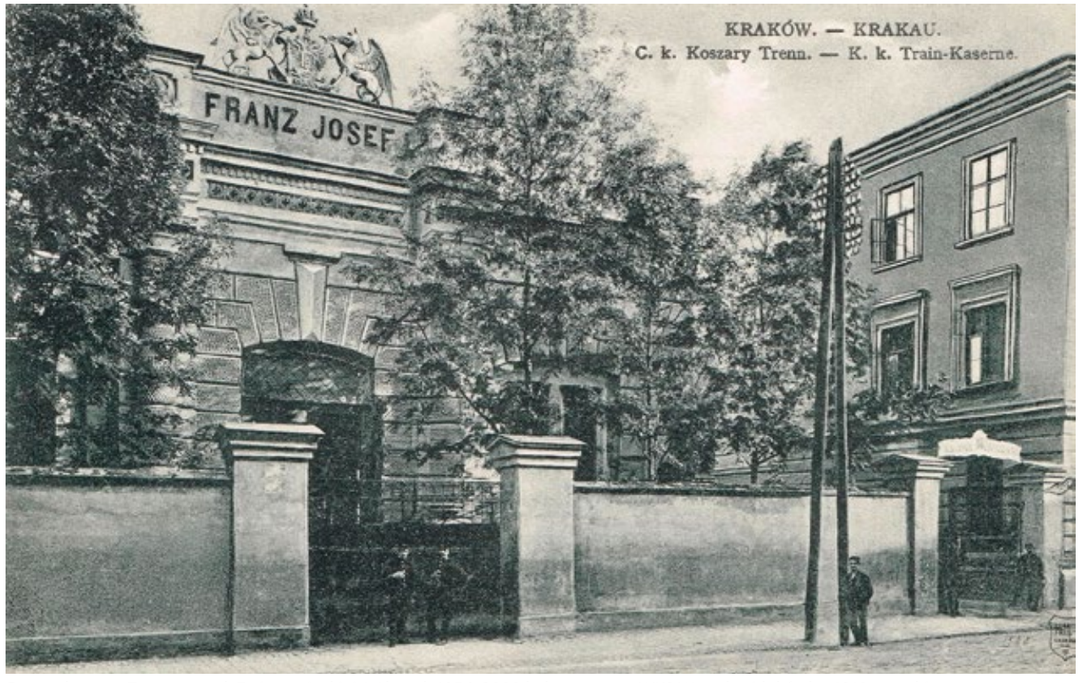

Dawne koszary Trenu przy ul. Zwierzynieckiej. W latach 1956–2000 hala sportowa WKS Wawel, widokówka, 1910 r., archiwum autora

9 marca. Reporter „IKC" opisał zniszczenia dokonane w parku Jordana przez czterech gimnazjalistów, przyłapanych na gorącym uczynku. Doszczętnie rozbite zostało marmurowe popiersie hetmana Żółkiewskiego, sześć biustów zrzucono z postumentów, a w ośmiu innych odbito nosy.

9 marca. „Mieszkańcy ul. Zwierzynieckiej budują się miłym napisem »Franz Josef I«, widniejącym ponad obecną kasarnią 2 p. szwoleżerów. Czy polscy szwoleżerowie nie wstydzą się konserwować tego piętna niewoli austriackiej?" – ubolewał „IKC".
Wspomnianą kasarnię, czyli po prostu koszary, zapamiętali krakowianie ze względu na frontowy budynek dawnej ujeżdżalni, przeistoczony w latach 50. w halę sportową WKS Wawel. Cały kompleks wyburzono ostatecznie w 2000 roku. Kilka lat później zastąpiły go – jako nieuchronny znak czasu – tzw. apartamentowce.

12 marca. „Cytryny pojawiły się w handlach krakowskich. Rzucili się do kupowania tych dawno nie widzianych owoców mieszkańcy Krakowa, spragnieni przedwojennego nektaru: herbaty z prawdziwym sokiem cytrynowym. Niestety zapał ich stygł momentalnie, gdyż za cytrynę, która przed wojną kosztował 6 halerzy, żąda się obecnie 6 koron" – donosił „IKC".

15 marca. „Nowości Ilustrowane" opublikowały fotoreportaż „Ogonki krakowskie", ukazujący problemy z zaopatrzeniem w najprostsze, niezbędne do życia artykuły i długie kolejki pod sklepami: „Skoro rozdział mąki amerykańskiej skończy się, nadejdzie kolej na »ogonek cukrowy«, który zapewne nie będzie ustępował długością »ogonkom« mącznym i nicianym".

15 marca. W tym samym numerze „Nowości Ilustrowanych" felietonista też snuł wątek aprowizacyjny: „Nowoczesny głodomór znalazł się w tym szczęśliwym położeniu, że może się śmiać, jeśli przeżył wojenne czasy wśród wszelkich niestrawnych rzeczy. Wystarczy tylko przypomnieć sobie wojenny chleb kartkowy, czyli magistracki, lub kiełbasę sporządzoną z tego, o czym się nawet filozofom nie śniło. Dawniej bigos myśliwski nazywano »tajemnicą w kapuście«, obecnie czymś równie tajemniczym stała się kiełbasa".

15 marca. „Ada Sari-Szajerówna, głośna polska primadonna, wystąpi u nas wraz z Krakowskim Chórem Akademickim, w sobotę 22 bm. w sali »Sokoła«" – rekomendował „IKC".

16 marca. Dzienniki poinformowały, że nowym komendantem Straży Obywatelskiej został Tadeusz Francman (zmienił później nazwisko na Bukowiecki), właściciel kina Uciecha.

17 marca. Jak podała prasa, z nominacji Naczelnika Państwa objął urzędowanie Kazimierz Gałecki, Generalny Delegat Rządu dla Galicji z uprawnieniami przysługującymi wcześniej namiestnikom austriackim. Miał kierować tymi działami administracji, których nie zdołał dotąd przejąć rząd polski (m.in. aprowizacja, rolnictwo, przemysł i handel). Już z końcem marca delegat przeniósł jednak swą siedzibę do Lwowa.

18 marca. Z kroniki „Czasu": „Dyrekcja tramwajów ma przystąpić wiosną do budowy nowej linii łączącej Rynek Podgórski przez ul. Kalwaryjską z Zakładem Matecznego. Prócz tego od ul. Miodowej do III Mostu poprowadzony będzie nowy tor, by uniknąć dotychczasowej drogi przez ul. Dajwór i św. Wawrzyńca. Nadto dyrekcja planuje budowę nowej remizy w Podgórzu na 100 wozów".

18 marca. Wiadomość z tej samej kroniki: „Wczoraj o godz. 7.30 wyskoczył na bruk z okna III p. przy ul. Bosackiej 20 ppłk Maurycy Berman, naczelnik wojskowego głównego magazynu żywności i poniósł śmierć na miejscu. Przed dwoma dniami wrócił z Zakopanego, gdzie leczył się na rozstrój nerwowy".

19 marca. Prasa wszystkich odcieni rozpisywała się o licznie organizowanych uroczystościach (m.in. msza polowa na dziedzińcu wawelskim), z okazji imienin Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego.

25-26 marca. Dzienniki relacjonowały uroczyste obchody 125. rocznicy przysięgi Tadeusza Kościuszki.

28 marca. „Wczoraj rozpoczął magistrat rozdawnictwo działek na małe ogródki, wyłącznie pod uprawę jarzyn, na Błoniach. Reflektujący na dzierżawę tych działek winni zgłaszać się w magistracie (ul. Poselska 10 II p.). Ze względu na szczupłą ilość działek uwzględnieni będą przede wszystkim zeszłoroczni dzierżawcy" – informował „IKC".

29 marca. Niezłą formę potwierdził felietonista „Nowości Ilustrowanych": „W ślad za delegatem aprowizacji zjechał do nas i pan minister zdrowia, aby się na własne oczy przekonać jak się mamy i czy na razie wystarczają nam obietnice. Celem należytego uczczenia miłego gościa wydał magistrat na odcinki kart cukrowych po kawałku mydła, zostawiając każdemu do wyboru: czy ma się nim umyć, czy też zastąpić cukier i osłodzić tę lurę, którą dziś nazywamy kawą lub herbatą. Czystość jest jednym z głównych warunków zdrowia, nic też dziwnego, że to zastąpienie cukru mydłem spotkało się z pełnym uznaniem pana ministra".

Krzysztof Jakubowski – krakus, działacz samorządowy, miłośnik i popularyzator historii miasta. Od lat działa w Obywatelskim Komitecie Ratowania Zabytków Krakowa, jest też członkiem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa. Napisał m.in. *Przy stoliku – czyli o najstarszych krakowskich kawiarniach.*

Chaja z Kazimierza, czyli Helena Rubinstein

Tekst: Ewa Danowska

W „Vogue" napisano w 1915 roku: „Jej życiorys czyta się jak bajkę". Historia Heleny Rubinstein jest jak bajka o Kopciuszku, o polskiej emigrantce z ubogiej żydowskiej rodziny, która stworzyła kosmetyczne imperium, zgromadziła ogromny majątek, a nazywano ją po prostu „Madame".

Rodzina Rubinsteinów mieszkała na krakowskim Kazimierzu, przy ul. Szerokiej. Naftali Herzl (Hercel) Rubinstein handlował naftą, a dorabiał, sprzedając jajka. Jego najstarsza córka Chaja (urodzona 25 grudnia 1872 roku – może 1870 roku?), która zmieni imię na Helena, chodziła do miejscowej żydowskiej szkoły. Była ambitna i odpowiedzialna, a ponieważ jedyny syn zmarł w dziecięcym wieku,

Nie ma kobiet brzydkich, są tylko leniwe!
Helena Rubinstein

to z nią ojciec omawiał swe interesy i plany. Chaja lubiła pracować w sklepie, lepiej niż ojciec radząc sobie z klientami oraz przejawiając doskonały zmysł do rachunków i interesów.

Legenda

Z czasem Helena swe pochodzenie przedstawiała inaczej – rzekomo urodziła się jako pierwsze dziecko zamożnych rodziców, mieszkających w obszernej kamienicy przy krakowskim Rynku. Dziadkowie według jej opowieści mieli udziały w kopalnictwie i bankowości (w rzeczywistości jeden z dziadków

Helena Rubinstein przecina wstęgę na otwarciu galerii sztuki jej imienia w Muzeum w Tel Awiwie, styczeń 1959; fot. Fritz Cohen / Narodowa Kolekcja Fotograficzna Izraela, rządowe Centrum Prasowe / domena publiczna (Wikipedia)

był handlarzem bydłem, drugi – którego Helena „przerobiła" na bankiera – lichwiarzem), a ojciec zajmował się eksportem. To nie była jedyna legenda, jaką o sobie stworzyła, podobnie jak to, że zaczęła studiować medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim i że miała wyjść za pewnego studenta medycyny Stanisława, na co rodzice się nie zgodzili. Jak pod koniec życia stwierdziła, ładna historia jest więcej warta niż prawda.

Nie ma znaczenia, jak bardzo kobiecie trzęsą się ręce, zawsze może umalować oczy.

Helena Rubinstein

Znalazł się konkurent do ręki osiemnastoletniej Chai – 35-letni wdowiec, jednak ta stanowczo odmówiła zamążpójścia. Wybuchła wielka awantura, po której wyjechała z rodzinnego domu. Schronienie znalazła u siostry matki w Wiedniu, gdzie pomagała ciotce w domu, a wujowi w sklepie z futrami.

Po trzech latach, gdy wujostwo planowali przeprowadzić się do Antwerpii, Chaja ruszyła do rodziny w Australii. Wówczas to zmieniła imię na Helena.

Zamieszkała w Coleraine, 350 kilometrów na zachód od Melbourne, w mieścinie hodowców owiec. Wuj Bernard, który udzielił jej schronienia, był właścicielem marnego wielobranżowego sklepiku, a nie „rozległego rancha", jak wspominała po latach.

Helena nie zamierzała tam długo zostać, zapisując się do szkoły, by nauczyć się języka angielskiego. Stwierdziwszy fatalny stan cery tamtejszych kobiet, wpadła na pomysł produkcji kremu według rodzinnej receptury. Z czasem dorobiła legendę, że skład kremu opracował węgierski chemik doktor Jakub Lykusky, osiadły w Krakowie, a stosowała go Helena Modrzejewska.

Nic tak jak praca nie likwiduje zmarszczek na twarzy i umyśle.

Helena Rubinstein

Sposób

Helena Rubinstein od początku wiedziała, że reklama jest dźwignią handlu, a autorytet aktorki i tajemniczego chemika zrobią swoje. Była pewna, że kobiety gotowe są wiele zapłacić, by poprawić urodę. Wiele godzin spędziła w kuchni zamienionej na laboratorium, mieszając miksturę, której podstawą była lanolina pozyskiwana przy czyszczeniu owczej wełny.

Firma Helena Rubinstein Company została zarejestrowana w 1903 roku i szybko zaczęła odnosić sukcesy. Krem w zamyśle miał mieć status towaru luksusowego, a nazwała go Valaze. Koszt produkcji jednego słoiczka kremu wynosił kilka pensów, ale Helena zdecydowała, że będzie kosztował 3,5 szylinga za mały słoiczek i 5,5 za większy (stanowiło to równowartość 17 i 26 euro, a przeciętne zarobki kobiet w Australii odpowiadały około 220 euro). Krem nie był więc tani, co miało podkreślać atrakcyjność produktu. W Melbourne pojawił się pierwszy salon piękności z jej nazwiskiem na szyldzie, a Helena gorliwie zabiegała o reklamę.

Postanowiła udać się do Europy, by zapoznać się z najnowszymi trendami produkcji kosmetyków. Odwiedziła wówczas rodzinny Kraków, chcąc ściągnąć do pomocy swe siostry, bo obcym nie ufała. Stwierdziła, że po dwunastu latach od jej wyjazdu miasto się nie zmieniło, w jej oczach stało się jakby mniejsze, spokojniejsze i nudne. Nie wiadomo, czy spotkała się z ojcem, a z matką, narzekającą, że jeszcze nie wyszła za mąż, spędziła niewiele czasu. Siostrom natomiast zaimponowała. Wybrała Ceśkę, której zaproponowała podróż do Australii, a także kuzynkę Lolę Beckman.

Podczas powrotu do Australii przeszkoliła siostrę i kuzynkę, a Ceśkę mianowała szefową nowego salonu kosmetycznego.

Sukces

Helena Rubinstein wyszła za mąż w 1908 roku. Wybrankiem poznanym w Sidney był Edward William Titus, polski Żyd rodem z podkrakowskiego Podgórza, który wraz z rodzicami wyemigrował do USA. Został skutecznym i niezbędnym szefem marketingu i reklamy firmy żony. Niestety, przejawiał nadmierną skłonność do płci pięknej – Helena po każdej odkrytej zdradzie urządzała awanturę, a na pocieszenie kupowała sobie biżuterię. Przez 25 lat trwania małżeństwa Madame zgromadziła imponującą kolekcję klejnotów.

Helena Rubinstein podbój rynków europejskich zaczęła od Londynu. Swój salon kosmetyczny otwarła w prestiżowym miejscu, a do stałych klientek zaliczała się Margot Asquith, żona premiera. Zyski „cudotwórczyni z Krakowa" przyszły szybko – klientki płaciły w przeliczeniu około 1000 euro za jedną wizytę.

Następnie otworzyła salon w Paryżu, rozpoczynając także produkcję zmodyfikowanej wersji kremu Valaze. Ciąża wprawiła Madame w niemałą konsternację, bo nigdy nie chciała mieć dzieci. Roy urodził się w 1909 roku, a po trzech latach Horacy, lecz jednak to praca była jej priorytetem, nie macierzyństwo.

Helena Rubinstein uważała, że sama musi być najlepszą reklamą firmy, toteż przywiązywała wielką wagę do swych kreacji od najlepszych projektantów. Nawiązywała znajomości, zaczęła wydawać okazałe przyjęcia i kolekcjonować obrazy znanych malarzy.

Nie zadowoliła się osiągniętym sukcesem i zaczęła rozważać ekspansję firmy na teren USA. Tam niepodzielnie królowała w branży kosmetycznej Elisabeth Arden i Madame wiedziała, że będzie musiała zmierzyć się z groźną przeciwniczką. Wyjechała za ocean w 1914 roku, zapowiadając, że męża i synów wezwie do siebie, gdy przyjdzie czas. Zapoznała się z tamtejszymi warunkami i już wiosną 1915 roku otworzyła pierwszy salon kosmetyczny w Nowym Jorku. W 1916 roku doprowadziła do separacji z mężem (rozwód orzeczono 11 lat później) i rozpoczęła jako pierwsza na świecie produkcję kremu przeciwsłonecznego, odnosząc ogromny sukces.

Przystąpienie USA do pierwszej wojny światowej nie zaszkodziło interesom Madame. Umiejętnie rozszerzała asortyment, niebawem oferując ponad 70 wyrobów kosmetycznych.

Gwiazda

Helena Rubinstein przez wiele lat stanowiła stały element nowojorskiej scenerii. Była pulchna, na niebotycznie wysokich obcasach (miała tylko 147 cm wzrostu), zawsze obwieszona biżuterią,

Mężczyzna, który co rano przy śniadaniu siedzi naprzeciw kobiety inteligentnej, ale której cera jest zniszczona, nie będzie codziennie w dobrym humorze, czasem będzie grymasił.

Edward Titus, mąż Heleny Rubinstein, szef reklamy

W grudniu 1928 roku Helena Rubinstein niespodziewanie sprzedała swoje amerykańskie udziały (75 procent wartości Helena Rubinstein Inc.), zachowując filie w Australii i Europie. Nabywcą był bank Lehmans Brothers, płacąc w przeliczeniu na obecną walutę ponad 80 milionów euro.

Niespełna trzy lata później, w 1931 roku zmarł w Krakowie ojciec Heleny Rubinstein, a tydzień po nim – jej matka. Helena nienawidziła pogrzebów, więc do Krakowa nie przyjechała, wysłała siostry.

Z upływem lat Helena Rubinstein nie zwalniała tempa pracy, chociaż cierpiała na cukrzycę, nadciśnienie, problemy gastryczne i bezsenność. Cechowała się nadzwyczajną oszczędnością posuniętą do skąpstwa, na przykład wysyłając sekretarkę do sklepu po pończochy z przeceny i obsesyjnie gasząc niepotrzebne zapalone żarówki. Piękne stroje wliczała w koszty jako ubrania robocze, dostając zwrot z urzędów podatkowych w Nowym Jorku i Paryżu. Z biegiem lat dziwaczała pod tym względem coraz bardziej, na przykład swych rezydencji celowo nie dogrzewała, bo to kosztowne, czy osobiście udawała się na targ przed jego zamknięciem, by uzyskać najniższą cenę.

Uważana była za jedną z najbogatszych kobiet na świecie.

W trosce o wizerunek firmy powołała w 1953 roku Fundację Heleny Rubinstein, koordynującą jej działania filantropijne, polegające na wspieraniu instytucji zajmujących się kobietami i dziećmi, a także zakupach dzieł sztuki dla muzeów i uczelni.

Mając 66 lat, Helena ponownie wyszła za mąż – za młodszego o 23 lata gruzińskiego księcia Arczyła Gureli-Czkonia. Małżeństwo okazało się udane. Książę doceniał majątek żony, był mężczyzną reprezentacyjnym i dyskretnym w kontaktach z innymi kobietami. Zmarł w 1955 roku na atak serca, co mocno wstrząsnęło Heleną. Trzy lata później zmarł młodszy syn Horacy, zatrudniony na stanowisku dyrektora artystycznego firmy, uważany za naturalnego jej następcę.

*

Zmarła 1 kwietnia 1965 roku w Nowym Jorku, a o jej śmierci poinformowały na pierwszych stronach gazety z całego świata.

Gdy „Cesarzowa piękna" – jak ją nazywał Jean Cocteau – odeszła, jej majątek szacowano na 100 mln dolarów, a w imperium kosmetycznym było zatrudnionych 32 tysiące pracowników.

W swym testamencie postanowiła, iż kapitał znajdzie się w rodzinnym funduszu powierniczym, co oznaczało, że spadkobiercy musieli pracować i wspólnie prowadzić interes, jednak z powodu ciągłych kłótni okazało się to niemożliwe. Po trzech latach firma Helena Rubinstein Inc. została sprzedana koncernowi Colgate-Palmolive, za odpowiednik 800 milionów euro. Menadżerowie wprowadzili wyroby do ogólnodostępnych sieci, co spowodowało poważne straty wizerunkowe. W 1988 roku odkupił ją L'Oreal.

20 lat po śmierci Madame jej firma zatrudniała już zaledwie 12 osób. Tyle zostało po miłości i pasji jej życia.

Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Ciemność w śliniaku

Tekst: Paweł Głowacki **Zdjęcia:** Rafał Kruszka (za zgodą Teatru Scena STU)

Wtorek
Skąd znam to kuszenie mężczyzny zniewieściałego na pokaz, ten jego pieprzny gest? Półnagi, uczesany po kobiecemu, o twarzy w białym pudrze i z bodaj karmazynową, lśniącą szminką na wargach – pamiętam, zjawił się wysoko nad sceną, na balkonie, wyciągnął prawą rękę ku publiczności, zwracając dłoń wnętrzem do góry, i długimi palcami o paznokciach muśniętych ciemnym lśniącym lakierem przebierał wolno tak, jakby słowo „Chodź…" powłóczyście brzdąkał na strunach niewidzialnej harfy, dryfującej w powietrzu niczym dywan fakira. Czarną muszkę miał na wysokości serca przyczepioną do białych bawełnianych taśm – tylko tyle zostało z koszuli. Skąd to znam? Pytałem siebie na premierze musicalu *Cabaret* Joe Masteroffa, Johna Kandera i Freda Ebba w Teatrze Scena STU wyreżyserowanego przez Krzysztofa Jasińskiego.

A te odpustowe papuzie żaróweczki migające na ramie sceny? A malowidła na ścianie nad okalającą scenę z trzech stron widownią, pozwalające myśleć o ciemnych, bezlitosnych krajobrazach George'a Grosza? A wiaderka z butelkami szampana i stoliki zastawione kieliszkami? A orkiestra na żywo? No i to szalejące światło reflektorów, i jeszcze, powiedzmy sobie, ten seksualnie wieloznaczny, transwestytyczno-pornograficzno-homoerotyczny smaczek całości? Skąd znam to wszystko?

Czwartek
Być może cierpko zabrzmię, lecz cóż począć? Najpotężniejszą zasługą *Cabaretu* Jasińskiego jest to, że się na nim stare teatralne arcydzieło przypomina – *Cabaret* Sama Mendesa. Mętnawo, bo mętnawo, owszem, lecz przecież wiele, jak pisałem we wtorek, Jasiński przemyca z tamtego olśnienia. Zbyt wiele, by olśnienie nie wróciło. I dobrze, że wraca właśnie to. Sedno w tym, iż Mendes dzieło swoje ulepił grubo po *Cabarecie* Boba Fosse'a. A czym był ten film, kiedy się w 1972 ukazał światu? Czym był i czym jest?

Piątek
Cabaret Fosse'a był i jest początkiem i końcem, alfą i omegą, finałem wszelkiej dysputy o musicalu. Jest planetą nieosiągalną. Cóż po zjawieniu się planety tej tuż przy Ziemi można było zrobić z zacną opowiastką Masteroffa, Kandera i Ebba? Zdawało się, że można jedynie – nie grać *Cabaretu*, nie powtarzać go już nigdy ani na ekranie, ani na scenie. Tak, przeszłość bywa przykra, kiedy jest doskonała. Na przykład – Tadeusz Łomnicki jako Krapp, Ewa Lassek w roli Raniewskiej lub Jerzy Trela jako Konrad w *Wyzwoleniu*. Jeśli się pamięta, jeśli jeszcze żyją, a żyją, ci, co pamiętają – jak Krappa, Raniewską lub Konrada grać mają dzisiejsi tragicy i tragiczki dzisiejsze? Jakoś tam grają, lecz pewnie to boli. Przeszłość bywa bolesna. Przychodzi teraz do głowy analogia do *Cabaretu* Fosse'a o wiele lepsza, ostateczna. Czy można, a jeśli tak, to po co, skrzyknąć grupę dziwacznych aktorów oraz amatorów, odziać ich w czarne szaty, przyczepić do ramion manekiny dzieci, usadzić w szkolnych ławkach i kazać raz jeszcze grać *Umarłą klasę* Tadeusza Kantora? Zabawne, że, owszem, można… Bycie odważnym to zawsze jest wartość niemała przecież…

Oto rok 1931 – zdycha Republika Weimarska. Oto zdycha bajeczny Berlin. I czuje to Berlin, wyczuwa bliskość czystych chłopców Adolfa Hitlera. Właśnie wtedy dzieje się *Cabaret*.

Niedziela
Łukasz Szczepanowski, który u Jasińskiego gra uszminkowanego, upudrowanego, zniewieściałego Konferansjera, rzeczywiście hipnotycznie kusi palcami o kolorowych paznokciach – całkiem jak Alan Cumming, Konferansjer u Mendesa. Jakby nie miał stawów, a kości z gumy. Lecz co istotniejsze – ma w sobie odrobinę szarej melancholii, jakby w każdej sekundzie wiedział, że Berlin zaraz się skończy. I jest jeszcze jedna u Jasińskiego figura nie papierowa. Grany przez Rafała Dziwisza Żyd Schulz. Nie papierowy on, bo występuje chyba w innej sztuce – może w opowiadaniu Singera? A gdzie są Kamila Bestry jako pani Kost i Paulina Kondrak jako Sally Bowles? W *Dziewczętach z Nowolipek*? Czy Dorota Zięciowska w roli pani Schneider nie pozwala dumać o pociesznych paniusiach w sztuczkach Bałuckiego, zwłaszcza w *Grubych rybach*? I czy Maciej Grubich jako Clifford Bradshaw nie czułby się raźniej w *Dziewczynie i chłopcu, czyli hecy na 14 fajerek*, o ile byłoby to 14 bardzo małych, a najlepiej tycich fajerek? A co z resztą? Na przykład – z marynarzami ruskimi, co tabunami

DOSTAWKA

odwiedzają łaskawą panią Kost, tyle że przyłażą raczej z opowieści *Timur i jego drużyna*, a nie z okrętu? Co z odpustowymi żarówkami, z falującymi blaskami reflektorów, z kostiumami, i tak dalej? I w końcu – co ze śpiewem?

Środa
Dla przyszłości przeszłość, jeśli doskonała, bywa przykra i nie do przejścia zawsze wtedy, gdy przyszłości umknie istota niegdysiejszej doskonałości. Mendes ulepił spektakl genialny jak film Fosse'a, ale nie dlatego, że w Cummingu i Jane Horrocks jako Bowles znalazł genialną odpowiedź na genialność Joela Graya i Lizy Minnelli, nie tylko dlatego. Znalazł sceniczną odpowiedź na smak całości, którym jest smak gorzały zmieszanej z popiołem, opętańczo pitej w świecie ciemniejącym nieodwracalnie.

Najpotężniejszą zasługą *Cabaretu* Jasińskiego jest fakt, że się na nim stare teatralne arcydzieło przypomina – *Cabaret* Sama Mendesa.

Czwartek
Oto rok 1931 – zdycha Republika Weimarska. Oto zdycha bajeczny Berlin. I czuje to Berlin, wyczuwa bliskość czystych chłopców Adolfa Hitlera. Właśnie wtedy dzieje się *Cabaret*. Berlin czuje, że nic nie da się zrobić, nic, poza jednym. Da się nie zdechnąć jak pies. Da się nie zdechnąć skromnie, cichuteńko, z podkulonym ogonem. Więc bawi się tamten Berlin! Bawi się? To określenie dziecięce. Nie jest to picie, to nie są tańce i to nie jest śpiew. To nie jest rozpusta przeciętna, lecz babilońska rozpusta. To są obrazy Franciszka Rabelais'go podniesione do entej potęgi. Tysiące knajp, setki burdeli, dziesiątki kabaretów, seks zamiast powietrza i desperacka odmowa snu. I cierpka świadomość, że pod tą babilońską pierzyną cielesnego szaleństwa nieustępliwie pęcznieje chłodna ciemność. Taka gra toczy się w tamtym Berlinie. Odwieczna gra grzechu z jasnym przeczuciem rychłego definitywnego cięcia. Smak tej gry opętańczej jest sednem filmu Fosse'a i teatru Mendesa – jest tą u nich finezyjną, nigdy jednoznaczną pajęczyną utkaną z ciał, świateł, dymów, twarzy, oczu, nut, głosów i słów. Całkiem jak Christopher Isherwood w tomie prozy *Pożegnanie z Berlinem*, co jest źródłem *Cabaretu* Masteroffa, Kandera i Ebba – Fosse i Mendes bez litości pokazują, jak było, oraz że nigdzie nie jest zapewnione, że się nie powtórzy. Nie dają żadnego pocieszenia.

Sobota
Cabaret Jasińskiego jest w istocie uroczym, dwie i pół godziny trwającym pocieszeniem. Pocieszeniem pociesznym, dla dzieci i dorosłych, co lubią dziecięce igraszki. Ciała, światła, dymki, twarze, oczy, nuty, głosy i słowa są takie, a zwłaszcza tak zaserwowane, że ulepiona z nich pajęczynka pachnie lukrem. Jest niczym pastelowa makatka, bardzo ruchliwa i dźwiękowa, makatka przyjemna w odbiorze. Nade wszystko zaś – bezpieczna. Dobrze się na to patrzy, nieźle się tego słucha. I nawet zabawnie jest czasami na scenie. Na przykład, kiedy aktor rzuca do widza w dalekim rzędzie mandarynkę, a widz ją łapie. Albo kiedy walizka w rękach aktora sama się otwiera i wypadają z niej na scenę sztuczne penisy oraz inni, z gumy lub plastiku, najwierniejsi z wiernych przyjaciele dam samotnych lub stęsknionych morderczo. Jest tak zabawnie, że nawet wymalowana na siedzisku krzesła swastyka – śmieszy. A kiedy islamski terrorysta, wypinając się, wystrzeli z trzymanej tuż pod przyrodzeniem tuby srebrne konfetti – obśmiać się można jak norka.

Niedziela
Słowem, niby lew na scenie, lecz raczej lew pierdoła, śmiało go do rany przykładaj – ulga niechybna. Taki to jest *Cabaret*. Lęk z bitej śmietany. Ciemność w śliniaku w grochy. To zawsze cieszy. I krzepi niezawodnie.

Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Nigdy nie jest za późno

Wysłuchał Witold Bereś **Zdjęcie:** Magda Rajska

Maciej „Ossian" Kozakiewicz: Żydowski Kraków znam, bo do dzisiaj, gdy jestem w Krakowie, to lubię spacerować po tych, dla mnie magicznych, uliczkach. W mojej głowie rodzą się wtedy obrazy chodzących po Kazimierzu Żydów.

Witold Bereś: Współczesny spacer po krakowskim Podgórzu przeradza się w podróż w czasie do roku 1942. A potem znowu budzimy się współcześnie. I znowu zanurzamy w przeszłość. Właściwie już sami nie wiemy, czy jesteśmy dziś tutaj czy może jesteśmy z Nimi. Tymi, którzy za chwilę znikną.
Pomysł tych krótkich kilkunastu twoich opowiadań jest więc przewrotny – każdy z nas mógłby poczuć się jak zaszczuwany podczas okupacji obywatel Polski żydowskiego pochodzenia. Tylko jakoś mało kto chce tę empatię poczuć...
Inspiracją tej książki jest mowa kamienicy krakowskiego Podgórza.
Skąd pomysł tych tekstów? Czy znasz jakoś specjalnie żydowski Kraków, masz go we krwi, w doświadczeniu, czy to raczej trochę przypadek?
Maciej „Ossian" Kozakiewicz: Urodziłem się w opisywanej w tekście kamienicy, więc bardzo dobrze ją znam. To było moje podwórko i do dzisiaj pamiętam tamten klimat. Dla mnie do teraz jest magiczny. Nie ukrywam, że im jestem starszy, tym paradoksalnie przeżyte tam lata pojawiają się w moich myślach bardziej wyraziście. Tak się szczęśliwie złożyło, że w tej kamienicy zamieszkała przyjaciółka rodziny, więc często u niej bywałem i wtedy wspomnienia wracały z większą siłą. Kultura żydowska jest mi bardzo bliska, zwłaszcza muzyka, ale również literatura. Postanowiłem spróbować to w jakiś sposób połączyć. Efektem jest ten tekst. Nie oceniam go, bo na pewno inni (czytelnicy) zrobią to o wiele lepiej. Analogicznie do wystawy obrazów wsłuchuję się w opinie zaproszonych gości. To dla mnie cenne i budujące uwagi, bo przecież każda forma twórczości to forma własnej wypowiedzi, którą mogą ocenić inni.
Masz lat 61. Co wiedziałeś w momencie pisania o Zagładzie? Zwłaszcza o Zagładzie dziejącej się w Krakowie?
Niestety, nie tyle, ile bym chciał. Przed przystąpieniem do pisania musiałem się jakoś przygotować. Dużo czytałem dostępnej na rynku literatury, odwiedzałem żydowskie cmentarze, byłem w Centrum Kultury Żydowskiej, gdzie od Joachima Russka dostałem ksero książki adresowej mojej kamienicy. Wiem doskonale, że w czasie okupacji mieszkali w niej nie tylko Żydzi. Odwiedziłem obóz w Płaszowie. Starałem się zwracać uwagę na każdy szczegół, bo mógł mi się przydać przy pisaniu. Stopniowo moja wiedza stawała się pełniejsza. Zdaję sobie sprawę z wielu niedoskonałości w tym temacie.

> W głębi duszy czuję obawę przed powrotem wydarzeń z marca roku 1968.

Która z książek zajmujących się tym tematem wywarło na tobie wrażenie największe? Dlaczego?
Nie potrafię wskazać jednej, każda publikacja była dla mnie ważna. Oprócz książek Singera bardzo duże wrażenie wywarły na mnie filmy *Lista Schindlera* i *Pianista*, jestem wzrokowcem.
A jak – zwłaszcza w kontekście swej książki – patrzysz na sytuację współczesną Polski, Polaków i Żydów. Czy widzisz reminiscencje tamtego antysemityzmu?
Niestety, widzę – co mnie bardzo boli. Przecież krakowscy Żydzi współtworzyli dzisiejszy Kraków, co widać na każdym kroku, a szczególnie silnie na Kazimierzu.
Na szczęście coraz częściej mogę zauważyć, że wracają, i to cieszy moje serce. Gdzieś, w głębi duszy jednak czuję obawę przed powrotem wydarzeń z marca roku 1968.
Bliskie mi są postaci Maurycego Gottlieba, Maurycego Minkowskiego czy Wincentego Braunera, to oczywiście malarze związani z Krakowem.
Mieszkasz na Śląsku, w małym mieście. Czy wokół siebie widzisz ludzi, którzy podobnie jak ty odczuwają empatię wobec ofiar tamtego czasu czy raczej czujesz ich obojętność?
Więcej jest obojętności, a nawet wrogości do Żydów, ale nie jestem wtedy biernym słuchaczem ich argumentów, choć wiem, że w niektórych sytuacjach to walenie głową w mur. Czasami przychodzi mi do głowy chińskie przekleństwo: „Obyś żył w ciekawych czasach".
Opowiedz trochę o sobie. Co porabiasz, co chciałbyś robić, co chciałbyś napisać?
Kiedyś, dawno temu zostałem wyrwany z mojego miasta, a żal i sentyment pozostały, prawie cała moja rodzina jest pochowana na cmentarzu Rakowickim i to jedyny łącznik z moją przeszłością.
Kilka lat redagowałem moją *Kronikę Rodów*. Są w niej zdjęcia, dokumenty, pamiątki rodzinne. Jest również geneza rodów, gałęzi, z których się wywodzę. Taka rodzinna pamiątka, która, mam nadzieję, będzie przechodziła z pokolenia na pokolenie. Niedawno zostałem szczęśliwym dziadkiem, więc mam co i komu przekazać.

Od kilku lat postanowiłem sobie, że zajmę się sztuką amatorską. Tak się szczęśliwie złożyło, że obecnie prowadzę dwie takie amatorskie grupy, no i oczywiście piszę.
Piszę, od kiedy pamiętam. Jeszcze w liceum kupowałem zeszyty w kratkę i pisałem, ale niestety zaginęły. Nie chcę mówić, w jakich okolicznościach.
Obecnie siedzę nad powieścią o nadwrażliwym artyście, który rzuca wszystko i ucieka na wieś w poszukiwaniu ciszy i spokoju, ale jak się okaże, wszędzie jest podobnie i taka ucieczka jest niemożliwa.
Twoje opowiadanie to właściwie – nie licząc próby wydania innego tytułu własnym sumptem – debiut. Nie za późny?
Ktoś kiedyś powiedział, że nigdy nie jest za późno na debiut literacki. Wewnętrzna potrzeba pisania siedzi we mnie bardzo głęboko, ale dopiero niedawno odważyłem się posłać tekst. Wybór padł na „Kraków". Pierwszą próbę uważam za średnio udaną i napisałem drugą wersję *Rozmów z księżycem*, z której jestem bardziej zadowolony.
Na koniec chciałbym powiedzieć, że marzę, aby moja książka ujrzała światło dzienne, byłby to dla mnie ważny powrót do domu.
Twoje marzenia literackie to zatem...?
Nie ukrywam, że ciągle piszę i może uda mi się pokazać światu kolejną książkę. Chęć pisania siedzi we mnie bardzo głęboko. Jest drugą, oprócz malarstwa, moją formą wypowiedzi.

Witold Bereś – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków".

Urodzony w getcie

(fragmenty opowiadania)

Tekst: Maciej „Ossian" Kozakiewicz

Przedmioty żyją

Gdzieś obok nas wszystko żyje własnym życiem, a my przechodzimy obojętnie, nie zważając na przekaz, czasem krzyk. Każdy z nas zostawia ślad na przedmiotach, a one go zachowują, kolekcjonują, żeby przekazać innym. Weźmy na przykład filiżankę, w której dostaliśmy kawę w kawiarni. Ile osób ją brało palcami za ucho i przytykało do ust? Zostawiali ślad. Nie ten, który potem znikał pod bieżącą wodą albo w zmywarce, z której wychodzą dziewiczo czyste, ale to tylko pozory. Zostaje ślad, który przylgnął do niej na zawsze, bo zostawiliśmy na niej fragment nas z naszą historią. W tym niewielkim i kruchym przedmiocie można znaleźć niezliczoną liczbę małych lub większych ludzkich epizodów. Czasami można usłyszeć fragmenty toczonych przy stoliku kawiarnianym rozmów. Taka niepozorna filiżanka, niewielki, codzienny przedmiot może urosnąć do roli ważnego towarzysza naszego życia.

A jeśli jest to kamienica, w której mieszka kilka lub kilkanaście rodzin? Każda z nich otoczona jest różnymi przedmiotami codziennego użytku. Sztućce, talerze, garnki, ubrania, obrazy na ścianie, drzwi, klatka schodowa, przez którą przewinęły się dziesiątki, a nawet setki ludzi. Każdy ze swoją historią, której fragmenty zostawia tam, gdzie się pojawi. Przez swoje długie życie, dłuższe od swojego właściciela, zbierają epizody, zdarzenia i trzymają w swoich wnętrzach.

Tu, w Podgórzu, kamienice krzyczą szczególnie. Chcą opowiedzieć wszystkim swoją historię, ale mało kto staje przed nimi i słucha.

Teren krakowskiego getta. Mało kto zdaje sobie sprawę, że chodzi po tych samych chodnikach, po których kiedyś maszerowali hitlerowcy w swoich wysokich, czarnych butach z cholewkami i Żydzi w potarganych i brudnych chałatach, w dziurawych butach, które dawno zapomniały o swoich czasach świetności.

Mieszkali w podgórskich kamienicach stłoczeni w małych i ciemnych mieszkaniach po kilka rodzin w pokoju. Nieważne, czy była to rodzina z małym dzieckiem czy starsze małżeństwo. Upychani byli przypadkowo.

Policzmy, 3167 pokojów getta, w każdym pokoju przypadały dwa metry kwadratowe na Żyda. Załóżmy, że pokój miał osiemnaście metrów kwadratowych... (...)

Usiadłem na ławce, na niewielkim skwerze nieopodal i zamknąłem na chwilę oczy.

– Raus! Schnell!

Z bramy kamienicy wyszło kilkudziesięciu starych, częściowo już zniedołężniałych ludzi, którzy pod eskortą kilku gestapowców poszli w kierunki placu Zgody. Skurczeni ze strachu przed nieznanym losem nie wiedzieli, czy jeszcze wrócą do swoich pokojów i jako takiego spokoju. Usta niemo szeptały hawdalę. Nikt nie miał odwagi popatrzeć w górę...

Po chwili usłyszałem serię z broni maszynowej, a potem tylko jesienna cisza. Nawet wiatr przestał wiać.

Otrząsnąłem się i poszedłem w stronę Rynku. Kiedyś, u wylotu ulicy Limanowskiego stała brama, granica między dwoma światami. Tym zalanym słońcem, gdzie ludzie karmili gołębie, gdzie były sklepy i jeździły tramwaje, a tym szarym, w którym budynki rzucały cień na ulicę. Tu też jeździły tramwaje, z których zrzucano nocą żywność i ubrania.

Wagony miały zamalowane szyby, żeby pasażerowie nie zobaczyli, co się dzieje na terenie getta.

Coś kazało mi iść w stronę mostu, przez który przejeżdżałem tramwajem z dziadkiem. Przychodził po mnie i czekał na podwórku. Mama mnie odświętnie ubierała i szliśmy na przystanek tramwajowy pod Koronę. Patrzyłem na Wisłę z przylepionym do szyby nosem i obserwowałem płynące dołem barki i statki wycieczkowe.

Wszedłem na most i stanąłem na wąskim chodniku. Po moście przejeżdżały samochody i tramwaje tak samo jak wtedy, tylko teraz było ich o wiele więcej.

Ten most dużo widział i zapamiętał.

Dotknąłem przęsła. Most był ten sam i taki sam. Po szynach przejeżdżały niebieskie tramwaje i od czasu do czasu jakieś wojskowe auto.

Od strony Kazimierza pojawił się tłum ludzi ciągnących albo pchających wypełnione różnymi sprzętami wózki albo z tłumokami na plecach. Czasami były zaprzęgnięte w chudego konia, czasami ciągnęło go kilku brodatych Żydów. Wszyscy szli do Podgórza.

Odwróciłem się. Z przeciwnej strony szedł taki sam szary tłum, byli to wysiedleni z domów Polacy. Taka zamiana miejsc.

Obie grupy mijały się w milczeniu, a ja mogłem tylko na to patrzeć.

Taka wymiana trwała kilkanaście dni. Niektórzy nie wierzyli, że to się dzieje i nie chcieli się wyprowadzić z własnego domu.

Patrząc na to wszystko, nie dziwiłem się im, nawet potrafiłem zrozumieć. Też kiedyś się wyprowadziłem, wbrew własnej woli. Nic przyjemnego.

Tłum na moście gęstniał. Mijali się w milczeniu, czasami ktoś spojrzał na nadchodzących z przeciwka, ale był to pusty wzrok. W oczach niektórych, w przebijającym się przez chmury słońcu lśniły łzy.

Po obu stronach mostu stały samochody z esesmanami. Mieli w rękach skierowane w tłum przesiedleńców karabiny, oni też patrzyli w milczeniu. Czekali, aż mieszkania na Kazimierzu będą puste, żeby mogli się do nich wprowadzić.

Otworzyłem oczy i znowu pojawiły się jadące w obu kierunkach kolorowe samochody i tramwaje, chodnikiem szli kolorowo ubrani ludzie, ale jak widać most też pamiętał.

Poszedłem nadwiślańską uliczką Przy Moście w stronę Józefińskiej. Tu też było getto.

Skierowałem się w lewo, w stronę Rękawki, doszedłem do rozwidlenia ulic. W prawo, do góry pięła się Parkowa ze swoimi kocimi łbami. Poszedłem w stronę mojego podworka. Tu było kiedyś moje dzieciństwo. Znam tu każdy zakątek.

Na moje podwórko można było wejść z dwóch stron. Od Potiebni i Krzemionek w dół kamienistą ścieżką, która w czasie deszczu często zamieniała się w rwący potok. Po takim deszczu puszczałem z kolegami niewielkie drewienka. Urządzaliśmy wyścigi które najszybciej dopłynie do wylotu Tatrzańskiej i zakończy swój żywot w jednej z kałuż na Rękawce.

Z niej było drugie wejście, wystarczyło skręcić w Tatrzańską i tak właśnie zrobiłem. Gdy byłem dzieckiem, wydawało mi się, że to jest cały mój świat, a teraz... (...)

Skręciłem w Krakusa i wszedłem do niewielkiej kawiarni na parterze. Dwie siedzące przy stoliku osoby omiotły mnie nic niemówiącym spojrzeniem i kontynuowały cichą rozmowę. Pomieszczenie było niewielkie, na cztery stoliki. Prawdopodobnie kiedyś było to mieszkanie, z którego można było wyjść od razu na ulicę. Ktoś wyburzył ściany działowe i tak powstało miejsce na maleńką kawiarenkę.

Usiadłem przy niewielkim stoliku przykrytym zrobioną na drutach niewielką serwetką.

– Kawę poproszę.

– Z ekspresu?

– Tak, i bez mleka.

– Może ciastko?

– Nie, dziękuję.

Po chwili barman i kelner w jednej osobie postawił na stoliku filiżankę.

Dotknąłem jej palcami i znów zamknąłem oczy.

Ponure mieszkanie ze ścianami nieokreślonego koloru, kuchenny kredens z mosiężnymi uchwytami, w dolnej części talerze i waza na zupę, stół koło okna, żeby przy nim było jaśniej, cztery odrapane krzesła. Na jednym z nich siedział brodaty mężczyzna, czytał Talmud i po każdym zdaniu kiwał głową ze zrozumieniem. Jego żona krzątała się obok pieca, skąd dochodziły zapachy pieczonych z cebulą ziemniaków.

Za kuchnią był pokój służący za sypialnię, a z niego wychodziło się na niewielkie podwórko. Bawiło się na nim kilkoro żydowskich dzieci, a na dwóch ławkach siedziało kilku mężczyzn ubranych w czarne chałaty z jarmułkami na głowie. Rozmawiali w jidysz, wymachując rękami. Dookoła podwórka, na wysokości pierwszego piętra, biegł ganek, z którego można było wejść do innych mieszkań, a z drewnianych poręczy wisiało pranie i wietrzyły się białe poduszki. Codzienne życie kwitło w najlepsze.

– Czy coś jeszcze podać? – Barman wyrwał mnie z zamyślenia i popatrzyłem w górę.

Spoglądał na mnie badawczym wzrokiem.

– Nie dziękuję, ale chętnie bym zapalił.

– Tu nie można, wie pan, przepisy.

Urwał, jakby się nad czymś zastanawiał. Popatrzył na rozmawiającą parę, a potem kiwnął na mnie.

– Mały ruch dzisiaj, więc zapraszam na papierosa na zaplecze.

Poszedłem za ladę do drugiego pomieszczenia, a potem wyszliśmy na podwórko, które widziałem w myślach.

Usiedliśmy na ławce naprzeciw niewielkiego rabatu. To samo podwórko, które przed chwilą widziałem, niewielki skwer z jakimiś kwiatami na środku, dookoła biegł wąski betonowy chodnik. Drewniane poręcze ganku i bawiące się na nim jakieś dzieci.

– Dzień dobry, panie Alfredzie! Jak interesy dzisiaj? – Jakaś kobieta wychyliła się przez poręcz.

– Dzień dobry, wszystko w porządku, pani Krysiu!

Barman wyciągnął paczkę marlboro.

– Mało kto zagląda w te rejony miasta, a tu wszyscy się znają, taka jedna wielka podwórkowa rodzina – zagaił. – Pan chyba nietutejszy?

Uśmiechnąłem się na widok tej sceny.

– I tak, i nie. Tu spędziłem dzieciństwo, kilka podwórek dalej.

– A, rozumiem, taka podróż sentymentalna.

– Można to tak nazwać. Podwórko już nie to, ludzie się powyprowadzali albo poumierali. Miałem nadzieję, że spotkam kogoś, kogo jeszcze bym znał, ale chyba za późno. Dziwne uczucie, jak się wraca na stare śmieci. Jedyne, co zostało takie same, to gołębie.

– Ma pan rację, jak srały, tak srają. To się nie zmieniło.

– Tu mieszkali Żydzi – zmieniłem temat – pewnie w tej kamienicy też.

– To rejon getta, więc możliwe. Wie pan, ja tu prowadzę interes, a historią się nie zajmuję.

– Zgoda. Pozwoli pan, że tu chwilę posiedzę.

– Nie ma sprawy, mogę panu przynieść kawę.

Siedziałem na ławce, popijając kolejną kawę, i patrzyłem na brudne okna oraz ciemne od starości drewniane poręcze. Wszystko tu opowiadało historię.

Wyszedłem z knajpki na zalaną słonecznym światłem ulicę. Miałem wrażenie, że nic się nie zmieniła od czasów wojny. Tylko ludzie byli już inni.

KAMERA NA KRAKÓW

Nasze piękne zamieszanie

Tekst: Maria Malatyńska **Zdjęcie:** Łukasz Bąk/za zgodą Kino Świat

Pierwsze trzy miesiące roku są dla narodowych kinematografii najważniejsze. Dla polskiej także. Bo wtedy następuje podsumowanie osiągnięć, czyli wręczane są doroczne nagrody, wyróżnienie, ale i pojawiają się pierwsze zapowiedzi na najbliższą przyszłość.

KAMERA NA KRAKÓW

1.

BAFTY w Wielkiej Brytanii, Cezary we Francji, Goya w Hiszpanii, wykraczające poza lokalny rynek Złote Globy w Ameryce – to tylko cząstka tych tradycyjnych nazw, które porządkują i wyróżniają każdą produkcję i dystrybucję w swoim kraju. My też mamy wtedy Złote Taśmy, czyli nagrody od polskich krytyków filmowych dla filmów roku. Na wszystkie te nagrody, i na wiele innych, „zarezerwowany" jest styczeń. Luty – to u nas nagrody Orłów od Polskiej Akademii Filmowej, a w świecie – oczywiście Oscary, czyli święto wszystkich ludzi kina.

Równocześnie już w lutym odbywa się impreza będąca zapowiedzią zainteresowań filmowców na cały nowy rok: to pierwszy kalendarzowo festiwal filmowy. Wielkie premiery z całego świata zapowiadają tematy, formy, dyskusje, cały ten artystyczny i snobistyczny ruch dokoła sztuki filmowej. I na świecie, i na innych festiwalach. Ten pierwszy kalendarzowo festiwal odbywa się w Berlinie. Głośne Berlinale jest obok Cannes i Wenecji najważniejszą, najbardziej oczekiwaną formą filmowych prezentacji, staje się zapowiedzią oraz przewidywaniem kierunków i ambicji tej sztuki z punktu widzenia Europy.

2.

Polska kinematografia jest mocno wciągnięta w ten międzynarodowy system ambicji i ocen, rocznych osiągnięć i przewidywań. Najlepszym dowodem jest „berliński" ruch wokół najnowszego filmu Agnieszki Holland zatytułowanego *Gareth Jones*. Wywoływał wielkie zainteresowanie już w trakcie realizacji. Sporo się o nim wówczas pisało. W miesięczniku „Kraków" też śledziliśmy jego powstawanie, zwłaszcza że plan filmowy był przez pewien czas także w naszym mieście. Gdy film został ukończony, organizatorzy natychmiast zaprosili go do oficjalnego konkursu MFF w Berlinie. Agnieszka Holland każdym swoim filmem dowodzi, że nasza kinematografia jest otwarta, ważna, ma światowy rozmach. Reżyserka długo na to pracowała. Zrobiła 45 filmów, w tym wiele produkcji międzynarodowych, otrzymała wiele nagród i sporo lat pracuje na rzecz kina europejskiego jako szefowa Europejskiej Akademii Filmowej.

Jej najnowszy film też jest produkcją międzynarodową: polsko-brytyjsko-amerykańską. To opowieść historyczna – lata 30. na Ukrainie – ale i polityczna zarazem, bo tam brytyjski dziennikarz śledczy ujawnia wielką zbrodnię humanitarną stalinizmu. Opowieść jest charakterystyczna dla tej reżyserki, którą trudno podejrzewać, żeby kiedykolwiek stępiły się jej twórcza energia i ostrość widzenia.

3.

Zaskakujący jest wybór głównego bohatera filmu. To prawdziwa postać, lecz w historii niemal nieznana, co jest efektem długotrwałego działania stalinowskiej propagandy, która świadomie skazała go na niepamięć. Cóż takiego zrobił? Ujawnił niewygodne, zbrodnicze fakty, zbrodnię przeciw narodowi. I choć jego działanie dotyczyło lat 30., to przecież cała opowieść stała się nadspodziewanie uniwersalna, bo aktualna w różnych okresach i w różnych krajach. Brytyjski niezależny dziennikarz Gareth Jones jako jeden z pierwszych zobaczył na własne oczy (i poinformował o tym świat) Wielki Głód na Ukrainie, w latach 1932–33, ów świadomie wymyślony przez Stalina sposób porządkowanie sobie niezależnego narodu, prowadzający w konsekwencji do śmierci kilka milionów Ukraińców. Fakt ten przez tak długi czas ukrywany był przez propagandę stalinowską, że do dziś nie jest w pełni rozpoznany.

Ileż w tym filmie uniwersalizmu! Ileż tęsknoty za prawdziwym, świadomym dziennikarstwem i za prawdą historycznego opisu! W ten film Agnieszka Holland włożyła cały swój polityczny instynkt i całą artystyczną siłę. Przy okazji odkryła wschodzącą gwiazdę aktorską, czyli Brytyjczyka Jamesa Nortona. Wysoki (185 cm) 30-latek po Królewskiej Akademii Sztuki Teatralnej był dotychczas głownie aktorem telewizyjnym, ale ma w sobie wielki potencjał, by zaistnieć na dużym ekranie. Jest inteligentny, uwielbia klasykę, świetnie czuje się w kostiumie, grał nawet księcia Bołkońskiego w nowej *Wojnie i pokoju* (oczywiście telewizyjnej).

4.

Osiągnięć mamy więcej: *Zimna wojna* Pawła Pawlikowskiego to z kolei nasza duma już w drodze do Oscara. A w tym filmie wspaniali aktorzy, którymi zachwycił się świat: uznana za „nową Jeanne Moreau" Joanna Kulig, rozchwytywany przez zachodnie agencje aktorskie Tomasz Kot. Aktorów rzeczywiście mamy świetnych od lat. Niektórzy utytułowani, jak choćby Jakub Gierszał, uznany już kilka lat temu na międzynarodowym forum za gwiazdę przyszłości, gra wciąż za granicą. Są też inni, chętnie angażowani i na świecie, i w kraju, jak Dawid Ogrodnik. Płynnie wymieniają się na naszych oczach kolejne pokolenia, a niektórzy aktorzy, odkryci już wiele lat temu i grający regularnie, potrafią na nowo zaskoczyć, jeśli w którymś z coraz ciekawszych polskich filmów otrzymają nowe szanse. Tak było na przykład z Jackiem Braciakiem, który w odważnym filmie Wojciecha Smarzowskiego *Kler* (5 milionów widzów od września 2018 roku!) zagrał znakomicie postać cynicznego karierowicza w sutannie, rolę, której nikt nigdy by się po nim nie spodziewał.

Mamy coraz ciekawszą i coraz bardziej barwną kinematografię: świetnych aktorów i znakomitych, utalentowanych reżyserów. Mamy sprawdzoną i przemyślaną organizację naszego kina. Zdawała swój egzamin ze społecznej przydatności w każdym zawirowaniu politycznym. Wytwórnie filmowe przez wszystkie lata potrafiły przetrwać i pracować. Filmy powstawały zawsze. Nawet, gdy stan wojenny rozpoczął się od zaaresztowania kamer filmowych (może niektórzy z Państwa to pamiętają?), to i tak ludzie gromadzili się dookoła najbardziej niebezpiecznych dla władzy tytułów filmowych, by nie zapomnieć. Wzruszającym przykładem było słuchanie w warunkach podziemnych nagranych na taśmach magnetofonowych dialogów i całej ścieżki dźwiękowej ze słynnego, posłanego na półki i przeznaczonego do zniszczenia filmu Przesłuchanie Ryszarda Bugajskiego.

Czemu wspominam takie stare czasy? Wszak wyrosły już dwa–trzy pokolenia widzów, które tego nie przeżyły. Może właśnie dlatego, żeby wiedzieć i pamiętać? Teraz jest ten czas!

5.

Pod koniec poprzedniego roku Ministerstwo Kultury (i dziedzictwa – co tu specjalnie ważne) postanowiło tę naszą świetnie funkcjonującą kinematografię zreformować. Ogłoszono (*ex cathedra*, bez porozumienia ze środowiskiem), że zlikwidowane zostaną Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych (podstawowe miejsce produkcji polskich filmów), Studio Miniatur Filmowych, nasze zasłużone Zespoły Filmowe, przekształcone potem w Studia Filmowe: Kadr, Tor, Zebra i Kronika, aby na tych gruzach stworzyć jeden gigantyczny moloch produkcyjny, który stanie się „poważnym i profesjonalnym partnerem dla realizatorów wysokobudżetowych produkcji europejskich i amerykańskich" (powtarzam to za Krzysztofem Zanussim, który, w wywiadzie telewizyjnym protestował w imieniu środowiska filmowego). Moloch ma być profesjonalny, realizatorzy maja być profesjonalni, a wszystko po to, by z amerykańskimi tuzami od przemysłu filmowego realizować wielkie widowiska o naszej historii! Czy oczyma duszy możemy sobie takiego Gargamela wyobrazić? Zwłaszcza że wszyscy nasi „amatorzy" będą musieli odejść: i Krzysztof Zanussi – amator, i Agnieszka Holland – amatorka, i Juliusz Machulski – amator, i Janusz Majewski – amator, i Janusz Kondratiuk – amator, i Wojciech Smarzowski – amator i tylu, tylu innych amatorów, bez których nie sposób robić profesjonalnego kina, jakie się teraz pojawi! Jak dobrze, że niektórzy tego nie doczekali!

Osiągnięć mamy więcej: *Zimna wojna* Pawła Pawlikowskiego to nasza duma już w drodze do Oscara.

Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

Jacek Cygan i Leopold Kozłowski

Jacek Cygan

Wysłuchał Jacek Balcewicz **Zdjęcie:** Jacek Balcewicz

Parafrazując słynne strofy Stanisława Wyspiańskiego, mógłbym wyrecytować:
„O, kocham Kraków, bo nie od kamieni/miłości-m doznał, lecz od żywych ludzi!".

Kraków ofiarował mi ludzi, którzy przez lata czytali ze mną to magiczne miasto. Zacznę od Ostatniego Klezmera Galicji, Leopolda Kozłowskiego, z którym odkrywałem tajemnice żydowskiej kultury, by dorobić się „swojego" stolika w Klezmer Hois na Szerokiej pod skrzydłami Wojtka Ornata i jego żony Małgosi. Tylko oni potrafią tak łączyć smak placków ziemniaczanych, po żydowsku „*latkes*", z armaniakiem i calvadosem, że przyciągają literacką cyganerię, w której kręgi od lat się ochoczo z żoną wpisujemy. Poniedziałki literackie na Szerokiej z Ewą Lipską, Elżbietą Jogałłową, Adamem Wodnickim, Ireneuszem Kanią i jego żoną Maricą, Leopoldem Neugerem mogą się zdarzyć tylko w Krakowie. A z wydawnictwem Austeria wiążę swoje nowe plany nie tylko dotyczące słynnych już „Książek do pisania".

Osobą, z którą czytanie Krakowa o różnych porach dnia i nocy, i to przy różnych stolikach, zawsze wychodziło mi wybornie, jest Tadeusz Nyczek. To także Wydawnictwo Znak pełne mądrych ludzi, którzy w najbliższym czasie na pewno będą gorączkowo dzwonić, bo w marcu mam termin oddania mojej nowej książki *Odnawiam dusze*.

Kraków to Krzysztof Jasiński i legendarny Teatr STU, który od ponad czterdziestu lat jest w moim sercu. W 2014 roku miałem tu premierę sztuki *Kolacja z Gustavem Klimtem* (sztuka przez cztery sezony była w repertuarze teatru). Dyrektor Jasiński, kiedy pokazałem mu w zeszłym roku kameralną sztukę na dwie aktorki *Błękitne krewetki*, powiedział: – Podoba mi się, robimy! I tak zapraszam na premierę 31 marca tego roku.

Kraków to Ania Dymna, która słowom mistrza Jeremiego *Piosenka jest dobra na wszystko*, nadaje nowy sens.

Na koniec osobiste wspomnienie. Kraków podarował mi także ostatni spacer po Rynku ze Zbyszkiem Wodeckim i jego słowa: „Jacuś, napisz mi, tylko żeby nie było za dużo tekstu, bo ja się nie nauczę".

Jacek Cygan – z wykształcenia cybernetyk, z zawodu i zamiłowania poeta, tłumacz, dramaturg, librecista, odkrywca młodych talentów, showman, sporadycznie wokalista, a nade wszystko autor ponad tysiąca tekstów piosenek, których szlagworty wpisały się do współczesnego języka: *Wypijmy za błędy*, *Kobiety lubią brąz*, *Jaka róża taki cierń*, *Czas nas uczy pogody*, *Co ty, królu złoty*, *Wypiję trzecią kawę*, *Wszystkie dzieci nasze są*.

Jacek Balcewicz – najmłodszy z grona „ojców założycieli" miesięcznika „Kraków". Z wykształcenia inżynier górnik po AGH, z temperamentu i profesji dziennikarz, publicysta i fotografik. Radny Dzielnicy I Kraków Stare Miasto od trzech kadencji. Mieszka na Kazimierzu.

Andrzej

Tekst: Mieczysław Czuma

„Przekrój" (ten krakowski, oczywiście) miał absolutny monopol na skupianie wokół siebie najwybitniejszych ilustratorów, którzy maestrię swojej kreski objawiali światu właśnie na łamach tego tygodnika. Antoni Uniechowski, Jerzy Skarżyński, Daniel Mróz ...

W tej elitarnej superlidze nie może zabraknąć Andrzeja Kowalczyka. Był wspaniałym, kochającym całą resztę świata człowiekiem, porażonym benedyktyńską skrupulatnością, wizjonerem swoich pasji, niezawodnym kolegą i przyjacielem. Znakomitym i niepowtarzalnym artystą.

Na początku lat 70. udałem się do rektora Akademii Sztuk Pięknych prof. Mariana Koniecznego, aby wyznaczył któregoś ze studentów na służbę do „Przekroju". Usłyszałem: – Daję wam najlepszego. To był Andrzej Kowalczyk.

„Przekrój" był w tamtym czasie niewyobrażalną dziś potęgą. Sprzedawaliśmy każdego tygodnia 760 tysięcy egzemplarzy, w miesiącach wakacyjnych nakład sięgał miliona. Pismo poprzez prenumeratę i wysyłkę rodzinną obecne było w ponad 100 krajach. Za wschodnią granicą uczono się polskiego, aby konsumować ten – niepodważalnie rajski na tamtym gruncie – owoc. Najprawdziwszym filarem artystycznym tygodnika, współtwórcą jego podziwianej powszechnie oprawy graficznej, był sprzymierzony z Danielem Mrozem właśnie Andrzej. Zadziwiał rozległością zainteresowań, nagromadzoną wiedzą, niepohamowaną pasją odkrywania coraz to nowych światów. Związane z poszczególnymi epokami wszelkie rodzaje ubiorów, kostiumów, umundurowań nie miały dla niego żadnych tajemnic. Wiedział wszystko o broni używanej w rozmaitych czasach i we wszelakich bliskich i dalekich krajach. Jego prace zachwycały rozmachem, bogactwem nagromadzonych szczegółów, rozpalały wyobraźnię. Tak było, kiedy ilustrował dowolne wydarzenia z historii Polski czy przywoływał sceny nawet i z najskrytszych zakamarków historii powszechnej. Tak było, kiedy portretował opisywanych przez Aleksandra Krawczuka cesarzy rzymskich czy nadawał kształty postaciom przywoływanym przez Józefa Tischnera w *Historii filozofii po góralsku*.

Andrzej był kompozytorem i twórcą jeszcze jednego oblicza naszego tygodnika. Za jego sprawą ten krakowski tytuł w pionierskich latach 90. przywrócił do świadomości Polaków wymazany wcześniej przez totalitaryzm niezwykle ważny okres naszych dziejów. Kowalczyk był autorem serii numerów specjalnych, które złożyły się na *Epopeję bitew polskich 1914–1921*. Tysiące zdjęć, map, szkiców, dokumentów obrazujących powstawanie naszej państwowości po latach niewoli. Zbrojny wysiłek legionów i gabinetowe zabiegi dyplomatów. Lwowskie Orlęta i zdeterminowani desperaci powstrzymujący napór bolszewików. Wszystko na tle szerokiej panoramy wojennych wydarzeń i to z uwzględnieniem każdego zakątka Europy. A do tego komentarz godny wytrawnego badacza. Kilkaset stron odkrywczej w tamtych czasach lektury.

Kilka lat spędził poza krajem. Malował wielkogabarytowe kompozycje we wnętrzach prestiżowych budowli w duńskim Århus. Rozkochał się wtedy w wikingach. Natchniony dziełem Matejki obdarzył Duńczyków nieznanym u nich dotąd tysiącletnim pocztem królewskich władców. Potem, już w kraju, były jeszcze malowane na zamówienie portrety, tworzone z potrzeby serca monumentalne sceny historyczne, były też liczne wystawy, a wśród nich pamiętne *Miejsca postoju*, wstrząsające grafiki poświęcone powstaniu warszawskiemu.

Był chłopcem z Półwsia Zwierzynieckiego, w młodości mieszkał przy ulicy Lelewela. Potem, kiedy pożeglował już w stronę Nowej Huty, uwielbiał latem, wcześnie rano, o wschodzie słońca krążyć ulicami wokół Rynku. Mówił, że o takiej porze urodę miasta widać najlepiej. Niestety, właśnie pożegnał to miasto. Odprowadziliśmy go niedawno na cmentarz Salwatorski. Wrócił na Zwierzyniec, do swojej pierwszej małej ojczyzny.

Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

Felieton z dedykacją

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

I w sumie nie mam pojęcia, od czego zacząć. Taki felieton o byciu przyzwoitym. Albo przynajmniej uprzejmym. Byle nie byle jakim. Dobre maniery mają wiele twarzy i nazw, jeszcze więcej codziennych zastosowań. Tylko czy w czasach, kiedy wiemy już wszystko, wiemy jak z tych obyczajów korzystać?

Savoir-vivre pokazuje nam swoje oblicze pierwszy raz chyba wtedy, gdy okazuje się, że mamy sąsiadów. Sąsiadów moich rodziców pamiętam doskonale. Lepiej niż temat matury. Moich krakowskich sąsiadów, odkąd przetarliśmy szlaki „wspólnym" słuchaniem greckich hitów w Wigilię, darzę również pewnym sentymentem. Mieli styl. W Warszawie poczułam się jak w domu, gdy oglądałam wynajmowane mieszkanie, a jego właścicielka powiedziała teatralnym szeptem: „Na górze mieszka śpiewaczka, ale ćwiczy tylko czasem". Ja, córka tenora, nie mogłam trafić lepiej.

Zarówno stary Kraków, jak i otwarta na świat, spragniona sukcesów stolica chłoną wraz z ludźmi to, co oni do nich wnoszą, między innymi automatyczne przechodzenie na „ty", wynikające po części z mieszanki języków, ale po części także z chęci skracania dystansu.

Etykieta jest czymś, co chętne zgłębiam, choć nie należę do osób ostentacyjnie miłych. Dlatego lepiej od grożenia palcem znoszę dobry przykład. A taki daje mi, odkąd się znamy, mój fantastyczny kolega Wojciech S. Wocław. Konferansjer, znawca dobrych manier, człowiek piszący i rozmawiający zawodowo, a także – bez cienia wątpliwości – najbardziej elegancki mężczyzna Krakowa, który i w Warszawie robi duże wrażenie, choć Warszawa widziała już wiele. Ale trudno się nie uśmiechnąć z szacunkiem i sympatią na widok kogoś, komu się chce. Tu kryje się moja prywatna definicja sztuki życia. Po pierwsze – chce się komuś mądrze odezwać, po drugie – dobrze wyglądać i nie epatować przy tym markami, po trzecie – reagować z iskrą na wszystko, cokolwiek się wydarzy. Bo jak wiemy, w życiu zdarzyć się może wszystko.

W tym „chceniu" upatruję 80 proc. sukcesu dobrych manier. Całkiem dziś niemodnych. Wojtek to potwierdza, gdy zatapiamy się w rozmowie o tym, komu i w jakim stopniu potrzebna jest dziś jego nowa książka *Etykieta w biznesie, czyli jak ułatwić sobie życie w pracy*. Wszyscy bowiem chcielibyśmy, aby było łatwiej, ale tylko nieliczni łączą to ze sztuką *savoir-vivre*'u. A przecież powstała ona głównie po to, aby się nam żyło łatwiej. Wojtek, który szkoli pół Polski z tego tematu, przyznał mi, że bacznie obserwuje naszą codzienność pod tym kątem. Nie ocenia, ale zauważa. Na przykład to, że tu i tam, pomimo wspaniałych tradycji życia towarzyskiego, pewne formy przemijają. Że zarówno stary Kraków, jak i otwarta na świat, spragniona sukcesów stolica chłoną wraz z ludźmi to, co oni do nich wnoszą, między innymi automatyczne przechodzenie na „ty", wynikające po części z mieszanki języków, ale po części także z chęci skracania dystansu.

Tymczasem ja wcale nie chcę skracać dystansu z panią, która robi mi kawę. A czasem z przełożonym też nie chcę. Moja babcia często wspomina, że wygodniej jej było nigdy nie mówić po imieniu do swojego szefa, choć on często na to nalegał.

Modnie jest dziś być politycznie poprawnym wobec otoczenia. Tolerancyjnym. A Wojciech przestudiował tomy książek starych i bardzo starych, aby odpowiedzieć sobie i innym na pytanie, skąd jesteśmy i do czego może przydać się nam dzisiaj wiedza, do której doszli kiedyś ludzie. Bo chyba nie doświadczali tego wszystkiego bezsensownie. Dlatego tam, gdzie wielu moich znajomych poszłoby w jeansach, uznając to za formę elegancji, on idzie w garniturze. W swojej książce spisał masę innych, drobnych, a cennych porad. Żebyśmy się nie musieli dwa razy zastanawiać. Żeby to, co już wynalezione, przychodziło nam naturalnie. Od koła po uśmiech. Zakładam wariant optymistyczny oczywiście, że ktokolwiek się jeszcze zastanawia, jak posadzić gości w samochodzie, co zrobić z niechcianym kontaktem w mediach społecznościowych, kogo komu przedstawić... Mam ich w otoczeniu. W wariancie pesymistycznym wolny człowiek nie zaprząta sobie tym głowy. Cenię wolność. Ale nie znoszę chaosu.

A felieton ten dedykuję dwóm moim kolegom z radia, którzy mijają mnie na schodach niemal codziennie od 14 lat. I nigdy się ze mną pierwsi nie przywitali.

Magdalena Miśka-Jackowska – kierowca z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjer związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pół roku w Warszawie.

Kraków, czyli czas przyszły

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Kraków zajął ostatnio szóste miejsce w ogólnoświatowym rankingu poświęconym branży IT i sektorowi finansowemu, a więc w zestawieniu, które ekscytuje wszystkich..

Bądźmy szczerzy – o Krakowie mówi się, że to miasto z energią stulatka: marazm, narzekanie, niechęć do zmian, gapienie się w stare mury i poprawianie sobie humoru wódeczką. Wódeczka jest jeszcze całkiem przyjemnym tematem, natomiast szkodliwe przekonania o panującym w Krakowie wisielczym nastroju, rozpalonych turystach i snujących się w smogu mieszkańcach, pogrążonych we wspomnieniach z ery triasu, bywają szczególnie irytujące. Kto rozpowiada te brednie? Może to wina krakowskich artystów, powtarzających w wywiadach, jakby w zmowie, jak to pożegnali „zbyt ciasny" dla nich Kraków i przeprowadzili się do miasta marzeń milionów rodaków, czyli Warszawy (w której zazwyczaj giną bez wieści). Nie są zresztą w tym zbyt konsekwentni – opowiadają po gazetach, jak to w stolicy cieszą się z anonimowości (co brzmi tak, jakby zeszli właśnie z arki Noego), ale ja wiem, że po kilku głębszych wypitych w jakimś zbyt białym mieszkaniu na Wilanowie wspominają ze łzami w oczach, że ekspedientka w krakowskiej pierogarni zawsze wiedziała, by wymieszać cztery pierogi z mięsem z sześcioma ruskimi, a barmani z ulubionych knajp zawsze polewali na kreskę. I gdy już dopadnie ich ten szczególny stan, w którym na Google Maps szukają zdjęcia Okrąglaka, puszczają piosenki Świetlików i zawodzą, że życie w Krakowie było jakby prostsze, jakby mniej samotne i jakoś bardziej beztroskie, ja postanawiam dolać im trochę benzyny do pieca. Na początku trochę się bronią, szukając na siłę plusów mieszkania w stolicy („tu są takie możliwości!", „mniej piję, więcej pracuję!", „to nowoczesne, prężne miasto"), ale ja mam naprawdę dobre argumenty, świadczące o tym, że popełnili życiowy błąd. Było im zbyt ciasno, bo po prostu chodzili złymi ulicami. Więc niech teraz płaczą i żałują!

Kraków zajął ostatnio szóste miejsce w ogólnoświatowym rankingu THOLONS „TOP 100 Super Cities" poświęconym branży IT i sektorowi finansowemu, a więc w zestawieniu, które rozgrzewa wszystkich zainteresowanych automatyzacją pracy, hi-tech, start-upami, firmami z sektora fin-tech i poszukiwaniem dobrych warunków do rozwoju centrów usług. Przyznam, że i mnie opadła szczęka. Kraków zostawił za sobą w tyle królujący dotąd w Europie Dublin i znalazł się wśród gigantów: pierwsze miejsca zajmują Bangalore, Filipiny (Manila) i Indie (Bombaj, Delhi, Hajderabad). Analitycy podkreślają, że krakowska kadra to ludzie bystrzy, błyskotliwi, posługujący się perfekcyjnym angielskim, w skrócie – łebscy światowcy. W mieście cenią to, że do kolegów z innego hubu mogą podejść w kapciach i są przyjmowani z otwartymi ramionami, bo ludzie w Krakowie się po prostu lubią i jakoś bardzo sobie nie zazdroszczą, raczej współpracują, niż rywalizują. Ostatnio w Krakowie powstało centrum obsługi prestiżowych linii lotniczych z Hongkongu Cathay

Znam takich, którzy po kilku głębszych wypitych w jakimś zbyt białym mieszkaniu na Wilanowie na Google Maps szukają zdjęcia Okrąglaka, puszczają piosenki Świetlików i zawodzą, że życie w Krakowie było jakby prostsze, jakby mniej samotne i jakoś bardziej beztroskie.

Pacific, krakowska ekipa obsługuje tu rejon EMEA (Europa, Bliski Wschód, Afryka). Hongkong umieścił tu swoje centrum właśnie dlatego, że w Krakowie łatwo się z ludźmi zżyć, wtopić w energię miasta, szybko poczuć się „u siebie". Ważnym argumentem za Krakowem były też bardzo wysokie kwalifikacje pracowników, którzy przez 24 godziny na dobę obsługują klientów po angielsku, niemiecku, francusku, hiszpańsku, włosku, holendersku i rosyjsku. Z kolei na plac B4B (Bonarka for Business), nazywanym „miastem w mieście", setki ludzi przychodzą pracować, zjeść, spotkać się i porozmawiać w wielu językach nie tylko o pracy.

Może na różnej maści zblazowanych artystach, którzy mają problem z płatnością BLIK-iem, to nie robi wrażenia, ale naprawdę nie wiem, dla kogo Kraków jest zbyt ciasny i po co siedzieć w stolicy, wbijając zęby w ścianę i wyjąc w samotności? Kraków, jeśli tylko mamy trochę ciekawości i lubimy ludzi, odwdzięczy się prędko – naprawdę jest tu co robić!

Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Współpracowała z „Didaskaliami", „Notatnikiem Teatralnym", „Gazetą Wyborczą" i portalem publicystyczno-społecznym Polska Ma Sens. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*. Na co dzień marketingowiec i dziennikarka „Codziennika Feministycznego".

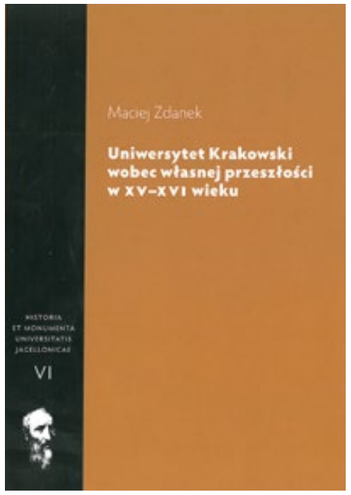

Krakowska Książka Miesiąca

Urszula Honek (rocznik 1987) poetka mieszkająca w Krakowie, wydała drugi swój tomik. A ten, jak i poprzednio jej debiut (*Sporysz*, 2015), został natychmiast zauważony przez recenzentów.

O tej niewielkiej książeczce (44 strony!) Adam Wiedemann pisze na stronach wydawcy: „Dla Honek coś takiego jak 'wesoły wiersz' w ogóle nie ma racji bytu, życie jest pasmem nieszczęść, takim samym nieszczęściem są narodziny, jak i śmierć, a także miłość, te zaś trzy momenty poetkę przede wszystkim interesują". A Agata Pyzik (Dwutygodnik.com – strony kultury) pisze jeszcze sugestywniej: „Poetce udaje się stworzyć język opisujący emocje, lęki i doświadczenia, które od razu wydają nam się własne. Honek pisze tak, jakby nie trwały żadne debaty nad postpostmodernizmem, nad końcem poetyckiego języka: 'piasek zgrzyta między zębami, gdy wymawiam jego imię. tak zgrzyta, gdy kurwie wychodzi z krtani i serca'.

Honek publikowała w najpoważniejszej krajowych tytułach (m.in. w Twórczości i Dwutygodniku.com). Jest też laureatką kilku znaczących nagród – m.in. Grand Prix IX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Rainera Marii Rilkego (2013). Teraz do tych wyróżnień doszła Krakowska Książka Miesiąca.

Gratulujemy. (wb)

Urszula Honek, *Pod wezwaniem*, Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2018

Miriam Akavia. Natan Gross. Roma Ligocka. Ci (i inni) wielcy pisarze żydowscy krakowskiego pochodzenia kojarzeni są zwykle w kontekście Holokaustu. A przecież ich opowieść o mieście nie kończy się na roku 1945. Następują lata kolejne, wcale nie łatwiejsze, znaczone pragnieniem wyjazdu do Izraela, a w Polsce słabo skrywanym antysemityzmem zarówno władzy, jak i ludności polskiej, nie mówiąc już o agresji i pogromach.

Przy czym dzieło Moniki Stępień (absolwentki judaistyki UJ, książka jest jednocześnie jej doktoratem, nagrodzonym w konkursie Żydowskiego Instytutu Historycznego) to cenny wkład nie tylko w opis powojennych losów żydowskich. Daje ona opis Krakowa jako przestrzeni fizycznej i duchowej zapełnianej przez twórców.

Profesor Shoshana Rouen pisze: „Wielu z tych, którzy opuścili Kraków, miało poczucie, że Kraków ich nie opuścił. Oczekiwali na moment, w którym mogliby powrócić do rodzinnego miasta. (...) Każdej podróży towarzyszą mieszane, ale silne uczucia. Mowa jest o nostalgii i powrocie do Arkadii, lecz i o bolesnej pamięci traumy, wojny, odrzucenia i emigracji. (...). Powrót do domu jest powrotem ostatecznym, ale w wielu przypadkach tak naprawdę jest on fikcją. Nie ma domu, powrót nie jest możliwy". (wb)

Monika Stępień, *Miasto opowiedziane. Powojenny Kraków w świetle żydowskiej literatury dokumentu osobistego*, Austeria, Kraków, 2018.

Badacze dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego twierdzili, że nie przejawiał on przez pierwsze wieki istnienia zainteresowania własną przeszłością. Maciej Zdanek przekonuje, że było inaczej. Z dawnych źródeł wyłuskał przekazy na temat wiedzy o przeszłości krakowskiego uniwersytetu i opisał rozwój uniwersyteckiej kultury pamięci w XV i XVI wieku. W piśmiennictwie tamtych czasów szczególnie zwraca uwagę pamięć o wybitnych postaciach wszechnicy. Natomiast do końca XVI wieku nikt nie opisał historii Uniwersytetu Krakowskiego, zaznacza autor.

W Polsce ostatnich 100 lat nastąpił olbrzymi wysyp publikacji o przeszłości najstarszego polskiego uniwersytetu. Mimo to ciągle nie ma (poza krótkimi opracowaniami popularnymi) pełnej monografii dziejów UJ. Jakieś fatum? (lp)

Maciej Zdanek, *Uniwersytet Krakowski wobec własnej przeszłości w XV–XVII wieku*, Towarzystwo Naukowe Societas Vistulana, Kraków 2017.

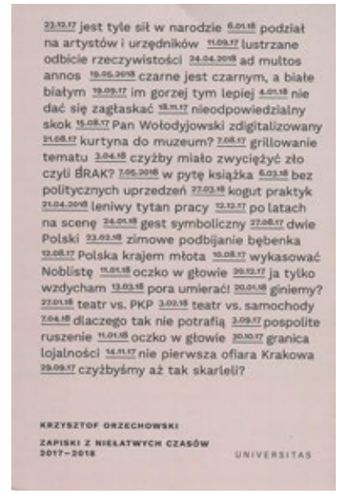

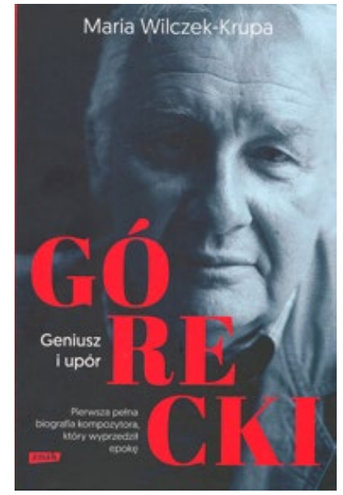

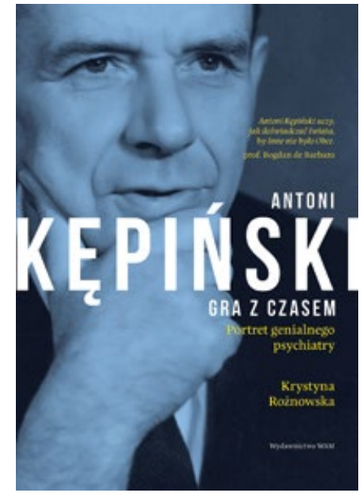

Jeśli ktoś chce rzucić okiem wstecz na sezon teatralny 2017/2018 to *Zapiski...* Krzysztofa Orzechowskiego to umożliwią. Mają formę dziennika, niecodziennie pisanego, bo – trawestując Poetę – „Pocóżby pisoł, jakby nie mioł co napisać". Przywołuję Wyspiańskiego, bo autor kilkakrotnie do niego nawiązuje czy to pisząc, pod datą 3 września 2017 roku o narodowym czytaniu *Wesela*, czy to cytując piękne strofy *Wyzwolenia* w nostalgicznym wspomnieniu Wigilii (23 grudnia 2017). Tematyka rozważań jest bardzo różna, nie tylko teatralna, jak można by się spodziewać wiedząc, że autorem jest aktor, reżyser, dyrektor teatru. Oczywiście o teatrze pisze najwięcej. Z troską o Narodowym Starym Teatrze. Z radością dzieli się wrażeniami z obejrzanych dobrych spektakli, Zastanawia się nad nieudanymi pomysłami artystycznymi. Stara się tłumaczyć trudne decyzje artystyczne, nawet kiedy są na granicy kiczu. Komentuje też teatr jakim są mecze piłki nożnej, której jest kibicem. Wspomina tych, którzy odeszli, zabiera głos na temat opluwania Czesława Miłosza, dzieli się opiniami o filmach, książkach. *Zapiski...* to obraz widziany okiem świadomego, zatroskanego obserwatora kultury. (as)

Krzysztof Orzechowski, *Zapiski z niełatwych czasów 2017-1018*, Universitas, Kraków 2018

Postępował według przykazania ukochanego starzika: „Jak coś robisz, rób to dobrze, wszystko jedno, czy to muzyka czy drewniana ryczka". W każdym więc działaniu dążył do perfekcji. Był kompozytorem światowej sławy, ale sam projektował i robił meble do ukochanego domu w Zębie. Był dobry i prostolinijny choć jego wybuchy gniewu mogły przerazić. Podobnie jego muzyka dla jednych jest genialna, drudzy zarzucają jej brutalność i prymitywizm.

Jaki był Henryk Mikołaj Górecki? Na to pytanie odpowiada Maria Wilczek-Krupa w biografii kompozytora. To druga tego typu praca młodej krakowskiej teoretyczki muzyki. Opracowana przez nią przed trzema laty biografia Wojciecha Kilara przyniosła jej rozgłos. Książka o Góreckim potwierdza, że Maria Wilczek-Krupa łączy cechy sumiennej dokumentalistki z talentem pisarskim. Kreśli portret kompozytora z lekkością i pasją zarazem. Pisze ciekawie, barwnie, opowiada nie tylko o samym Góreckim, ale i o czasach, w jakich przyszło mu żyć i tworzyć oraz o ludziach jacy go otaczali. To fascynująca lektura pozwalająca zrozumieć fenomen człowieka i twórcy. (aw)

Maria Wilczek-Krupa, *Górecki. Geniusz i upór*, Znak, Kraków 2018

Aż dziw, że tak długo przyszło czekać na biografię nie tylko faktycznie genialnego psychiatry, ale też człowieka o niełatwym, a fascynującym życiorysie. I wreszcie jakże mocno kojarzonego z Krakowem.

Prócz zasług czysto naukowych w postaci tez odważnie wyprzedzających stan współczesnej mu myśli psychiatrycznej miał prof. Antoni Kępiński dokonanie o randze społecznej czy wręcz cywilizacyjnej. Oto swoimi książkami (*Schizofrenią* zwłaszcza, ale też choćby *Melancholią* czy *Psychopatologią nerwic*) przybliżył świat psychozy ludziom „zdrowym".

Osobnym fenomenem było, coraz rzadsze dziś, podejście Kępińskiego do zawodu, czy może posłannictwa, lekarza. Był, owszem, profesjonalistą jako diagnosta i terapeuta. Ale prócz tego przecież intelektualistą odrzucającym wszelkie dogmatyzmy w myśleniu i otwartym na każdą nową myśl. Po drugie zaś – czy może szczególnie – humanistą stawiającym w centrum uwagi człowieka (w tym naturalnie pacjenta). Co skądinąd właśnie warunkowało jego klasę medyczną.

Krystyna Rożnowska w mocno czasem osobistej reporterskiej konwencji odtwarza koleje losów Profesora, a przy okazji – krakowskiego środowiska medycznego i intelektualnego trudnych czasów głębokiego PRL-u. Tematu jednak nie wyczerpuje. (kb)

Krystyna Rożnowska, *Antoni Kępiński. Gra z czasem. Portret genialnego psychiatry*, Wydawnictwo WAM, Kraków 2018

BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Kraków

WYDAWCA

Biblioteka Kraków

Kraków czyta

WWW.BIBLIOTEKA.KRAKOW.PL

KRAKOWCZYTA.PL

Poetka z Redaktorem

Ewa Lipska została laureatką piątej edycji Nagrody imienia Jerzego Turowicza za tom *Pamięć operacyjna* z uwzględnieniem całokształtu twórczości.

Uroczyste wręczenie Nagrody, w przeddzień dwudziestej rocznicy śmierci Jerzego Turowicza, odbyło się w Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha".

Piękną laudację poezji Lipskiej zatytułowaną *Selfie z awarią świata* wygłosił profesor Paweł Próchniak.

„Ewa Lipska patrzy okiem poezji i dlatego widzi trzeźwo. Jej wiersze to często migawki – wyraziste, oszczędne, niemal sterylne, ale z głębią ostrości nastawioną na nieskończoność. (...) Jest w tych wierszach gorzkie rozpoznanie, że przydarzył nam się »żrący czas«, że oto »krajobraz odjechał« i maszerują ulicami naszych miast – maszerują w nas – »czas apatii i zadymiarzy«, że trzyma nas za kark »historia na ostrym dyżurze«, że nadchodzi »awaria świata«".

Wiersze z nagrodzonego tomu przeczytała Anna Polony.

Byliśmy jeszcze Wszyscy.
Zabawiał nas wiatraczek czasu.
Szczęście nakręcało się jak budzik.
Nikt nie przypuszczał
że ptak wystrzelony z procy
wróci do nas kamieniem.

Na zakończenie wyświetlony został film dokumentalny autorstwa Michała Nekandy-Trepki *Campo di fiori*, a tytułowy wiersz przeczytał z ekranu sam Czesław Miłosz.

Nagroda imienia Jerzego Turowicza ustanowiona została w 2012 roku w setną rocznicę urodzin twórcy „Tygodnika Powszechnego". Przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź pracę z dziedziny nauk humanistycznych, znajdujące się w kręgu wartości bliskich Jerzemu Turowiczowi i tematów, do których wracał on w swojej publicystyce i działalności publicznej.

Nagrodę stanowią statuetka oraz czek na 10 000 złotych.

Laureatami poprzednich edycji byli Joanna Olczak-Ronikier za biografię Korczaka, Marcin Zaremba za książkę *Wielka trwoga*, Andrzej Brzeziecki za biografię Tadeusza Mazowieckiego, Monika Sznajderman za książkę *Fałszerze pieprzu* i Paweł Machcewicz za koncepcję i realizację Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

Zofia Katarzyna Morstin; fot. Grzegorz Kozakiewicz

■ **Spieszmy się kochać knajpy, tak szybko odchodzą.** Z nowym rokiem znikają stare adresy. Klub Piękny Pies czeka kolejna przeprowadzka, zaś klub Bomba na Placu może całkiem zniknąć z placu Szczepańskiego. Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie fakt, że oba miejsca związane są nie tylko z kulturą picia i spożycia, ale przez lata były miejscem spotkań literackich, dyskusji oraz imprez kulturalnych. To tam najchętniej przesiadywali miłośnicy najnowszej literatury polskiej, redaktorzy i autorzy Ha!artu, „Krytyki Politycznej", młodzi malarze, ilustratorzy, słowem – twórczy zaczyn naszego miasta. Gdzie się podzieją po zamknięciu obu lokali? Niedalekie Café Bunkier, mekka miłośników teatru i sztuk wszelakich, niedługo przenosi się do podziemi Bunkra Sztuki, więc chyba nie pomieści wszystkich zbiegów z miasta. Prawdopodobnie jedyny ratunek dla artystycznych kawiarń i pubów stanowi obecnie instytucjonalizacja, tak jak w przypadku Piwnicy pod Baranami, która znalazła schronienie administracyjne w ramach Krakowskiego Forum Kultury. Małe ambitne księgarnie wspiera Kraków Miasto Literatury UNESCO, inni radzą sobie, zakładając NGO i wspierając się realizacją projektów oraz grantów. Czy znajdzie się miejski program grantowy dla kulturotwórczych kawiarń i klubów? Bądźmy dobrej myśli, póki jeszcze każdy ambitny knajpiarz nie musi zakładać fundacji, by napić się piwa z krakowskim literatem.

■ **Wrocław zwraca Kireńczuka.** Międzynarodowy Festiwal Teatralny Dialog-Wrocław w tym roku się nie odbędzie. Jego jubileuszowa edycja została przeniesiona na rok 2020. Nie przedłużono również umowy z dyrektorem artystycznym festiwalu Tomaszem Kireńczukiem, dyrektorem programowym Teatru Nowego w Krakowie. Krystyna Maissner-Erhardt miała drogą mailową wyrazić utratę zaufania do Kireńczuka i wykluczyć jego uczestnictwo w organizacji festiwalu. Wiele wskazuje na to, że były dyrektor artystyczny Dialogu został kozłem ofiarnym ministerialnej afery przy ostatniej odsłonie imprezy w roku 2017. Wówczas to Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego na 18 dni przed rozpoczęciem festiwalu wstrzymało decyzję o jego finansowaniu. Stworzyło to lukę w budżecie wydarzenia w wysokości 500 tysięcy złotych. Dyrektor z pomocą zaproszonych zespołów, zaprzyjaźnionych instytucji oraz miłośników teatru ocalił festiwal mimo deficytu. Dwa lata później zarówno prezydent Jacek Sutryk, jak dyrektor Meissner odsyłają Kireńczuka z kwitkiem, a imprezę wstawiają do zamrażarki. Pozostaje liczyć na lepsze czasy dla wrocławskiego życia teatralnego, wspierać naszego dyrektora w Teatrze Nowym, jednocześnie dumnie patrząc na Boską Komedię, która ma się nie tylko dobrze, a wręcz pęka pod naporem widzów z całej Polski.

■ **Teatr Scena STU jest stuprocentową miejską instytucją kultury.** Teatr, który do roku 2018 był w 40 proc. finansowany ze środków miejskich, a w 60 proc. ze środków wojewódzkich, oficjalnie przechodzi w ręce miasta Krakowa. Legendarna scena przy alei Krasińskiego od 1997 roku finansowana była przez dwa samorządy. O zmianie sposobu zarządzania zadecydowały m.in. kwestie lokalowe. Instytucja mieści się w budynku należącym do miasta. Od lat 60. ubiegłego wieku teatr funkcjonował jako inicjatywa studencka. W następnych dekadach miejsce słynnych artystycznych benefisów transmitowanych przez TVP 2, premier sztuk eksperymentalnych, koncertów, recitali przeobraziło się w profesjonalny teatr repertuarowy. Zjawisko kulturowe, które obrosło w historię i środowisko twórcze określające siebie jako Rodzina Teatru STU. Przez chude i tłuste lata skutecznie prowadzone przez Krzysztofa Jasińskiego, dziś staje się zasłużenie pełnoprawną sceną krakowską. Życzymy samych sukcesów artystycznych i frekwencyjnych.

■ **Po 25 latach *Lista Schindlera* wróciła do dystrybucji kinowej.** Dzieło, które przed laty przypomniało biografię niemieckiego fabrykanta w latach II wojny światowej, na początku lat 90. XX wieku było sukcesem nie tylko Stevena Spielberga, ale całej jego polskiej ekipy. Oscary za najlepszą scenografię otrzymali wówczas Allan Starski oraz Ewa Braun, a za kostiumy Anna B. Sheppard. W filmie zagrali krakowscy artyści, m.in. Jacek Wójcicki, Jerzy Nowak, Leopold Kozłowski, Beata Rybotycka. Plenery Kazimierza i obozu w Płaszowie uwieczniono w nagrodzonych Oscarem zdjęciach Janusza Kamińskiego. Warto wybrać się na seans *Listy...* i zadziwić się, jak od czasów Spielberga zmieniło się nasze miasto, a zwłaszcza dzielnice takie jak Zabłocie, Podgórze i Kazimierz. Historia XX wieku wciąż kryje wiele opowieści, które ta superprodukcja pomogła ożywić i ocalić od zapomnienia.

Oprac. Jakub Wydrzyński

Januszowi Krasoniowi
serdeczne wyrazy współczucia
z powodu śmierci Ojca
Redakcja

Dzień dobry,

Przez przypadek znalazłam pismo „Kraków” w osiedlowym kiosku. Studiuję na drugim roku geografii i nie wiedziałam, że jest taka miejska gazeta. Bardzo miła szata graficzna oraz ciekawy kontent! Interesuję się muzyką elektroniczną i sceną klubową w mieście, ale w Krakowie prawie nikt o tym nie pisze. U Państwa nie zauważyłam oddzielnego działu poświęconego muzyce popularnej. Może warto byłoby poszerzyć ofertę o taką tematykę. Czy można u Was publikować relacje z imprez klubowych? Jestem blogerką i amatorką koncertów. Zgłaszam się na korespondentkę z blogosfery. Zauważyłam zapowiedź wywiadu z Renatą Przemyk. Czy można się spodziewać również wywiadów z muzykami najmłodszego pokolenia, np. z krakowskiej sceny studenckiej?

Karina, studentka UJ

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW
ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”
Wybierz Kraków!
Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.
Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl
www.miesiecznikrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.
Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.
Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń
Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.
Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.
Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120
Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)
Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!
(11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).
W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.
Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane! Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.
Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/? ti=as. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH**, **KOLPORTER**, **GARMOND** – szczegóły na witrynach internetowych kolporterów.

Światowe dziedzictwo Jacka

Jeszcze przez chwilę można oglądać wystawę fotosów Jacka Balcewicza w siedzibie Biblioteki Kraków: *40 lat listy UNESCO – zaczęło się w Krakowie.*

A dlaczego? Oto jesienią ubiegłego roku minęło 40 lat od kiedy Kraków, jako pierwsze miasto europejskie, został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Ta lista dziś to potęga – obejmuje blisko dwa tysiące obiektów dziedzictwa kulturowego i naturalnego o wyjątkowej wartości dla ludzkości. Od egipskich piramid po Kanion Kolorado. A w tym Kraków i kilkadziesiąt innych miejsc ważnych w Polsce. Ale przecież zawsze warto wyjrzeć i poza Polskę.

Jacek Balcewicz – jak sam się przedstawia: najmłodszy z ojców założycieli miesięcznika „Kraków” – jest również zapalonym fotografem. Jego pasją w pasji jest fotodokumentowanie, a może nawet lepiej powiedzieć – artystyczne odtwarzanie za pomocą fotografii piękna tych miejsc.

Oto Jeddah w Arabii Saudyjskiej, miasto jakby zwieszające się nad tobą. Oto Most Złotników nad rzeką Arno we Florencji. Oto tęcza nad krakowskim kościołem Mariackim. A wszystko zawsze zakomponowane doskonale, ze szczególną predylekcją Jacka do linii symetrycznych zawartych w kadrze – właśnie owa Florencja choćby uderza na fotografii pięknem, które niekoniecznie, drogi wędrowcze czy turysto, dostrzeżesz sam na miejscu.

Jacku – gratulacje. (wb)

W następnym numerze:

Jacek Dehnel – o pisaniu książek i krakowskich kryminałach

a ponadto:
OFF-CAMERA rządzi!

Kto wysadził pomnik Lenina 40 lat temu?

U poety Michała Zabłockiego

Szanowni Czytelnicy!

Mamy do rozdania trzy płyty Renaty Przemyk z jej autografem. Aby je zdobyć, należy do nas napisać wiadomość o treści „Renata Przemyk – konkurs”, podając swoje dane kontaktowe.

Prosimy pisać na adres: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

Jednocześnie zapraszamy Państwa do przyłączenia się do Klubu Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” i poszerzenia grona stałych prenumeratorów pisma. Od przyszłego miesiąca dla nowo przybyłych Przyjaciół będziemy mieli stosowną pulę nagród i upominków.

Redakcja miesięcznika „Kraków

Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A–B?
Boy

Opracował Jakub Wydrzyński

Pojedynek na żywotność: krakowiacy *contra* górale

„ Gdzie ci mężczyźni?” – śpiewała przed laty Danuta Rinn. Ależ w Krakowie, drogie Panie! Najnowsze badania długości życia świadczą bez wątpliwości na rzecz mieszkańców naszego miasta. Żyją oni o wiele dłużej niż górale i mają większe szanse świętowania 90. urodzin niż mieszkańcy wsi. Według danych GUS Kraków, Warszawa, Rzeszów i Tarnów to miasta o największej średniej długości życia mężczyzn w Polsce. Nasza rada dla singielek każdego wieku: proszę natychmiast zawrócić z zakopianki. Po męża tylko do Krakowa!

Rys. Małgorzata Tabaka

Mury coraz piękniejsze

Ściany w Krakowie już nie tylko krzyczą, ale coraz częściej zdobią miejski krajobraz, jak na przykład piękne żydowskie murale na Kazimierzu lub podczas festiwali sztuki miejskiej w innych dzielnicach. W zeszłym roku w przestrzeni całego miasta przybyło nam aż 25 dobrych murali. Z okazji roku Stanisława Wyspiańskiego przy zbiegu ul. Grzegórzeckiej i Chodkiewicza powstał mural Hermes prowadzący bohaterów do Hadesu autorstwa Kamila Kuzko, który jest też współautorem murali przy ul. Storczykowej 4. Powstało wiele prac odwołujących się do lokalnych wydarzeń i historii zaprojektowanych m.in. przez Dagmarę Matuszak, Artura Wabika czy Aleksandrę Toborowicz. Znawcy tematu twierdzą, że krakowska sztuka na murach coraz częściej dobrze współgra z otoczeniem, łącząc dorobek literacki i plastyczny oraz historię miasta. Miło zauważyć, że malunki na kamienicach to nie tylko wybryki wandali i pseudokibiców, ale dzieła poprawiające estetykę pustych placów i osiedli mieszkaniowych. Oby tak dalej.

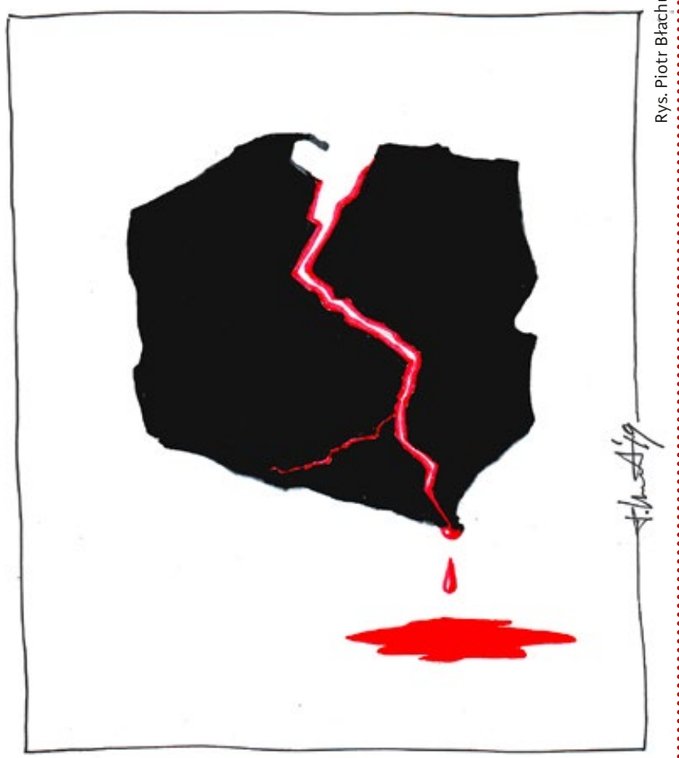

Rys. Piotr Błachut

Rodzino, wybierz kartę!

Jeszcze niezdecydowanym uprzejmie donosimy: jest coraz więcej powodów, by wyrobić Kartę Dużej Rodziny. W nowym roku przybywa dostępnych ulg i bonusów dla rodzin. Z KDR od początku 2019 roku korzystać mogą wszyscy rodzice, którzy kiedykolwiek mieli na utrzymaniu co najmniej troje dzieci. Karta daje zniżki na przejazdy kolejowe, bilety jednorazowe, miesięczne, bezpłatne korzystanie z parkingów, zniżki na opłaty za paszport. Daje też możliwość dopłaty do zakupu kotła gazowego. Rewolucyjny ma być program Krakowskie 500 plus, czyli propozycja, która zakłada wypłatę 500 zł na każde dziecko do 26. roku życia, które nie dostaje rządowego 500 plus. Dodatkowo przewiduje wypłatę 500 zł miesięcznie na każdą osobę niepełnosprawną bez względu na wiek. KDR ma dwie formy. Elektroniczną uzyskuje się poprzez zalogowanie do aplikacji cyfrowej, a tradycyjną odbiera w Krakowskim Centrum Świadczeń. Rodzicu, nie zwlekaj z decyzją! Ulgi czekają na wykorzystanie.

Kraków–Warszawa: coraz szybsza sprawa

Czy w drodze z byłej do obecnej stolicy pociąg wygra z autem? Inwestycje kolejowe nabierają tempa, a podróżni PKP wiary i przekonania o szybkim przemieszczaniu się na trasach krajowych. Zakończył się remont linii kolejowej Batowice-Tunel, inwestycja warta 36 mln zł. Dzięki modernizacji tego odcinka przyspieszą pociągi dalekobieżne na trasach łączących Kraków z Kielcami, Łodzią, Warszawą i Trójmiastem oraz składy regionalne, dowożące mieszkańców Słomnik, Miechowa czy Kozłowa do stolicy Małopolski. Łącznie poprawią się warunki jazdy ponad 130 pociągów. Naprawiono 18 km torów, zamontowano przeszło 500 nowych słupów oraz wymieniono wszystkie elementy sieci. Zdecydowanie zmniejszy to liczbę awarii i zwiększy efektywność zasilania. Efekty modernizacji napawają optymizmem. Może dzięki temu większość podróżnych z Małopolski częściej wybierać będzie ekologiczną kolej niż emitujące spaliny i stojące w korkach auta. Wszystkim kierowcom oraz sobie życzymy coraz więcej takich inwestycji.

Pokoje pod kontrolą

Połowa tzw. escape roomów w Małopolsce została zamknięta po zaostrzonych inspekcjach na początku roku. Popularna w ostatnich latach rozrywka polegająca na wydostawaniu się z zamkniętych pokoi przez odgadywanie, w którym miejscu ukryto właściwy klucz, może stanowić śmiertelne zagrożenie, więc wymaga szczególnych wymogów i norm BHP oraz przeciwpożarowych. Kontrole w tych obiektach przeprowadzone w całym województwie przyniosły efekt w postaci zamknięcia niebezpiecznych obiektów. Może już czas uciec z escape roomów na zewnątrz, zwłaszcza że zbliżają się słoneczne miesiące.

Turyści hojni jak nigdy

Południe zagłębiem turystycznym kraju! Jak wynika z badań Małopolskiej Organizacji Turystycznej dotyczących ruchu turystycznego w roku 2018 nasz region gościł aż 17 milionów turystów zagranicznych oraz krajowych. To kolejny rekord, za którym idą konkretne kwoty, czyli 14 miliardów złotych wydanych przez turystów zwiedzających całą Małopolskę. Jak się okazuje, wśród 13 milionów turystów krajowych zdecydowaną większość stanowili sami Małopolanie (co trzeci turysta). Tuż za nimi uplasowali się mieszkańcy woj. śląskiego (14 proc.) oraz mazowieckiego (12 proc.). Nie da się zaprzeczyć: Galicja turystyką stoi.

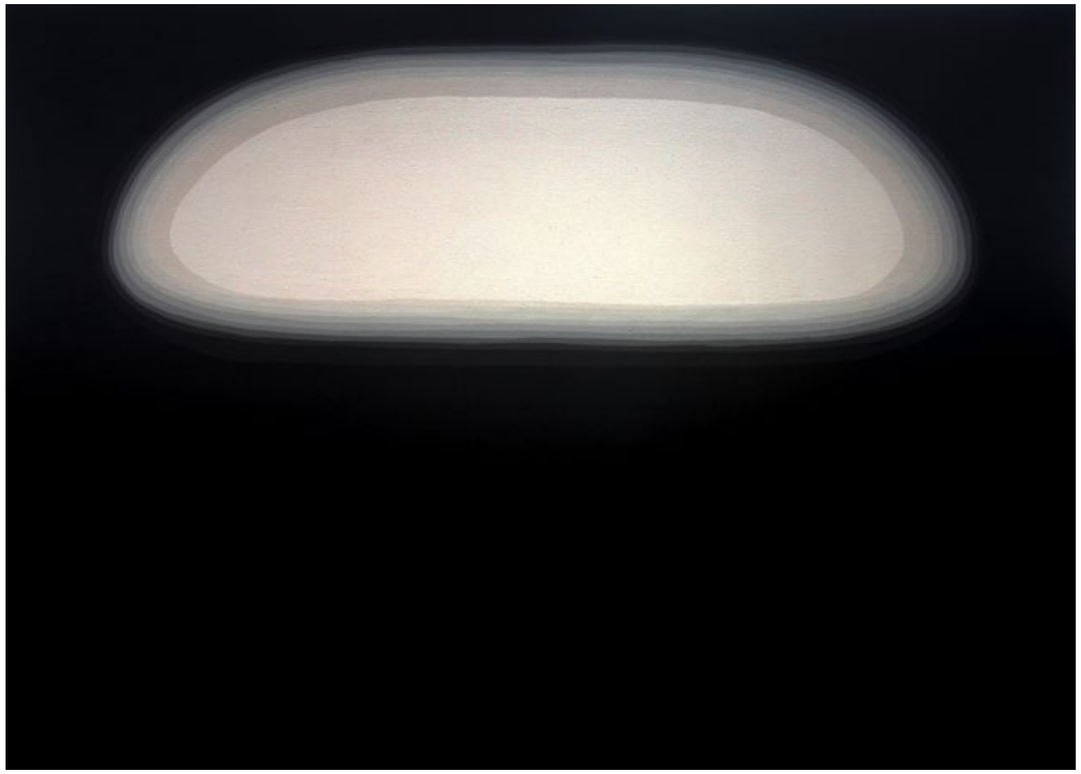

Artur Trojanowski
Nie wiem, co to jest, 140 x 195 cm, akryl na płótnie, 2015

Klub przyjaciół miesięcznika KRAKÓW

Zofia Katarzyna Morstin Kraków
Piotr Maciukiewicz Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk Kraków
Grzegorz Szymański Warszawa
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś Kraków
Wanda Chmielowska Kancelaria Radcy Prawnego Kraków

Aleksander Skotnicki Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy Kraków
Andrzej X. Kraków
Stanisław Dudzik Kraków
Adam Michnik Warszawa

Marek Borkowski Kraków
Janusz Szerla Kraków
Grzegorz Kogut Kraków
Robert Barański Kraków
Józef Palinka Warszawa
Krzysztof Kołtun Chełm

Marek Braun Kraków
Krystyna Zachwatowicz Kraków
Kazimierz Sumera Zawoja
Aleksander Herzog Warszawa

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to program dla przyjaciół kultury. **WPŁAĆ 140, 500 lub 1000 złotych** – w zamian w naszym miesięczniku zamieścimy logo Twej firmy lub instytucji, a w przypadku osób będzie to po prostu ich imię i nazwisko (im więcej wpłacisz, tym częściej będziemy je pokazywali!: -))

Będziesz też dostawał upominki i pamiątki związane z miesięcznikiem i jego ludźmi oraz zaproszenia na redakcyjne spotkania i imprezy okolicznościowe, wręczenia nagród itp. Oczywiście wszyscy członkowie Klubu Przyjaciół będą przez cały rok otrzymywali miesięcznik w wersji papierowej lub elektronicznej.

Wpłaty:
Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Jedyny taki klub w Unii Europejskiej

Tekst: Jerzy Pilch

Semantyka zajmowania miejsc na trybunie Cracovii zasługuje na osobną uwagę. Idzie rzecz jasna o semantykę odległości od Prezesa.

Najpierw wokół Filipiaka gromadzili się wszyscy, co pragnęli być jak najbliżej, a być jak najbliżej pragnęli wszyscy. Z czasem, gdy się okazało, że Prezes ma twarde poglądy i nie z każdym mu po drodze, to masowe uwielbienie – jak to przeważnie bywa z masowymi adoracjami – słabło, tłum wielbicieli rzedł i nieraz Janusz Filipiak siadywał sam, z czasem puste pole wokół niego się poszerzało. Ze dwa albo trzy razy byłem w takich okolicznościach na meczu i dajcie spokój – groteskowo to wyglądało. Wyglądało to tak, jakby oglądanie meczu w bezpośredniej bliskości prezesa wymagało odwagi, desperacji, specjalnych papierów, Bóg wie czego jeszcze. Albo jakby siedząc obok niego, dawało mu się jakieś milczące, a silne poparcie. Czego to poparcie tyczyło, dlaczego było silne – ja już wtedy nie wiedziałem. Chciałem z dobrego miejsca mecz zobaczyć, a dobre miejsce było obok Właściciela. Nie miałem pojęcia o tutejszych zakulisowych grach i zabawach, o nic się rzecz jasna nie dopytywałem, twardo lazłem przed siebie i siadałem obok Filipiaka i to było dobre. Nie kierowała mną odwaga ani brawura... OK, powiem otwarcie: lubiłem siedzieć obok Prezesa, bo lubiłem bijący od niego tkliwy i inspirujący zapach kasy. Zawsze zastanawiałem się, po co mieszkającemu w Szwajcarii i ewidentnie radzącemu sobie w życiu Profesorowi cała ta Cracovia z jej pomieszaniem, z jej fatalizmem, z jej nieprzewidywalnością? Ileż ten człowiek przez tę swoją fuchę, przez to swoje piłkarskie hobby stracił nerwów – jak oglądaliście w jego towarzystwie – zwłaszcza dawny, pechowy mecz Cracovii – to wiecie, o czym mówię. A mówię o sytuacji granicznej. Aż tak krańcowych doznań potrzebuje, cotygodniowego w skrajnej furii – umierania?

A przecież mógłby co weekend leżeć na trawie i słuchać szwajcarskich słowików, zamiast użerać się z zawodnikami, sędziami, specjalistami od motoryki etc. Mógłby, nie wiem co robić albo czego nie robić.

Dogadywanie się z trenerami to osobna i osobno wyczerpująca sprawa. Pod tym względem Filipiak całkiem czysty nie jest. Jak już był o krok od zawału serca, ruchy typu telefon na ławkę rezerwowych całkiem obce mu nie były. Dopiero teraz – jak idzie o trenerów – trafił na maniaka, jak się zdaje podobnie jak on bosko natchnionego. I bosko cierpliwego, choć po Probierzu tę cierpliwość mniej widać. W każdym razie wierzę w parę Filipiak – Probierz: para ta ma wyjątkową szansę.

I akurat teraz, jak jest wręcz dziejowa okazja, akurat teraz brać się za jakieś spiski? Czyście, bracia, ochujali? Macie-ż wy pojęcie, co znaczy ekstraklasowy klub prowadzić? Przykład Wisły nic wam nie mówi?

I akurat teraz, jak jest wręcz dziejowa okazja, akurat teraz brać się za jakieś spiski? Czyście, bracia, ochujali? Macie-ż wy pojęcie, co znaczy ekstraklasowy klub prowadzić? Przykład Wisły nic wam nie mówi? Weźmiecie Cracovię i co? Sami wyjdziecie na boisko? Powodzenia!

Nawiasem mówiąc, siły domagające się od Filipiaka, żeby odszedł, podobno domagają się też od niego kasy, która wesprze pierwsze kroki po jego odejściu, słowem autorzy listu otwartego domagają się od prezesa, by sam sfinansował swoje odejście, a w charakterze premii im też coś sypnął na do widzenia.

Cracovia to jest faktycznie jedyny taki klub pod słońcem.

Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

(NIE)
ROZ
ŁĄCZNI

TRUDNE TEMATY W RELACJACH POLSKO-ŻYDOWSKICH

Sprawiedliwi czy szmalcownicy • Strategie przetrwania
Żydzi a Izrael • Polski antysemityzm • Kościół katolicki a Żydzi
Teorie spiskowe • Żydokomuna

Anna Bikont • Dariusz Libionka • Katarzyna Person
Alicja Jarkowska-Natkaniec • Andrzej Żbikowski
Jerzy Wójcik • Konstanty Gebert • Joanna Nalewajko-Kulikov
Michael Schudrich • Jacek Leociak • Joanna Tokarska-Bakir
Alina Cała • August Grabski • Ireneusz Krzemiński

Cykl dyskusji w Żydowskim Muzeum Galicja
Prowadzenie: Adam Szostkiewicz

MARZEC—LISTOPAD 2019
Więcej informacji: www.galiciajewishmuseum.org FB/zydowskiemuzeumgalicja
Żydowskie Muzeum Galicja ul. Dajwór 18, Kraków Tel. 12 421 68 42

Organizator:
GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM

Partnerzy:
Forum Dialogu. wyborcza POLITYKA RADIO KRAKÓW New Eastern Europe KRAKÓW CHIDUSZ.COM

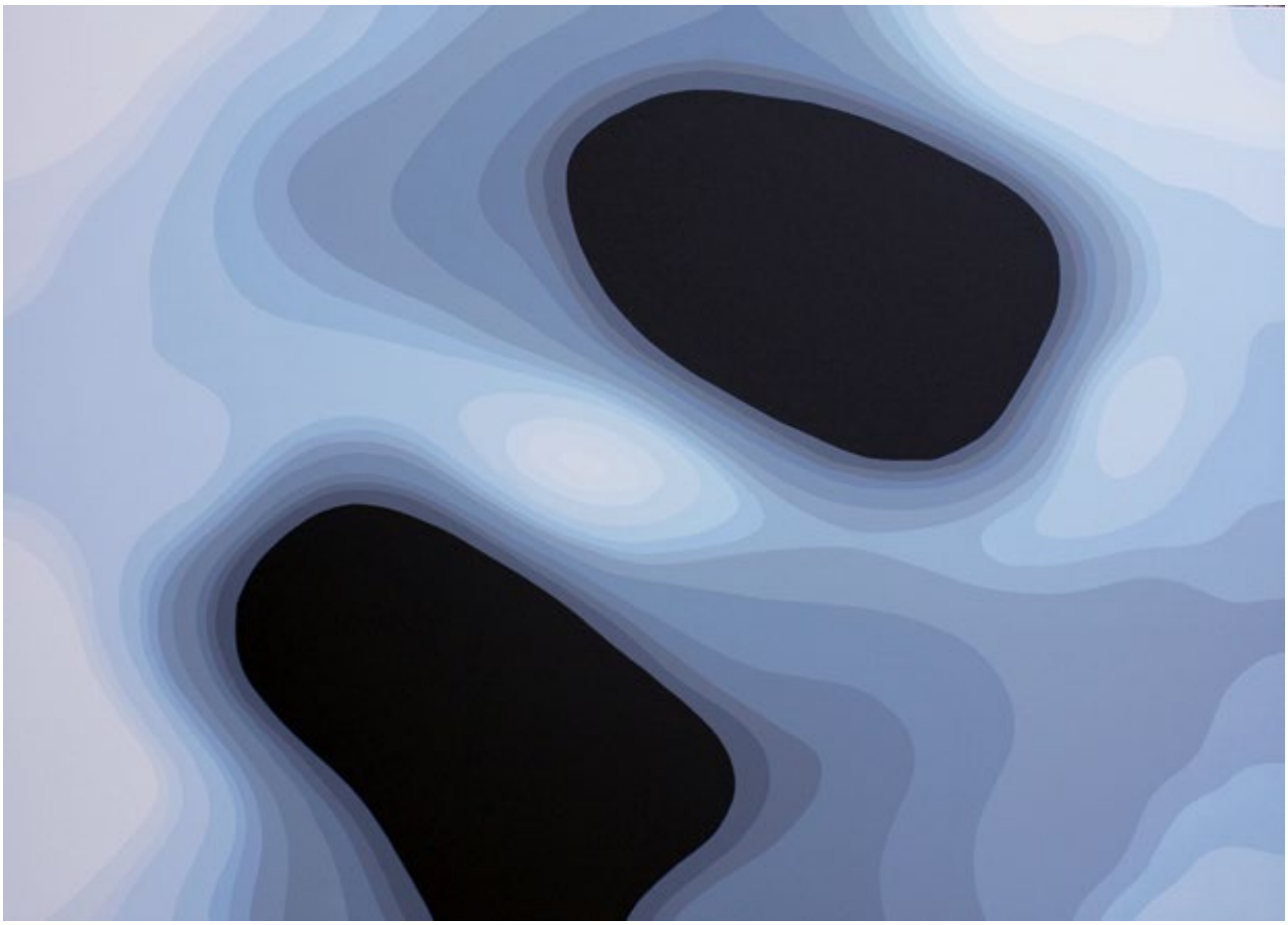

Artur Trojanowski
Chaos, 140 x 195 cm, akryl na płótnie, 2016 – więcej informacji o artyście wewnątrz numeru